


PRZEKŁĘTY DOM



Wampiry
z Morganville

RACHEL CAINE



CAINE RACHEL

Wampiry z Morganville #1

Przeklęty dom

RACHEL CAINE

ROZDZIAŁ 1

Rano tego dnia, w którym Claire zamieszkała w domu Glassów, ktoś ukradł jej pranie.

Kiedy sięgnęła do bębna starej poobijanej pralki, znalazła tam tylko śliskie ściany i – kiepski dowcip – najgorszy komplet bielizny, jaki miała, plus jedną skarpetkę. Oczywiście, bardzo się spieszyła – na ostatnim piętrze Howard Hali, przy najmniej pożądanym i najbardziej

**zapuszczonych pokojach najmniej
pożądanego i najbardziej
zapuszczonego akademika,
dostępne były tylko dwie pralki.
Dwie pralki, dwie suszarki i
człowiek miał szczęście, jeśli
któraś działała i nie pożerała
ćwierćdolarówek.**

**–Nie – powiedziała na głos i
zajrzała do częściowo
przerdzewiałego bębna. Pachniało
pleśnią i tanim proszkiem do
prania. Spojrzenie z bliska
niewiele dało.**

**Jeden komplet zniszczonej
bielizny. Jedna skarpetka.**

Zniknęły, co do jednej sztuki, wszystkie ubrania, które miała na sobie przez ubiegłe dwa tygodnie. Wszystko, co chciałyby na siebie włożyć.

–Nie! – wrzasnęła do wnętrza pralki, skąd krzyk wrócił do niej echem, a potem kopnęła pralkę gniewnie we wgniecenie, zrobione już wcześniej przez zirytowane studentki. Nie mogła złapać tchu. Miała jeszcze jakieś ciuchy, kilka sztuk, ale to były ciuchy raczej nie nadające się do włożenia, ciuchy w rodzaju: „O mój Boże, za nic się w tym nie pokażę”. Przykrótkie spodnie, w których

wyglądała jak wieśniara, za duże bluzki, w których wyglądała, jakby powybierała je dla niej mama. Tak zresztą było.

Po ostatniej kolacji – zamówionej pizzy – i zakupie kolejnej książki na zajęcia profesora Durnego Eulissa, który wciąż nie mógł się zdecydować, jaki przedmiot wyklada, Claire zostało jeszcze ze trzysta dolarów, ale powinny jej wystarczyć na, no cóż, kilka miesięcy.

Doszła do wniosku, że gdyby poszukała, to może udałoby się kupić jakieś ciuchy, które nie

zrujnowałyby jej budżetu. Przecież śródmieście Morganville w Teksasie stanowiło stolik handlu używaną odzieżą. Zakładając, że udałoby jej się znaleźć coś, co chciałyby na siebie włożyć.

Mama uprzedzała, że tak będzie, pomyślała. Muszę się jeszcze zastanowić. Zachować spokój.

Claire klapnęła na pomarańczowe plastikowe krzeselko, plecak postawiła na porysowanym linoleum i ukryła twarz w dłoniach. Czuła, że twarz ją pali, trzęsła się i wiedziała, po

prostu wiedziała, że za moment się rozplącze. Rozplącze się jak dziecko, którym podobno była. Wszyscy jej powtarzali, że jest za młoda, żeby wyjeżdżać z domu.

Fatalna sprawa – kiedy człowiek jest bystry, dostrzega wszystkie takie rzeczy.

Głęboko westchnęła, odetchnęła kilka razy, wmawiając sobie, że nie będzie ryczała (bo one usłyszą), i zastanawiała się czy powinna zadzwonić do mamy i taty z prośbą o zwiększenie kieszonkowego, albo może skorzystać z karty kredytowej

„wy łącznie w sytuacjach awaryjnych”.

A potem dostrzegła napis. Nie tyle zresztą napis, co zwykłe graffiti, ale tekst namazany na ścianie nad pralkami adresowany był do niej.

„Droga debilko, przeczytała. Znalazłyśmy w pralce jakieś śmieci, więc wywaliłyśmy je do zsypu. Jeśli chcesz, tam ich sobie poszukaj”.

–Cholera – sapnęła i znów musiała powstrzymywać łzy, chociaż ich powód był inny.

Płakała z powodu Moniki. i Moniczkowatych. Dlaczego seksowne, ale wredne laski zawsze łączą się w stada jak hieny? I dlaczego przy tych jedwabistych włosach, drugich opalonych nogach i nadzianych ojcach, których kasy nawet ich księgowi nie dają rady zliczyć, musiały się wziąć akurat na nią? No, znała odpowiedź na to pytanie.

Ośmieszyła Monice przy jej przyjaciółkach i przy kilku seksownych facetach ze starszego roku. Nie żeby to było trudne, przechodziła obok i

usłyszała, jak Monica mówi, że II wojna światowa to była „głupia chińska wojenka”.

Po prostu odruchowo rzuciła:

–Nieprawda. – Cała grupka rozwalona na kanapach w holu akademika popatrzyła na nią z takim zdumieniem, jakby automat z colą nagle się odezwał. Monica, jej przyjaciółki i tych;ech seksownych facetów z jakiegoś studenckiego bractwa.

–Druga wojna światowa... – zaczęła Claire. Spanikowana, nie wiedziała, jak wybrnąć z tej

sytuacji. – Znaczy, no... To nie była wojna w Korei. Ta była później. Druga wojna światowa to ta z Niemcami i Japonią. No wiesz, Pearl Harbour?

Faceci popatrzyli na Monice i ryknęli śmiechem, a Monica zarumieniła się – nie za bardzo, ale na tyle, że jej makijaż już nie wydawał się tak perfekcyjny.

–Przypomnij mi, żebym nie kupował od ciebie żadnych esejów z historii – powiedział najseksowniejszy z chłopaków.

–Trzeba być kretynem, żeby

tego nie wiedzieć. – Chociaż Claire była pewna, że żaden z nich tego nie wiedział. – Chińska wojenka. I co jeszcze?

Claire dostrzegła w oczach Moniki furię, szybko pokrytą uśmiechem, żarcikami i dalszym flirtem. Jeśli chodzi o facetów, Claire znów zapadła się w niebyt.

Jeśli chodzi o dziewczyny, była tu nowa i zdecydowanie niemile widziana. Zawsze tak było. Bystra, drobniutka, o przeciętnej urodzie, nie mogła twierdzić, że wygrała los na loterii życia; ktoś zawsze ją wyśmiewał, szturchał albo

ignorował, albo wszystko razem. Kiedy była dzieckiem, wydawało jej się, że na śmiech, a potem – po przepychankach na szkolnym boisku – na pierwsze miejsce wysunęły się szturchnięcia. Jednak w czasie jej (krótkiego, dwuletniego zaledwie) pobytu w szkole średniej ignorowanie okazało się zdecydowanie najgorsze. Dostała się do liceum o rok wcześniej niż wszyscy pozostali i skończyła szkołę o rok wcześniej niż oni. Nikomu się to nie podobało.

To znaczy nikomu poza nauczycielami.

Problem polegał na tym, że Claire naprawdę uwielbiała się uczyć. Kochała książki, czytanie, dowiadywanie się różnych rzeczy – dobra, no może niekoniecznie rachunek różniczkowy, ale poza tym to chyba wszystko. Fizykę. Która normalna dziewczyna lubi fizykę? Wyłącznie nienormalne ją lubią. Takie, które nigdy nie będą atrakcyjne.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Atrakcyjność? Przecież tylko to liczy się w życiu. Jak dowiodła Monica, kiedy już świat zbacza na moment z ustalonego toru i zauważa istnienie Claire, to potem

natychmiast na ustalony tor wraca, żeby znów się kręcić wkoło tych ładnych.

To nie było fair. Przez całe liceum pracowała jak szalona. Skończyła szkołę ze średnią pięć, testy wstępne zaliczyła na tyle dobrze, żeby podostawać się na naprawdę dobre uczelnie, sławne uczelnie, te, gdzie dziwadło, dziewczyna geniusz, niekoniecznie liczy się na minus (pomijając, że w tych naprawdę świetnych szkołach na pewno było wiele atrakcyjnych i długonogich dziewczyn geniuszy).

Zresztą nieważne. Mama z tatą tylko rzucili okiem na stosik entuzjastycznych odpowiedzi z uniwersytetów, takich jak MIT, Caltech albo Yale i natychmiast zaprotestowali. Wykluczone, żeby ich szesnastoletnia córeczka (prawie siedemnastoletnia, przypominała im, chociaż mijало się to z prawdą) miała jechać na jakiś uniwersytet pięć tysięcy kilometrów od domu. A już na pewno nie teraz. Claire bezskutecznie próbowała przeforsować koncepcję, że jeśli coś bardziej może zagrozić jej obiecującej karierze akademickiej,

to właśnie przenosiny na taką uczelnię z Texas Prairie University. Znanej pod skrótem TPU – uuuch.

I tak utknęła na beznadziejnym ostatnim piętrze beznadziejnego akademika beznadziejnej uczelni, skąd osiemdziesiąt procent studentów przenosiło się gdzie indziej po pierwszym albo drugim roku – albo w ogóle rzucało studia – a Moniczkowe kradły jej mokrą bieliznę i wyrzucały ją do zsypu tylko dlatego, że Monice nie chciało się nauczyć o wojnie na tyle ważnej, że doczekała się własnego numerka

porządkowego.

Ale to nie w porządku! – coś w niej krzyczało. Miałam swój plan! Prawdziwy plan! Monica sypiała do późna, a Claire wstała wcześniej właśnie po to, żeby zrobić pranie, kiedy to imprezujące towarzystwo będzie jeszcze nieprzytomne, a kujony pójdą już na zajęcia. Pomyślała, że zostawi pranie na kilka minut i szybko weźmie prysznic – kolejne ryzykowne przeżycie – i nawet jej nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby się posunąć do czegoś tak niewiarygodnie małostkowego.

Usiłując powstrzymać łzy, zauważyła – znów – jak tu było:cicho. Pusto, bo połowa dziewczyn jeszcze spała, a połowa już wyszła z akademika. Ale ten akademik robił niesamowite wrażenie nawet wtedy, kiedy był pełen studentek i tętnił życiem. Stary, zaniedbany, z mnóstwem zakamarków i różnych miejsc, gdzie mogły zacząć się wredne dziewczyny. O całym mieście można by powiedzieć to samo. Morganville było małe, zapuszczone, miało wiele dziwactw. Na przykład połowa latarni ulicznych nie działała. Na

przykład ludzie w sklepach w kampusie wydawali się trochę zbyt szczęśliwi. Desperacko szczęśliwi. Na przykład miasto, pomimo kurzu, było czyste – żadnych śmieci, żadnych graffiti, nikt w ciemnej alejce nie zacznie cię nagabywać o drobne.

Dziwne.

Prawie słyszała w głowie słowa swojej matki. „Kochanie, po prostu znalazłaś się w nowym miejscu. Będzie lepiej. Tylko musisz się jeszcze troszkę postarać”.

Mama zawsze tak mówiła i Claire zawsze starała się ze wszystkich sił ukrywać przed nią, jak trudno było tej rady się trzymać.

No cóż. Nie pozostawało jej już nic, jak tylko iść po swoje pranie.

Claire otarła oczy i zarzuciła na ramię ciężki plecak. Jeszcze przez chwilę patrzyła na mokre majtki, stanik i jedną skarpetkę, które ścisła w prawej dłoni, a potem błyskawicznym ruchem rozpięła przednią kieszeń plecaka i wepchnęła je do środka. Boże, gdyby zaczęła chodzić z nimi w garści, straciłaby już resztki

szacunku.

–Proszę, proszę – odezwał się jakiś cichy, zadowolony głos od strony otwartych drzwi naprzeciwko schodów. – A kogo my tu mamy? Naszą śmieciarę.

Claire przystanęła, jedną dłonią trzymając się przerdzewiałej żelaznej poręczy. Coś jej podpowiadało, żeby wiać, ale z drugiej strony jej zawsze coś tak podpowiadało: odruch walki lub ucieczki, czytała o tym w jakimś podręczniku. I miała już dość uciekania. Obejrzała się za siebie powoli, a Monica Morrell wyszła z

pokoju. Nie swojego, znów się włąmała do Eriki. Jennifer i Giną, jej dziewczyny na posyłki, ustawiły się po obu jej stronach. Jak żołnierze w japonkach, džinsach biodrówkach i z francuskim manikiurem.

Monica stanęła w wystudiowanej pozie. Claire musiała przyznać, że miała w tym sporą wprawę. Przy prawie metrze osiemdziesiąt wzrostu Monica miała błyszczące czarne włosy i wielkie błękitne oczy, perfekcyjnie podkreślone eyelinerem i tuszem. Idealną cerę. Twarz modelki: same kości policzkowe i wydatne usta. Figurę

też miała modelki, i to modelki z katalogu Victoria's Secret; krągłości, nie żaden wieszak na ubrania.

Była zamożna, była ładna, i o ile Claire mogła stwierdzić, tak na nią patrząc, w najmniejszym stopniu jej to nie cieszyło. Cieszył ją za to – widać to było w tych wielkich niebieskich oczach, które właśnie radośnie rozbłysły – sam pomysł poznęcania się jeszcze trochę nad Claire.

–Nie powinnaś być już na pierwszej lekcji w swojej pierwszej gimnazjalnej? – spytała Monica. –

**Albo chociaż dostać pierwszej
miesiączki?**

**–Może szuka ubrań, które gdzieś
posiała – dorzuciła ze śmiechem
Giną. Jennifer też się roześmiała.
Claire mogłaby przysiąc, że ich
oczy, ich ładne, barwne jak
klejnoty oczy, aż skrzyły się
radością, że ona poczuje się jak
kompletne zero. – Śmieciara!**

**–Ubrania? – Monica skrzyżowała
ramiona i udała, że się
zastanawia. – Znaczy chodzi ci o
te łachmany, które wyrzuciłyśmy?
Te, które zaległy się w pralce?**

-Tak, te.

-Za nic bym na siebie czegoś takiego nie włożyła.

-Nawet do czyszczenia toalety chłopaków – wypaliła Jennifer.

Monica, zirytowana, obróciła się i szturchnęła ją. – Tak, no kto jak kto, ty o toalecie chłopaków wiesz wszystko, prawda? Nie zrobiłaś tam czasem dobrze Steve'owi Gillespiemu w pierwszej licealnej? – Wydała z siebie parę ssących odgłosów i znów wszystkie wybuchły śmiechem, chociaż Jennifer minę miała niewyraźną.

Claire poczuła, że policzki oblewają jej się czerwienią, chociaż przecież, raz dla odmiany, to nie ona oberwała. – Jezu, Jen. Steve Gillespie? Lepiej nie chlap ozorem, jeśli nie możesz wymyślić czegoś, czego nie będziesz musiała się wstydzić.

Jennifer, jakżeby inaczej, swoją złość wyładowała na Claire. Pochyliła się w jej stronę i pchnęła Claire w stronę schodów.

–Zabieraj się wreszcie po swoje ciuchy! Mam już dość widoku tej twojej ciastowatej skóry...

–Tak, gimnazjalistko. Słyszałaś kiedyś o opaleniźnie? – Giną przewróciła oczami.

–A ty nie przeginaj – rzuciła Monica, co było o tyle dziwne, że wszystkie trzy miały najlepszą opaleniznę, jaką da się kupić za pieniądze.

Claire próbowała odzyskać równowagę. Ciężki plecak przeważał ją na jedną stronę i musiała przytrzymać się poręczy. Jen znów ruszyła w jej stronę, a potem boleśnie uderzyła Claire krawędzią dłoni na wysokości obojczyka.

–Nie! – krzyknęła Claire i odepchnęła rękę Jen. Mocno. Na sekundę zapadła cisza, a potem Monica odezwała się bardzo cicho:

–Właśnie uderzyłaś moją przyjaciółkę, głupia mała suko. Co ty sobie wyobrażasz, że tak sobie pozwalasz?

A potem podeszła i uderzyła Claire w twarz, tak mocno, że poleciała krew, tak mocno, że Claire pociemniało przed oczami, tak mocno, że ogarnęła ją ślepa furia.

Claire puściła barierkę i oddała uderzenie. Walnęła Monice prosto w wydatne usta i chociaż na tę jedną, rozpaloną do białości sekundę poczuła się zadowolona, ale wtedy Monica zasyczała jak oparzona kotka i Claire zdążyła tylko pomyśleć: Cholera, naprawdę nie powinnam była tego robić.

Nawet nie zauważyła ciosu, który tamta jej wymierzyła. Poczowała tylko, że ogarniają ciemność. Plecak na ramieniu przeważał ją na jedną stronę i znów się zachwiała.

Już prawie udawało jej się złapać równowagę, kiedy złośliwie uśmiechnięta Gina wyciągnęła rękę i pchnęła Claire na schody, gdzie nie miała się o co oprzeć plecami.

Spadała na dół, uderzając o każdy stopień. Plecak otworzył się i wyleciały z niego książki. Spadała, a u szczytu schodów Monica i Moniczkowe śmiały się, szyderczo pohukiwały i przybijały sobie piątki, ale widziała to tylko w niepołączonych ze sobą migawkach, w drgających stop – klatkach.

Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim wylądowała na samym dole, a potem rąbnęła głową w ścianę z nieprzyjemnym, mokrym plaśnięciem. Zapadła się w ciemność.

Później potrafiła przypomnieć sobie jeszcze tylko, że w tej ciemności rozległ się głos Moniki:

–Dzisiaj wieczorem. Dostaniesz za swoje, porąbańcu. Już ja o to zadbam. Kiedy Claire odzyskała przytomność, ktoś klęczał obok niej i nie była to Monica ani jej tipsiarska mafia, tylko Erica, która zajmowała czwarty pokój za

pokojem Claire. Erica wydawała się blada, zdenerwowana i przestraszona i Claire spróbowała się uśmiechnąć, bo tak właśnie trzeba zrobić, kiedy ktoś się boi. Nic jej nie bolało, dopóki nie spróbowała się poruszyć – wtedy poczuła pulsowanie w głowie, koszmary ból z tyłu czaszki, a kiedy uniosła rękę, żeby dotknąć głowy, namacała guza. Ale nie krwawiła. Głowa bardzo ją bolała, sądziła jednak, że czaszkę ma całą. Przynajmniej taką miała nadzieję.

–Nic ci nie jest? – spytała Erica, wymachując bezradnie rękoma,

kiedy Claire chwiejnie usiadła i oparła się plecami o ścianę. Zerknęła szybko ponad ramieniem Eriki na schody. Moniki nie było. Nikt oprócz Eriki nie wystawił nosa, żeby zobaczyć, co się dzieje – większość dziewczyn bała się łądować w kłopoty, a reszta zwyczajnie miała wszystko gdzieś.

–Nie... – powiedziała i udało j ej się nawet słabo roześmiać.

–Chyba się przewróciłam. – Chcesz iść do mordowni? – Czyli, w języku uczelnianym, do szkolnej przychodni. – Boże, może wezwać karetkę?

**–Nie. Nie, nic mi nie jest. –
Myślenie życzeniowe, ale chociaż
całe ciało okropnie ją bolało,
chyba niczego sobie nie połamała.
Claire wstała i skrzywiła się, bo
zabolała ją kostka. Podniosła
plecak. Wysypały się z niego
notatniki. Erica pozbierała je i
włożyła je z powrotem, a potem
podbiegła parę stopni w górę i
pozbierała porzucane
podręczniki.**

**–Cholera, Claire, czy ten cały
szajs naprawdę jest ci potrzebny?
Ile masz dzisiaj zajęć? – Sześć. –
Jesteś porąbana. – Erica,
zrobiwszy dobry uczynek, znowu**

traktowała Claire obojętnie, tak jak wszystkie drętwe dziewczyny z akademika. – Powinnaś iść do konowala, wyglądasz okropnie.

Claire przylepiła do twarzy uśmiech i nie przestawała się uśmiechać, dopóki Erica nie zniknęła w drzwiach.

„Dziś wieczorem”, szepnęła jej Monica. „Dostaniesz za swoje, porąbańcu”. Nie zadzwoniła po pomoc, nie sprawdziła nawet, czy Claire nie skręciła karku. Dla niej Claire mogła umrzeć. Nie, to jeszcze nie tak. Problem w tym, że ona chciała, żeby Claire umarła.

Claire poczuła w ustach smak krwi. Rozcięta warga krwawiła. Otarła brudne ślady grzbietem dłoni, a potem brzegiem T – shirtu i dopiero po chwili dotarło do niej, że to przecież jedyne ubranie, jakie jej zostało.

Muszę zejść do piwnicy i wyjąć swoje rzeczy ze zsypu. Sam pomyślał, żeby iść na dół – żeby w ogóle chodzić po tym akademiku samej – nagle ją przeraził. Monica tylko na to czekała. A pozostałe dziewczyny nie ruszą palcem. Nawet Erica, chyba najsympatyczniejsza z nich, bała się otwarcie stanąć po jej stronie.

Do diabła, ją też dręczyły. I pewnie cieszyła się, że to Claire obrywa najbardziej. To już nie była pogarda, z jaką traktowano ją w szkole średniej. To było coś gorszego, o wiele gorszego. A nie miała tu żadnych przyjaciół.

Była tu sama. I jeśli do tej pory nie bała się, to teraz zaczęła. Naprawdę mocno się wystraszyła. To, co zobaczyła dzisiaj w oczach fanek Moniki, nie przypominało dokuczania; to było coś gorszego. Już wcześniej znosiła szturchnięcia, szczypanie, potrącanie, wredny śmiech, ale Monika i Moniczkowe

przypominały stado lwów na polowaniu.

One próbowały mnie zabić.

Drżąc, zaczęła schodzić po schodach. Przy każdym stąpieniu krzywiła się z bólu i przypomniła sobie, że uderzyła Monice dość mocno, żeby zostawić na jej twarzy ślad.

Tak. One mnie zabiją.

Jeśli na idealnej twarzy Moniki pojawi się siniak, zrobią to na pewno.

ROZDZIAŁ 2

Erica miała rację: Claire powinna zajrzeć do konowala.

Zabandażowali jej tam kostkę u nogi, dali woreczek z lodem i pokiwali głowami nad sińcami, które już zmieniły kolor. Niczego sobie nie złamała, ale poobijała się tak, że miało ją boleć jeszcze przez kilka dni. Lekarz dla porządku zadał jej parę pytań o chłopaków i tak dalej, ale ponieważ mogła zgodnie z prawdą stwierdzić, że nie, wcale nie została pobita przez swojego chłopaka, wzruszył tylko

ramionami i poradził, żeby uważała, jak chodzi.

Wypisał jej też zwolnienie z zajęć, dał środki przeciwbólowe i kazał wracać do domu.

Do akademika za nic wracać nie zamierzała. Prawdę mówiąc, za wiele w swoim pokoju nie miała – trochę książek, kilka zdjęć z domu, jakieś plakaty... Nie miała jeszcze okazji zacząć nazywać tego miejsca domem i z jakiegoś powodu nigdy nie czuła się tam bezpiecznie. Akademik zawsze przypominał jej... przechowalnię. Przechowalnię dla dzieciaków,

które prędzej czy później wyniosą się stamtąd.

Pokuśtykała w stronę Kwadratu, wielkiego i pustego betonowego placu z paroma starymi ławkami i stolikami piknikowymi, ze wszystkich stron otoczonymi przez przysadziste, nieładne budynki, w większości wyglądające jak pudła z oknami. Pewnie zrealizowane projekty architektoniczne studentów. Słyszała plotki, że kilka lat temu jeden z tych budynków zawalił się, no ale z drugiej strony słyszała też plotki, jakoby któremuś woźnemu obcięto głowę

w laboratorium chemicznym i od tej pory tam straszy, albo że po zmroku uniwersytetu nawiedzają zombie, więc niespecjalnie w te opowieści wierzyła.

Południe już minęło i w Kwadracie nie kręciło się wielu studentów, bo nie było tam cienia – świetnie pomyślane, zwłaszcza że temperatura we wrześniu nadal wynosiła około trzydziestu stopni. Claire wzięła ze stojaka uniwersytecką gazetę, ostrożnie przysiadła na ławce tak rozgrzanej, że aż parzyła, i zajrzała na stronę z ogłoszeniami mieszkaniowymi. Pokoje w

akademikach odpadały; tylko Howard Hali i Lansdale Hali przyjmowały dziewczyny poniżej dwudziestego roku życia. Była za młoda, żeby się zakwalifikować do któregoś z akademików koedukacyjnych. Te głupie zasady ustalono pewnie jeszcze wtedy, kiedy dziewczyny nosiły krynoliny, pomyślała i przebiegła wzrokiem ogłoszenia o akademikach, aż doszła do działu „poza kampusem”. Tak naprawdę nie wolno jej było zamieszkać poza kampusem; mama i tata mogą dostać szału, kiedy się o tym dowiedzą, bez wątpienia.

Ale... Jeśli miała wybierać między Monicą a wściekłością rodziców, to wybierała to drugie. Mimo wszystko najważniejsze było wynieść się stąd gdzieś, gdzie będzie mogła poczuć się bezpiecznie, gdzie będzie mogła się uczyć.

Racja?

Pogrzebała w plecaku, wyciągnęła komórkę i sprawdziła, czy ma zasięg. Prawdę mówiąc, w Morganville – w samym środku prerii, w środku Teksasu, na największym zadupiu, jakie człowiek może sobie wyobrazić,

no chyba że się wybierze gdzieś do Mongolii – często nie było zasięgu. Na ekranie były dwie kreski, wystarczy.

Claire zaczęła dzwonić. Pierwsza osoba powiedziała jej, że już kogoś znalazła i rozłączyła się, zanim Claire zdążyła choćby powiedzieć: „Dziękuję”. Druga mówiła głosem zdziwaczałego, podstarzałego faceta. Trzecia okazała się zdziwaczalą starszą panią. Czwarta... No, czwarta była po prostu już zwyczajnie pocięta.

Piąte ogłoszenie z rzędu brzmiało: „Trójka współlokatorów

szuka czwartego, duży stary dom, prywatność zapewniona, czynsz rozsądny, wygoda”.

A to... No dobra, nie była pewna, czy stać ją będzie na ten „rozsądny” czynsz – szukała raczej czegoś „taniego jak barszcz”, ale przynajmniej ogłoszenie wydawało się nieco normalniejsze niż pozostałe. Trójka współlokatorów. To może oznaczać trzy osoby, które ujmą się za nią, jeśli Monicą i jej świtą ruszą tam na przeszpiegi... Hm.

Zadzwoiła. Włączyła się automatyczna sekretarka, a na

niej nagranie łagodnego, młodo brzmiącego męskiego głosu.

–Dzień dobry, tu Dom Glassów. Jeśli szukasz Michaela, to on w ciągu dnia śpi. Jeśli szukasz Shane'a, no to powodzenia, bo my nigdy nie wiemy, gdzie, do diabła, właśnie się podziewa...

–W tle zabrzmiał śmiech jeszcze przynajmniej dwóch innych osób. – A jeśli szukasz Eve, to złapiesz ją pod komórką albo w kawiarni. Ale, hej! Zostaw wiadomość. A jeśli dzwonisz w sprawie pokoju, to zajrzyj do nas. Adres: West Lot 716. – Zupełnie inny głos,

dziewczęcy, nasycony chichotem jak woda sodowa bąbelkami, dorzucił: – Tak, to taka piękna posiadłość. – A potem trzeci głos, tym razem męski: – Połączenie Przemięło z wiatrem i The Munsters. – Kolejne śmiechy, a potem brzęczyk.

Claire zamrugła, odkaszlnęła i wreszcie powiedziała:

–Hm... Cześć. Nazywam się Claire. Claire Danvers. I, hm, dzwonię w sprawie pokoju. Przepraszam. – A potem spanikowała i się rozłączyła. Ta trójka brzmiała tak... normalnie.

Ale robili też wrażenie dobrych znajomych. A ona z doświadczenia wiedziała, że grupki przyjaciół nie otwierają się zbyt chętnie, żeby przyjąć do swojego grona takiego mało atrakcyjnego geniuszka jak ona. Wcale nie wydawali się wredni, raczej... pewni siebie. Ona pewna siebie nie była.

Przejrzała resztę ogłoszeń i zrobiło jej się naprawdę ciężko na sercu. Jakby opadło ze dwa centymetry i jeszcze skrzywiło się trochę na bok. Boże, no to po mnie. Przecież nie może spać na ławce jak bezdomny, a akademik

odpada. Coś musiała wymyślić.

Dobra, pomyślała i zatrzasnęła klapkę komórki, a potem znów ją otworzyła, żeby zadzwonić po taksówkę.

„West Lot 716. Połączenie *Przeminęło z wiatrem* i *The Munsters*”. Okej.

Może przynajmniej ulitują się nad nią na tyle, że pozwolą jej tam zostać chociaż na jedną noc.

Taksówkarz – uznała, że to chyba jedyny taksówkarz w Morganville, bo pomijając kampus

uniwersytetu na skraju miasta, mieszkało tu zaledwie z dziesięć tysięcy ludzi – kazał na siebie czekać prawie godzinę. Claire od sześciu tygodni nie siedziała w samochodzie, odkąd rodzice odwieźli ją do miasta. Rzadko opuszczała teren uniwerku, a jeżeli już to tylko po to, żeby kupić jakieś używane podręczniki.

–Umówiłaś się z kimś? – spytał kierowca. Przez okno przyglądała się wystawom: sklepy z używaną odzieżą, antykwariaty z używanymi książkami, sklepy komputerowe. Wszystkie nastawione na studentów.

–Nie – powiedziała. – Dlaczego pan pyta? Taksówkarz wzruszył ramionami.

–Zwykle młodzi ludzie umawiają się ze znajomymi. Jeśli szukasz dobrej zabawy... Zadrżała.

–Nie. Ja... No tak, umówiłam się z kimś. Proszę, jeśli może się pan pośpieszyć... Mruknął coś i skręcił w prawo, a potem już tylko jedna przecznica dzieliła Uniwersytetkowo od Dziwadłowa. Nie umiała określić, skąd dokładnie brało się to wrażenie – budynki wiele się nie zmieniły, ale wyglądały na stare, a na ulicach

pojawiło się niewielu ludzi. Chodzili szybko i z opuszczonymi głowami. Nawet kiedy szli dwójkami czy trójkami, nie rozmawiali ze sobą. Gdy przejeżdżała taksówka, ludzie podnosili wzrok, a potem szybko opuszczali, zupełnie jakby oczekiwali jakiegoś innego samochodu.

Jakaś mała dziewczynka szła trzymana za rękę przez matkę, a kiedy taksówka przystanęła na światłach, dziewczynka pomachała ręką, trochę nieśmiało. Claire jej odmachiała.

Matka dziewczynki podniosła wzrok zaalarmowana i szybko wprowadziła dziewczynkę do sklepu z używanym sprzętem elektronicznym. Wow, pomyślała Claire. Wyglądam aż tak strasznie? Może i faktycznie wyglądała. A może po prostu w Morganville ludzie bardzo uważali na własne dzieci.

Zabawne. Teraz, kiedy o tym pomyślała, dotarło do niej, że w tym mieście czegoś brakuje. Ogłoszeń. Widywała je przez całe życie, ponalepiane na słupach telefonicznych... Ogłoszenia o zagubionych psach, o

zaginionych dzieciach czy dorosłych.

A tutaj nic. Nic.

–West Lot – odezwał się taksówkarz i przyhamował. – Dziesięć pięćdziesiąt.

Za pięć minut jazdy?! – pomyślała Claire zaskoczona, ale zapłacała. Przez chwilę miała ochotę pokazać mu środkowy palec, kiedy odjeżdżał, ale wyglądał jakoś tak groźnie, a poza tym ona naprawdę nie była dziewczyną, którą stać na takie gesty. Zazwyczaj. Tyle że to był

parszywy dzień.

Znów zarzuciła plecak, uraziła się przy tym w siniak na ramieniu i omal nie zrzuciła sobie tego ciężaru na nogi. Zapiekły ją łzy w oczach. Nagle znów poczuła się zmęczona i rozedrgana, przestraszona... W kampusie przynajmniej była na w miarę znajomym terenie, ale tutaj, w mieście, zaczynała się czuć obco.

Morganville było brunatne. Wypalone słońcem i wysmagane wiatrem. Gorące lato zaczynało ustępować gorącej jesieni, a liście na drzewach – nielicznych –

poszarzały na brzegach i szeleściły na wietrze jak papier. West Lot biegła w pobliżu dzielnicy zaliczającej się do części, która była pewnie dawnym willowym przedmieściem. Domy nie rzucały się w oczy... Zwykłe podmiejskie domy obłożone z farby.

Policzyła numery domów i zdała sobie sprawę, że stoi właśnie pod numerem 716. Obróciła się, spojrzała przed siebie i aż ją zatkało, bo kimkolwiek był facet, który nagrał tę wiadomość na sekretarce, w opisie domu się nie pomylił. Dom w jak filmowa

dekoracja, jak budynek z czasów wojny secesyjnej. Wysokie, nieco zszarzałe kolumny. Szeroka frontowa weranda, Dwa rzędy okien.

Ten dom był wielki. No, może nie wielki, ale większy, niż Claire sobie wyobrażała. Był wystarczająco duży na siedzibę studenckiego bractwa i chyba idealnie by się na ten cel narwał. Prawie widziała napis nad drzwiami.

Dom zdawał się opuszczony, ale wszystkie domy przy tej ulicy wydawały się opuszczone. Późne

popołudnie, jeszcze nikt nie wrócił z pracy. Kilka samochodów polyskiwało karoserią w rozpalonym do białości świetle słońca, kolory lakieru, lekko stłumione kurzem. Ale przed numerem 716 żaden nie parował.

To był jednak błąd, pomyślała i znów łzy napłynęły jej do oczu. Co miała zrobić? Podejść do drzwi i błagać, żeby ją przyjęli na współlokatorkę? Przecież to zupełny bezsens. W najlepszym razie uznają, że jest śmieszna, w najgorszym – że jej na głowę padło. Nie, zupełnie niepotrzebnie zmarnowała kasę na taksówkę.

Było gorąco, wszystko ją bolało, była nieprzygotowana na zajęcia i nie miała gdzie spać, po prostu problemy ją przytłoczyły.

Claire upuściła plecak na ziemię, schowała posiniaczoną twarz w dłoniach i rozplakała się jak dziecko. Prawie słyszy ją Monica mówi: „Beksa i mięczak”, ale od tego rozplakała się? tylko jeszcze bardziej i nagle pomyśli, żeby wrócić do domu, do mamy i taty, do pokoju, który przecież czekał na nią, wydał się lepszy. lepszy niż wszystko inne w tym przerażającym świecie...

–Hej... – odezwał się dziewczęcy głos i ktoś dotknął jej łokcia. – Hej, co ci się stało? Claire krzyknęła i podskoczyła, wylądowała na skręconej kostce i o mało się nie przewróciła.

Dziewczyna, która ją przestraszyła, złapała ją za ramię, żeby Claire nie upadła, sama też nieźle przestraszona.

–Przepraszam! Boże, jestem taka niezgraba. Słuchaj nic ci nie jest?

Ta dziewczyna to nie była Monica ani Jen, ani Giną, ani żadna inna dziewczyna w rodzaju

tych widywanych w kampusie, ta dziewczyna to była jakaś objechana Gotka. Nie w jakiś nie fajny sposób – nie miała miny pod tytułem: „Jestem tak strasznie mało super, że jestem bardzo super” jak większość Gotek, jakie Claire знаła ze szkoły – ale miała ufarbowane na czarno, nierówno ostrzyżone włosy, blady makijaż, oczy mocno podkreślone eyelinerem i tuszem, rajstopy w czerwone i czarne pasy, ciężkie czarne buty i czarną plisowaną minispódniczkę... Zdecydowanie fanka ciemnej strony mocy.

–Mam na imię Eve – przedstawiła

się dziewczyna i się uśmiechnęła. To był miły, szczerzy uśmiech. – Tak, rodzice naprawdę tak mi dali na imię, wyobraź sobie. Zupełnie jakby wiedzieli, jak skończę. – Jej uśmiech zbladł, kiedy dokładniej przyjrzała się twarzy Claire. – Wow. Jezu. Niezła śliwa. Kto ci przyłożył?

–Nikt. – Claire skłamała odruchowo, nawet się nie zastanawiając dlaczego, chociaż czuła przez skórę, że Gotka Eve nie okaże się najlepszą przyjaciółką szpanerki Moniki. – To był wypadek.

**–Tak – mruknęła Eve. – Też
miewałam kiedyś takie wypadki,
wpadałam na cudze pięści i tak
dalej. Jak już mówiłam, jestem
niezgraba. Dobrze się czujesz?
Potrzebujesz lekarza? Mogę cię
zawieźć, jeśli chcesz.**

**Wskazała na ulicę i Claire zdała
sobie sprawę, że kiedy ona
wyplakiwała sobie oczy, czarny,
zajeżdżony cadillac – z
obowiązkowymi tylnymi płetwami
– zaparkował przy krawężniku.
Przy wstecznym lusterku wisiała
radośnie wyszczerzona czaszka i
Claire nabrała pewności, że
czarny zderzak oblepiony jest**

naklejkami z nazwami kapel Emo, o których nikt nigdy nie słyszał. Już zaczynała lubić Eve.

–Nie – powiedziała i gniewnym gestem otarła łzy z oczu.

–Ja, hm. Okej, słuchaj, przepraszam. To był naprawdę podły dzień. Przyjechałam w sprawie pokoju, ale...

–A, jasne, pokój! – Eve strzepnęła palcami, jakby zupełnie o tym zapomniała i podskoczyła podekscytowana. – Świetnie! Przyjechałam do domu tylko na przerwę... Wiesz, pracuję w

**Common Grounds, tej kawiarni...
A Michaela jeszcze przez jakiś
czas nie będzie, ale możesz wejść
i obejrzeć dom, jeśli masz ochotę.
Nie wiem, czy jest Shane, ale...**

–Nie wiem, czy powinnam...

**–Powinnaś. Totalnie powinnaś. –
Eve przewróciła oczami.**

**–Nie uwierzyłabyś, jacy pogięci
ludzie usiłują się do nas wcisnąć.
Powaga. Wariaci. Jesteś pierwszą
normalną osobą, jaka się pojawiła.
Michael skopałby mi tyłek,
gdybym cię stąd wypuściła, nie
próbując przynajmniej się z tobą**

potargować.

Claire zamrugła. Wydawało jej się, że to już raczej ona będzie błagała, żeby ją przyjęli... I jeszcze normalna? Eve uważała, że ona jest normalna?

– Jasne – usłyszała własne słowa. – Bardzo chętnie.

Eve złapała jej plecak i przerzuciła sobie przez ramię, ponad swoją czarną, nabijaną srebrnymi ćwiekami torbą w kształcie trumny.

– Chodź ze mną. – A potem w

podskokach wbiegła na werandę domu stylizowanego na gotyk Południa i otworzyła drzwi.

Wewnątrz dom wydawał się stary, ale nie zapuszczony, podniszczony i tyle, uznała Claire. Tu i ówdzie przydałoby się pomalować, także fotele z kutego żelaza na werandzie dobrze by było odświeżyć. Frontowe drzwi miały dwa skrzydła, a nad nimi witrażową szybę.

–Yo! – wrzasnęła Eve i rzuciła plecak Claire na stojący w holu stolik, swoją torbę cisnęła obok, klucze wrzuciła do wyglądającej

na zabytkową popielniczkę z rączką z kutego żelaza w kształcie małpki. – Współspacze! Mamy tu żywinę!

Kiedy drzwi się za nią zatrzasnęły, Claire przyszło do głowy, że można to zinterpretować na kilka sposobów, i że jeden z nich – kojarzący się z *Teksańską masakrą piłą mechaniczną* – niespecjalnie dobrze jej wróżył. Stała jak wryta i się rozejrzała.

Na pierwszy rzut oka nic nie robiło niesamowitego wrażenia. Mnóstwo drewna, czysto i

bezpretensjonalnie. Meble nieco podniszczone, jakby miały już za sobą ładny kawał życia. Pachniało cytrynowym środkiem do ich czyszczenia i... Chilli?

–Yo! – znów krzyknęła Eve i pomaszerowała holem. Widać było z niego większy pokój. Z tego co dostrzegła Claire, stały tam skórzane kanapy i regały na książki, zupełnie jak w normalnym domu. Może tak się właśnie mieszka poza kampusem. Jeśli tak, byłby to spory krok naprzód po mieszkaniu w akademiku. – Shane, pachnie mi chilli, wiem, że tu jesteś! Ściągnij wreszcie

słuchawki z uszu!

W takim pokoju *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną* jakoś nie mogła sobie wyobrazić. To był plus. Seryjni zabójcy też jej się zresztą nie kojarzyli z gotowaniem chilli. Niezłego chilli, sądząc po zapachu. Z... czosnkiem?

Zrobiła kilka niepewnych kroków w głąb holu. Buty Eve załomotały w jakimś innym pokoju, może w kuchni. Dom wydawał się bardzo cichy. Nic nie wyskakiwało z kątów, żeby napędzić jej stracha, więc Claire z wahaniem ostrożnie ruszyła przed siebie, krok za

krokiem, aż do wielkiego salonu.

Na kanapie rozwalał się jakiś facet – tak, jak tylko faceci potrafią się rozwalać na kanapie. Ziewnął, mierzwiąc sobie włosy na głowie. Kiedy Claire otworzyła usta – sama nie wiedziała, czy po to, żeby się przywitać, czy żeby zacząć wołać o pomoc – zaskoczył ją i uciszył, uśmiechając się do niej i przykładając palec do ust.

–Hej – szepnął. – Jestem Shane. Co tam? – Parę razy zamrugał, a potem, nie zmieniając wyrazu twarzy, dodał: – O ja cię, niezła

śliwa. Boli, nie?

Pokiwała głową. Shane zdjął nogi z kanapy i usiadł, nie spuszczając z niej wzroku, opierając łokcie na kolanach. Miał brązowe, nierówno wycieniowane włosy, nie do końca udanie stylizowane na punka.

Był starszy, znaczy starszy od niej. Osiemnaście lat? Spory facet. Dość wysoki, żeby poczuła się jeszcze bardziej miniaturowa niż zwykle. Wydało jej się, że oczy ma też brązowe, ale nie ośmieliła się patrzeć w nie dłużej niż przez ułamek sekundy.

–Pewnie teraz powiesz mi, że ta druga laska wygląda gorzej? – spytał Shane. Pokręciła głową, a potem skrzywiła się, bo jeszcze bardziej ją zabolalo.

–Nie, ja... Hm. Skąd wiedziałaś, że to...?

–Laska? Proste. Przy twoim wzroście, gdyby takiego sińca zostawił ci facet, wylądowałabyś w szpitalu. No więc, co się stało? Nie wyglądasz, jakbyś lubiła szukać guza.

Pomyślała, że powinna się obrazić, ale, szczerze mówiąc,

wszystko zaczynało jej się wydawać jakimś dziwnym snem. Może po prostu jeszcze się z niego nie obudziła. Może leży w śpiączce w szpitalnym łóżku, a Shane jest tylko kiepską interpretacją kota z Cheshire.

–Jestem Claire – przedstawiła się i z lekkim skrępowaniem pomachała do niego dłonią. – Cześć. Wskazał jej ręką skórzany fotel z wysokim oparciem. Usiadła, machając nogami i czując ulgę. Odniosła wrażenie, że jest w domu, chociaż oczywiście to nie był dom, i zaczynało do niej docierać, że jej domem chyba nie

może się stać. Nie pasowała tutaj. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że się do nich dopasuje.

–Masz na coś ochotę? – spytał Shane. – Może na colę? Chilli? Bilet na autobus do domu?

–Colę – powiedziała i z zaskoczeniem dla samej siebie dodała: – i chilli.

–Mądry wybór. Sam je zrobiłem. – Zsunął się z kanapy dziwnie lekko jak na swoją posturę i na bosaka poszedł do kuchni, gdzie znikła Eve. Claire nasłuchiwała niewyraźnych od głosów ich

rozmowy i coraz bardziej zrelaksowana wtulała się w fotel. Do tej pory tego nie zauważyła, ale w domu utrzymywali chłód i leniwie krążący pod sufitem wiatrak chłodził jej rozpaloną, obolałą twarz. To było miłe. Otworzyła oczy, słysząc odgłos kroków Eve. Dziewczyna niosła tacę z czerwono – białą puszką, miseczką, łyżką i torebką z lodem. Ustawiła tacę na stoliku do kawy i przesunęła stół kolaniem w stronę Claire.

–Najpierw lód –
zakomenderowała. – Nigdy nie wiadomo, co Shane doda do chilli.

Możesz zacząć się bać.

Shane skierował się w stronę kanapy i rozwalił się na niej, popijając jakiś napój z puszki. Eve rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

–Stary, dzięki, że i dla mnie przyniosłeś. – Czarny makijaż podkreślał biel białek oczu. – Pacan.

–Nie wiedziałem, czy masz ochotę posypać sobie chilli proszkiem z zombie, czy czymś innym. O ile w tym tygodniu w ogóle jadasz.

–Kretyn! Claire, jedz – ja sobie zaraz przyniosę. Claire wzięła łyżkę i ostrożnie spróbowała chilli, które okazało się gęste, pikantne, z dużą ilością mięsa i czosnku. Pyszne. Przyzwyczaiła się już do stołówkowego jedzenia, a to było... Wow. Inne. Shane przyglądał się jej z uniesionymi brwiami, a ona pałaszowała z apetytem.

–Dobre – mruknęła. Zasalutował jej leniwym gestem. Kiedy opchnęła już połowę miseczki, Eve wróciła z tacą, którą postawiła na drugiej połowie stolika do kawy. Usiadła na

podłódze, skrzyżowała nogi i zabrała się do jedzenia.

–Nie najgorsze – powiedziała wreszcie. – Tym razem nie dodałeś Boskiego Sosu.

–Zrobiłem dla siebie – sprostował Shane. – Stoi w lodówce z nalepką „Zagrożenie biologiczne”, więc nie jęcz, jeśli sobie poparzysz język. Gdzie znalazłaś tego bezpańskiego kotka?

–Przed domem. Przyszła w sprawie pokoju.

–I najpierw ją pobiłaś, żeby sprawdzić, czy jest dość odporna?

–A ugryź się chłoptasiu od chilli!

–Nie zwracaj uwagi na Eve – powiedział Shane. – Ona nie cierpi pracować w ciągu dnia. Boi się, że się opali.

–A Shane po prostu nie cierpi pracować, kropka. No to jak ci na imię?

Claire już otwierała usta, ale Shane ją ubiegł, najwyraźniej zadowolony, że ma przewagę nad

współlokatorką.

–Claire. A co, nawet nie zapytałaś? I to jakaś dziewczyna ją pobiła. Pewnie któraś wydra z akademika. Wiesz, co to za miejsce.

Wymienili spojrzenia. Eve znów zwróciła się do Claire.

–To prawda? Pobiły cię w akademiku? – Claire pokiwała głową, szybko wpychając jedzenie do ust, żeby nie musieć za dużo mówić. – No cóż, totalna padaka. Nic dziwnego, że szukasz pokoju. – Znów pokiwała głową. – Nie

masz ze sobą zbyt dużo bagażu.

**–Bo w ogóle niewiele mam –
wyjaśniła Claire. – W akademiku
zostawiłam tylko książki i może
jeszcze parę rzeczy. Ale...ja nie
chcę tam po nie wracać. Nie
dzisiaj.**

**–Dlaczego nie? – Shane podniósł
z podłogi zniszczoną piłkę i rzucił
ją W górę, tuż obok wirujących
ramion wiatraka. Złapał ja potem
bez wysiłku. – Ktoś nadal ma
ochotę ci dowalić?**

**–Tak – przyznała Claire i
spojrzała w miseczkę, gdzie**

zostało już niewiele chilli. – Chyba tak. Ale nie chodzi tylko o nią. Ona ma... przyjaciółki. A ja... nie. To miejsce zresztą w ogóle jest... No cóż, dziwne.

–Znam to – powiedziała Eve. – Och, wiem, co to znaczy mieszkać z dziwakami. Shane udał, że ciska w nią piłką. Ona udała, że się uchyla.

–O której wstanie Michael? Shane znów udał, że w nią rzuca.

–Do diabła, Eve, pojęcia nie mam. Uwielbiam tego faceta ale czy ja go pilnuje? Idź, zapukaj do

jego pokoju i spytaj. Ja pójdę się szykować.

–Szykować do czego? – spytała Eve. – Chyba nie zamierzasz znów wyjść?

–Zamierzam, owszem. Idę na kręgle. Na imię ma Laura, jeśli chcesz znać więcej szczegółów, to będziesz musiała ściągnąć całe wideo jak wszyscy. – Shane wstał z kanapy i podszedł w stronę szerokich schodów. – To na razie, Claire.

–Zaraz, moment! Uważasz, że Claire może u nas zostać czy nie?

Shane machnął ręką.

–Ludzie, jak sobie chcecie. Jeśli o mnie chodzi, nie ma sprawy. – Rzucił w stronę Claire szybkie spojrzenie i dziwnie słodki uśmiech, a potem wbiegł po schodach. Poruszał się jak sportowiec, ale bez buty, do jakiej przywykła. Był całkiem atrakcyjny.

–Faceci – westchnęła Eve. – Fajnie byłoby mieć tu jeszcze jakąś dziewczynę. Oni są wszyscy tacy sami. „Nieważne”, a potem, kiedy trzeba posprzątać dom albo pozmywać naczynia, zamieniają się w duchy. Nie żebyś musiała tu

**zostać pokojówką. Znaczy...
Trzeba się tylko na nich drzeć,
póki nie zrobią tego, co do nich
należy, bo inaczej wejdą ci na
głowę.**

**Claire uśmiechnęła się, ale
zabolała ją pęknięta warga i
poczuła, że ranka znów się
otwiera. Krew pociekła jej po
brodzie, więc szybko złapała
serwetkę, którą Eve położyła na
jej tacy i przycisnęła ją do ust.
Eve obserwowała to w milczeniu,
marszcząc brwi, a potem
podniosła się z podłogi, wzięła
woreczek z lodem i łagodnie
przyłożyła go do guza na czole**

Claire.

–I jak teraz? – spytała.

–Lepiej. – Bo było lepiej. Lód zaczął uśmierzać ból niemal natychmiast, a jedzenie przyjemnie ciepłem rozgrzewało żołądek. – Hm, chyba powinnam zapytać... W sprawie tego pokoju...

–No cóż, najpierw musisz poznać Michaela i on musi się zgodzić, ale Michael jest słodki, naprawdę. Aha, ten dom należy do niego. A przynajmniej do jego rodziny. Zdaje się, że wyprowadzili się i

zostawili go tutaj ze dwa lata temu. Jest ode mnie jakieś pół roku starszy. Wszyscy mamy mniej więcej po osiem naście lat. Michael jest najstarszy.

–Sypia w ciągu dnia?

–Tak. Znaczą sama lubię przespać dzień, ale jemu to już zupełnie odważyło. Raz go nazwałam wampirem, bo on naprawdę nie lubi wstawać przed zachodem. Ale go tym nie rozbawiłam.

–A jesteś pewna, że nie jest wampirem? – spytała Claire. –

Widziałam różne filmy. Można się wystraszyć. – Chciała, żeby to zabrzmiało jak żart, ale Eve się nie uśmiechnęła.

**–Och, w miarę pewna. Na przykład je chilli Shane'a, które, Bóg świadkiem, ma w sobie więcej czosnku niż trzeba, żeby wysadzić z dziesięciu wypasionych Drakuli. A raz zmusiłam go, żeby dotknął krzyża.
– Eve pociągnęła duży łyk coli.**

–Ty... co? Do czego go zmusiłaś?!

–No cóż. Dziewczyna musi

przecież uważać, a już zwłaszcza tutaj. – Claire musiała zrobić głupią minę, bo Eve znów prze wróciła oczami. Claire zauważyła już, że to jedna z jej ulubionych min. – No, rozumiesz. W Morgamdle.

–Nie rozumiem.

–Ty nie wiesz? Jak to możliwe, że nie wiesz? – Eve odstawiała puszkę i przyklękła na kolanach, łokcie opierając na stoliku do kawy. Minę miała przejętą. A oczy ciemnobrązowe, ze złotawymi obwódkami wokół tęczówek. – W Morganville roi się od wampirów.

Claire wybuchła śmiechem.

Ale Eve nie. Nadal się w nią wpatrywała.

–Hm... Żartujesz, oczywiście?

**–Ile osób co rok ukończy
tutejszy uniwersytet?**

**–Sama nie wiem... To dziwna
uczelnia, prawie wszyscy się stąd
przenoszą...**

**–Wszyscy wyjeżdżają. A
przynajmniej znikają, prawda? Nie
wierzę, że tego nie wiesz. Nikt ci
nie powiedział, o co biega, zanim**

się tu wprowadziłaś? Posłuchaj, wampiry rządzą tym miastem. To one tu dowodzą. A ty albo się z tym godzisz, albo nie. Jeśli dla nich pracujesz, to udajesz, że ich tu nie ma, że nie istnieją, a kiedy coś się dzieje, odwracasz wzrok w inną stronę. I wtedy twoja rodzina jest ulgowo traktowana. Jesteś pod Ochroną. W przeciwnym razie...

Jaaasne, pomyślała Claire i odłożyła łyżkę. Nic dziwnego, że nikt u tych ludzi jeszcze nie wynajął pokoju. To wariaci. Wielka szkoda. Pomijając opowieści o wampirach, naprawdę zdążyła ich

polubić.

–Uważasz, że nie mam piątej klepki – westchnęła Eve. – Rozumiem to. Też bym tak pomyślała o sobie, tyle że wychowałam się w domu objętym Ochroną. Tata pracuje dla firmy wodociągowej. Mama jest nauczycielką. Wszyscy nosimy to. – Wyciągnęła rękę. Na nadgarstku miała czarną skórzaną bransoletkę z czerwonym symbolem, którego Claire nie umiała rozpoznać. Przypominał nieco chiński ideogram. – Widzisz, że mój jest czerwony? Przeterminowany. To trochę jak

ubezpieczenie zdrowotne. Dzieci są nim objęte tylko do osiemnastego roku życia. Moje wygasło pół roku temu. – Popatrzyła na bransoletkę z żalem, a potem wzruszyła ramionami, rozpięła ją i rzuciła na tacę – Właściwie równie dobrze mogę ją przestać nosić. Przecież nikogo na nianie nabiorę.

Claire bezradnie popatrzyła na Eve, zastanawiając się, czy ktoś tu sobie nie żartuje jej kosztem. Za moment Eve może wybuchnąć śmiechem i nazwać ją idiotką za to, że dała się nabrać, a Shane przestanie być taki słodko leniwy i

zrobi się okrutny, a potem wywalą ją za drzwi, przez cały czas się z niej naśmiewając. Bo przecież ten świat tak nie działa. Przecież nie może być tak, że kogoś polubisz i nagle on się zamienia w świra, prawda? Człowiek powinien umieć się wcześniej zorientować.

Inne wytłumaczenie – że Eve wcale nie oszalała – jakoś nie bardzo przypadło Claire do gustu. Przypomniała sobie ludzi na ulicach, chodzących szybko i z opuszczonymi głowami. To, jak matka schowała się ze swoją córeczkę w sklepie, kiedy ktoś do małej przyjaźnie pomachał.

–Możesz sobie myśleć, że mam świra – powiedziała Eve i znów przysiadła na piętach. – Niby dlaczego nie miałabym mieć? Zresztą nie zamierzam cię przekonywać. Tylko... Nie wychodź sama, kiedy jest ciemno, chyba że masz towarzystwo. Kogoś Chronionego, jeśli się da. Zwracaj uwagę na bransoletki. – Eve wzięła swoją. – Ten symbol jest biały, kiedy Ochrona jest aktywna.

–Ale ja... – Claire odkaszlnęła, usiłując coś wymyślić. Jeśli nie możesz powiedzieć nic miłego... – Dzięki. Hm, a Shane jest...?

— Shane? Chroniony? – Eve parsknęła. – Nawet gdyby był chroniony, w co wątpię, nigdy by się do tego nie przyznał i nie nosił bransoletki. Michael... Michael też nie, ale ten dom ma coś w rodzaju Ochrony standardowej. Jesteśmy tu takimi trochę wyrzutkami. Zresztą w grupie bezpieczniej.

Naprawdę dziwna to była rozmowa przy miseczce chilli i coli. Claire niespodziewanie ziewnęła. Eve się roześmiała.

–Powiedzmy, że to była bajka na dobranoc – powiedziała. – Chodź, zaprowadzę cię do pokoju. W

najgorszym razie poleżysz przez chwilę, lód podziała, a potem sobie pójdiesz. Albo, hej, może obudzisz się i zdecydujesz, że jednak chcesz pogadać z Michael'em. Twój wybór.

Ogarnęła ją kolejna fala chłodu. To pewnie dlatego, że oberwała w głowę, a teraz była zmęczona. Sięgnęła do kieszeni, znalazła listek proszków, które lekarz jej przepisał, i połknęła jeden, popijając ostatnim łykiem coli. A potem pomogła Eve odnieść tace do kuchni, która okazała się wielka, z ogromnymi kamiennymi zlewami, starymi, błyszczącymi

blatami i dwoma nowoczesnymi sprzętami – kuchenką i lodówką. Chili przyrządzone zostało w kamionkowym naczyniu, które jeszcze pyrkotało na ogniu.

Kiedy naczynia zostały umyte i schowane, a śmieci wyrzucone, Eve wzięła plecak Claire z podłogi i poprowadziła ją w stronę schodów. Na trzecim stopniu Eve obróciła się zaniepokojona i spytała:

–Uda ci się wejść po schodach? Bo, wiesz...

–Dam radę – skłamała Claire.

Kostka nogi bolała ją jak diabli, ale chciała zobaczyć pokój. A jeśli miało się okazać, że jednak potem każą się jej wynosić, to chciała przynajmniej jeszcze jedną noc przespać w łóżku, nieważne jak starym i niewygodnym. Do podestu miała trzynaście stopni. Weszła na samą górę, chociaż na balustradzie, której Shane wcześniej nawet nie dotknął, wbiegając po schodach, zostawiała ślady spoconych palców.

Kroki Eve stłumił gruby, staroświecki chodnik, cały w kolorowe zawijasy, ułożony na

środku ciemnego, błyszczącego parkietu. W korytarzu było sześć par drzwi. Kiedy je mijały, Eve wymieniała:

–Shane. – Przy pierwszych drzwiach. – Michael. – Przy drugich. – To też jego. To podwójna sypialnia. – Przy trzecich: – Duża łazienka. – Przy czwartych: – Druga łazienka jest na dole. To wyjście awaryjne, w razie gdyby Shane przez godzinę nakładał sobie żel na włosy, czy coś...

–A ugryź się! – wrzasnął Shane zza zamkniętych drzwi. Eve

uderzyła w nie pięścią i poprowadziła Claire do ostatnich dwóch par drzwi. – Tu jest mój pokój. Twój na samym końcu.

Kiedy otworzyła drzwi na oścież, Claire – przygotowana na rozczarowanie – osłupiała. Po pierwsze, pokój był wielki. Prawie trzy razy większy niż jej pokój w akademiku. Po drugie, był narożny, z trzema – trzema! – wielkimi oknami, w tej chwili dokładnie zasłoniętymi żaluzjami i zasłonami. Łóżko to wcale nie było jakieś akademikowe wyrko, tylko wielki sprężynowy materac na solidnej drewnianej skrzyni, z

kolumnienkami w rogach, z ciemnego drewna. Pod jedną ze ścian stała komoda dość duża, żeby pomieścić, no cóż, ze cztery czy pięć razy tyle ubrań, ile Claire posiadała w całym życiu. Do tego szafa. Do tego...

–To telewizor? – spytała słabym głosem.

–Tak. Satelita. Ale musiałybyś się dorzucić do rachunku albo wystawić go z pokoju. Aha, i mamy też Internet. Tam jest gniazdko. Powinnam cię jednak uprzedzić, że tutaj monitoruje się wchodzenie do sieci. Musisz

uważać, co piszesz i do kogo.

–Eve położyła plecak na komodzie. – Nie musisz się decydować od razu. Chyba powinnaś najpierw odpocząć. Masz tu lód.

–Podeszła z Claire do łóżka i pomogła jej zdjąć narzutę, a kiedy już Claire usiadła i zdjęła buty, otuliła ją kołdrą całkiem jak matka i przyłożyła woreczek z lodem do jej czoła. – Kiedy się obudzisz, Michael pewnie będzie na nogach. Ja muszę wracać do pracy, ale to nic nie szkodzi. Naprawdę. Claire uśmiechnęła się do niej, nieco

nieprzytomnie, środek przeciwbólowy zaczął działać. Znow przeszedł ją dreszcz.

–Dzięki Eva – powiedział – To jest... Wow.

–Wygląda na to, że przyda ci się dziś nieco takiego „wow”. – Eva wzruszyła ramionami i posłała Clarie śliczny uśmiech – Spij smacznie. I nie martw się, wampiry się tu nie dostana. Ten dom ma Ochronę, nawet jeśli my je nie mamy.

Kiedy Eva wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi, Clarie

przez parę chwil jeszcze się nad tym zastanawiała, a potem jej myśli odpłynęły do miękkiej poduszki, tego, jak jej dobrze, i jaka świeża w dotyku jest pościel...

Przyśniło jej się coś przedziwnego: pokój, w którym ktoś blady i milczący siedział na obitej aksamitem sofie, przeglądając strony jakiejś książki i płacząc. Nie przeraził jej ten obraz, ale co chwila ogarniał ją chłód, a ten dom... Dom wydawał się pełen szeptów.

Wreszcie usnęła twardo. Nie

Śniła.

Nawet o Monice.

Nawet o wampirach.

ROZDZIAŁ 3

O budziła się po ciemku, wzdrygając się tak gwałtownie, że torebka z lodem, w której chlupotała już tylko woda, ześlizgnęła się z poduszki i spadła na podłogę. W domu było cicho, pomijając lekkie skrzypienia, jakie domy wydają nocą. Na zewnątrz wiatr poruszał podeschniętymi liśćmi drzew; dosłyszała też muzykę dobiegającą zza zamkniętych drzwi.

Claire wstała, po omacku poszukała lampy i znalazła ją tuż

przy łóżku – z witrażowym abażurem w stylu Tiffany'ego, naprawdę ładną. Jej kolorowy blask odegnał wszelkie nocne strachy. Muzyka była niespieszna, kontemplacyjna, grana na gitarze, nieco alternatywna. Włożyła buty, zerknęła w lustro nad komodą i doznała szoku. Twarz nadal ją bolała, a teraz stało się jasne dlaczego – prawe oko miała zapuchnięte, skórę wokół niego fioletową. Pęknięta warga błyszczała i też nieładnie obrzmiała. Twarz Claire – zawsze blada – wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Krótkie,

**postrzępione czarne włosy
skołtuniły się, ale przeczesła je
palcami i dało się patrzeć. Nigdy
nie przejmowała się makijażem,
nawet kiedy podkradała mamie
kosmetyki, ale dzisiaj przydałaby
się jej odrobina podkładu i
korektora. Wyglądała jak
dziewczyna zaniedbana,
zmęczona i bezdomna.**

**No cóż, przecież nie odbiegało to
od prawdy.**

**Claire odetchnęła głęboko i
otworzyła drzwi sypialni. Na
korytarzu paliły się światła, ciepłe
i złotawe, a muzyka dobiegała z**

dołu, z salonu. Zerknęła na zegar wiszący na ścianie; było już po północy – przespała ponad dwanaście godzin.

A na dodatek opuściła wszystkie dzisiejsze zajęcia. Nie miała ochoty pokazywać się na uczelni w tym stanie, nawet gdyby tak paranoicznie nie bała się, że Monica będzie się za nią snuła... Ale później będzie musiała przysiąść nad książkami. Kostka nadal dokuczała jej najbardziej, z każdym krokiem przeszywając nogę igłami bólu.

Była już w połowie schodów,

kiedy zobaczyła chłopaka siedzącego na kanapie, tam gdzie wcześniej wylegiwał się Shane. W rękach miał gitarę.

Och, ta muzyka. Sądziła, że to jakieś nagranie, ale nie, to była muzyka grana na żywo, i to on grał. Jeszcze nigdy takiej muzyki nie słyszała, granej w taki sposób. On był... wow. Był wspaniały.

Obserwowała go, stojąc jak wryta, bo najwyraźniej jeszcze jej nie zauważył; był tam tylko on, gitara i muzyka, a gdyby chciała jakoś określić to, co widziała w wyrazie jego twarzy, musiałyby

użyć jakiegoś poetycznego słowa, na przykład nostalgia. Był blondynem, włosy miał ostrzyżone mniej więcej tak jak Shane. Nie był tak postawny jak Shane, ani tak muskularny, chociaż chyba tak samo wysoki. Też nosił T – shirt, czarny, z logo jakiegoś piwa. Granatowe dżinsy. Był na bosaka.

Przerwał grę, opuścił głowę i sięgnął po stojące na stoliku otwarte piwo. Wzniósł toast w powietrze.

–No stary. Wszystkiego dobrego z okazji urodzin. – Wypił ze trzy

łyki, westchnął i odstawił butelkę.
– I za areszt domowy. A co mi tam. Nosił wilk razy kilka.

Claire odkaszlnęła. Obrócił się i zobaczył ją. Po sekundzie czy dwóch przestał marszczyć brwi.

–Ach. To ty chciałaś pogadać w sprawie pokoju. Shane mówił. Chodź, siadaj.

Zeszła, usiłując nie utykać, a kiedy weszła w krąg jasnego światła, zobaczyła, jak szybkim spojrzeniem inteligentnych błękitnych oczu skatalogował jej siniaki.

Nie skomentował ich ani słowem.

–Jestem Michael – przedstawił się. – A ty nie masz osiemnastu lat, więc ta rozmowa będzie bardzo krótka.

Usiadła, z walącym sercem.

–Jestem na studiach – powiedziała. – Na pierwszym roku. Nazywam się...

–Nie zalewaj mi tu i nic mnie nie obchodzi, jak się nazywasz. Nie masz osiemnastu lat. Sądzę, że nawet siedemnastu nie skończyłaś. Nie przyjmujemy do

tęgo domu nieletnich. – Głos miał głęboki i ciepły, ale – przynajmniej w tej chwili – twardy.

Nie żebyś tu musiała prenumerować „Hustlera”, ale wybacz, Shane i ja musimy zwracać uwagę na takie rzeczy. Wystarczy, że tu trochę pomieszkaś, i że ktoś choćby zasugeruje, że tu się coś działo...

–Czekaj – przerwała mu. – Ja bym tego nie zrobiła. Ani nie powiedziała. Ja wam naprawdę nie chcę narobić kłopotów. Ja tylko potrzebuję...

–Nie – powiedział. Schował gitarę do futerału i zamknął go na zatrzaski. – Przykro mi, ale nie możesz tu zostać. Takie mamy zasady.

Oczywiście, spodziewała się czegoś takiego, ale pozwoliła już sobie myśleć... Eve była taka miła, a Shane wcale nie taki okropny, i jeszcze ten pokój taki ładny... Ale Michael miał spojrzenie stanowcze. To była ostateczna odmowa.

Usta zaczęły jej drżeć i sama się za to znienawidziła. Dlaczego nie umie być twarda? Dlaczego nie

umie się postawić i walczyć o siebie, kiedy trzeba, nie wybuchając płaczem jak jakieś małe dziecko? Monica nie płakałaby. Monica by mu powiedziała, że jej rzeczy już leżą w tamtym pokoju, Monica rzuciłaby kasę na stół i sprawdziłaby, czy wtedy zdołałby odmówić.

Claire sięgnęła do kieszeni spodni i wyciągnęła portfel. – Ile? – spytała i zaczęła odliczać banknoty. Miała dwudziestki, więc wyglądało to jak kupa kasy. – Trzysta wystarczy? Mogę skołować więcej, jeśli trzeba.

Michael wyprostował się zaskoczony, lekko zmarszczył czoło. Sięgnął po piwo i pociągnął kolejny łyk, zastanawiając się nad odpowiedzią.

–Jak? – spytał.

–Co?

–Jak skołujesz więcej?

–Znajdę pracę. Sprzedam coś. – Nie miała wiele do sprzedania, ale w przypadkach awaryjnych zawsze mogła wykonać jakiś alarmowy telefon do mamy. – Michael, ja chcę tu zostać.

**Naprawdę. – Zdziwiona była
zdecydowaniem we własnym
głosie. – Tak, nie mam
osiemnastu lat, ale przysięgam,
nigdy nie będziecie mieć przeze
mnie kłopotów. Będę wam
schodzić z drogi. Chodzę na
zajęcia i dużo się uczę. Tylko tym
się zajmuję. Nie bywam na
impresach. Nie jestem leniwa.
Mogę się przydać. Ja... ja chętnie
pomogę sprzątać i gotować.**

**Zamyślił się, przyglądając się jej.
To był taki facet, że widać było po
nim wyraźnie, że myśli. Trochę to
było przerażające, chociaż pewnie
wcale nie zamierzał jej przerazić.**

**Było w nim coś takiego...
dorosłego. Był taki pewny siebie.**

**–Nie – powiedział. –
Przepraszam, mała. Ale to po
prostu zbyt wielkie ryzyko.**

**–Eve jest przecież ode mnie
niewiele starsza.**

**–Eve skończyła osiemnaście lat.
A ty co, szesnastka?**

**–Mam prawie siedemnaście! – O
ile nieco nagiąć definicję słowa
„prawie”. – Naprawdę jestem
studentką. Na pierwszym roku.
Proszę, to moja legitymacja...**

**–Wróć za rok. Wtedy pogadamy
– zignorował legitymację. –
Przykro mi. Dlaczego nie chcesz
mieszkać w akademiku?**

**–Zabiją mnie, jeśli tam zostanę –
wybąkała i opuściła wzrok na
splecione dłonie. – Dzisiaj
próbowały mnie zabić.**

–Co takiego?

**–Dziewczyny z akademika. Pobiły
mnie i zepchnęły ze schodów.**

**Cisza. Naprawdę długa.
Usłyszała skrzypnięcie skóry, a
potem Michael przyklęknął na**

**jedno kolano obok fotela. Zanim
zdołała go powstrzymać, pomacał
guza na jej głowie, odchylając jaw
tył, żeby dokładnie przyjrzeć się
siniakom i zadrapaniom.**

–Co jeszcze? – spytał.

–Co?

**–Poza tym co widzę. Nie
padniesz mi tu trupem, mam na
dzieję? Wow. Wrażliwiec.**

**–Nic mi nie będzie. Byłam u
lekarza. To tylko siniaki. I
skręcona kostka. Ale zepchnęły
mnie ze schodów, serio, a ona mi**

powiedziała... – Nagle przypomniało się jej, co Eve mówiła o wampirach i słowa same zaczęły się jej cisnąć na usta. – Ta dziewczyna, która nimi rządzi, ona mi powiedziała, że dzisiaj wieczorem dostanę, co mi się należy. Ja nie mogę wrócić do akademika, Michael. Jeśli wywalisz mnie za drzwi, to one mnie zabiją, bo ja nie mam tu żadnych przyjaciół i nie mam dokąd pójść!

Jeszcze przez parę sekund klęczał, patrząc jej prosto w oczy, a potem cofnął się i usiadł na kanapie. Znow otworzył futerał i

wziął w ręce instrument. Claire pomyślała, że to dla niego jak kocyk bezpieczeństwa, kiedy tak siedział z tą gitarą w objęciach.

–Te dziewczyny. Czy one wychodzą na zewnątrz w dzień? Zamrugła zdziwiona.

–Na zewnątrz? Jasne. Chodzą na zajęcia. Znaczą czasami.

–Noszą bransoletki? Znów zamrugła.

–Chodzi ci o takie jak... – Eve zostawiła swoją na stole, więc uniosła skórzaną obrączkę z

czerwonym symbolem. – Takie jak ta? Nigdy nie zwróciłam uwagi. Noszą dużo biżuterii.

Zastanowiła się teraz i być może faktycznie coś sobie przypomniała. Ale ta bransoletka wyglądała inaczej. One miały złote bransoletki. I Monica, a także wszystkie Moniczkowe nosiły je na prawych nadgarstkach. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. – Być może.

–Bransoletki z białymi symbolami? – Michael rzucił to pytanie lekko, pochylił przy tym głowę i skoncentrował się na

strojeniu gitary. Strojenie nie było jej potrzebne. Każda nuta zdawała się idealna, kiedy cicho unosiła się ze strun. – Pamiętasz?

–Nie. – Poczwała, że ogarniają fala czegoś, co przypominało panikę, ale też nadzieję. – Czy to znaczy, że one mają Ochronę?

Zawahał się na moment, wystarczająco długo, żeby dotarło do niej, że się zdziwił.

–Chodzi ci o gumki? – spytał. – Chyba wszyscy ich używają?

–Wiesz, o co mi chodzi. –

Policzki ją paliły. Miała nadzieję, że nie rzuca się to w oczy.

–Nie wydaje mi się.

–Eve mówiła... Podniósł głowę gwałtownie i spojrzał z nagłym gniewem.

–Eve powinna trzymać język za zębami. Już i tak jest wystarczająco zagrożona, wałęsając się po całej okolicy w tych ciuchach Gotki. Już i tak uważają, że ona sobie z nich kpi. Jeśli do wiedzą się, że gada...

–Jacy oni? – spytała Claire.

Teraz to on musiał odwrócić wzrok.

–Ludzie – powiedział bezbarwnym tonem. – Słuchaj, ja nie chcę mieć na rękach twojej krwi. Możesz tu zostać kilka dni. Ale tylko póki sobie nie znajdziesz mieszkania, jasne? I pośpiesz się z szukaniem – ja nie prowadzę schroniska dla nastoletnich ofiar przemocy. Mam już dość zmartwień, usiłując powstrzymać Eve i Shane'a od pakowania się w kłopoty.

Jak na faceta, który tworzył taką piękną muzykę, brzmiał gorzko i

był nieco przerażający. Claire niepewnym gestem położyła pieniądze na stole przed nim. Przyjrzał się im, zaciskając szczęki.

–Czynsz to stówa miesięcznie – powiedział. – Raz na miesiąc robisz też zakupy spożywcze. Pierwszy miesiąc z góry. Ale skoro nie zostaniesz dłużej, resztę możesz zatrzymać.

Przełknęła głośno ślinę i zabrała dwie setki z trzech, które odliczyła.

–Dzięki – powiedziała.

–Witaj w Domu Glassów, Claire Darwers.

–Ale tylko tymczasowo.

–Tak, tymczasowo.

Wymienili uśmiechy, nieco skrępowani, a potem Michael sam posprzątał ze stołu, a Claire wróciła do swojego pokoju. Rozłożyła książki na wbudowanym we wnękę biurku i zaczęła się uczyć.

Nasłuchiwała, jak Michael grał na dole i przy tym miłym akompaniamencie zatopiła się w

swoim ukochanym świecie.

Rozdział 4

Ranek wstał słoneczny, a Claire obudził zapach smażonego bekonu. Szła do łazienki na końcu korytarza, ziewając. Prawie zapomniała, że ma na sobie tylko dość długi T – shirt, aż nagle się ocknęła: Boże, przecież tu mieszkają faceci. Na szczęście nikt jej nie widział, a łazienka była wolna. Ktoś już w niej dziś rano urzędował: lustra nadal były zaparowane, a wielkie czarno – białe wnętrze połyskiwało od skroplonej wody. Ale pachniało czystością. I czymś owocowym.

Kiedy mydliła się i spłukiwała pod prysznicem, odkryła, że ten owocowy zapach to szampon. A kiedy przetarła lustro i przyjrzała się sobie, zobaczyła, że ma sińce na całym ciele. Mogłam tam zginąć. Miałam jednak szczęście, pomyślała.

Znów włożyła T – shirt, a potem pognęła do swojego pokoju włożyć majtki, które uratowała wczoraj z pralki. Jeszcze były wilgotne, ale nie miała wyboru, a potem włożyła dżinsy.

Tknięta jakimś impulsem, otworzyła szafę i znalazła w niej

jakieś wepchnięte w kąat ciuchy. Głównie T – shirty ze zdjęciami kapel, o których nigdy nie słyszała i z paroma, które wydawały jej się przedpotopowe. I jeszcze kilka swetrów. Zdjęta z siebie poplamioną krwią bluzkę i włożyła wyblakły czarny podkoszulek. Po chwili zastanowienia buty zostawiła na podłodze, tam gdzie leżały.

Na dole Eve i Shane kłócili się w kuchni o sposób, w jaki należy smażyć jajecznicę. Eve twierdziła, że trzeba dodać mleka. Shane odparł, że mleko jest dla mięczaków. Claire minęła ich bez

słowa, podeszła do lodówki i wyciągnęła karton soku pomarańczowego. Nalała sobie trochę do szklanki i nadal w milczeniu podsunęła go sprzeczącą się dwójce. Eve nalała sobie soku, a potem oddała karton Shane'owi.

–A więc? – zaczął Shane. – Michael cię nie wyrzucił.

–Nie.

Chłopak powoli pokiwał głową. Był jeszcze potężniejszy i wyższy, niż zapamiętała, a jego skóra miała złotawobrazowy odcień,

jakby w lecie sporo czasu spędził na powietrzu. Jego włosy też miały taki połyskliwe brunatny odcień, trochę zblakły od słońca. Michael był natomiast naturalnym blondynem. No dobra, tak szczerze? Obaj to ciacha. Od razu pożałowała, że to pomyślała, ale przynajmniej udało jej się nie powiedzieć tego na głos.

–Powinnaś coś wiedzieć o Michaelu – ciągnął Shane. – On nie lubi ryzyka. Nie byłem pewien, czy pozwoli ci zostać. Skoro pozwolił, to znaczy, że wyczuł od ciebie jakieś dobre vibracje.

**Uszanuj to, bo jeśli nie... No, to ja też będę niezadowolony.
Jasne?**

Eve obserwowała ich w milczeniu. Claire wydało się, że to dla niej jakieś nowe doświadczenie, przynajmniej jeśli chodzi o milczenie.

**–Jest twoim przyjacielem,
prawda?**

–Uratował mi życie – powiedział Shane. – Dla niego mógłbym zginąć, ale głupio byłoby akurat tak mu za to dziękować. Więc – tak. Przyjaźnimy się od zawsze.

Michael jest dla mnie prawie jak brat. Więc nie narób mu kłopotów.

–Nie narobię – powiedziała. – I żadnego mleka do jajek.

–Widzisz? – Shane obrócił się do blatu i zaczął wybijać jajka do miski. – Mówiłem ci.

–Zdrajczyni – westchnęła Eve i wymieszała widelcem bekon na patelni. – No i jak ta Linda wczoraj wieczorem?

–Laura.

–Wszystko jedno. Przecież nie muszę pamiętać jej imienia dłużej niż jeden dzień.

–Nastukała sto pięćdziesiąt punktów.

–Boże, Shane, ale dałeś ciała! I to od razu! Shane uśmiechnął się lekko znad jajek.

–Hej, nie przy dziecku. Widziałaś kartkę.

–Dziecku? – To zaboląło. Claire postawiła talerze na blacie Z nieco większą energią niż należało. – Kartkę?

Shane podał jej złożoną kartkę papieru. Liścik był krótki i słodki i podpisany „Michael”. A stało w nim, że Claire nie ma osiemnastu lat i ta dwójka ma się nią opiekować, póki będzie mieszkała w Domu Glassów.

Miłe. Claire nie wiedziała, czy ma się wkurzyć, czy potraktować to jak komplement.

Jednak... wkurzyła się.

**–Nie jestem dzieckiem! –
powiedziała do Shane'a porywczo.
– Jestem tylko jakiś rok młodsza
od Eve!**

–A dziewczyny o wiele wcześniej dorastają – dodała Eve z mądrą miną. – Więc masz mniej więcej dziesięć lat więcej niż Shane.

**–Poważnie – upierała się Claire.
– Nie jestem dzieckiem!**

–Jak tam sobie uważasz, mała – stwierdził Shane obojętnie. – Wyluzuj. To tylko znaczy, że nie będziesz musiała wysłuchiwać, ile seksu mnie ominęło.

–Powiem Michaelowi – ostrzegła Eve.

–O tym, ile seksu mnie ominęło?

A proszę cię bardzo.

–Nie dostaniesz bekonu.

**–A ty jajek. Obu wam nie dam.
Eve spiorunowała go spojrzeniem.**

**– Wymiana jeńców? Przez chwilę
mierzyli się wzrokiem, a potem
wymienili się patelniami i zaczęli
nakładać jedzenie.**

**Claire już miała do nich dołączyć,
ale przy drzwiach zabrzmiał
dzwonek melodyjnym,
srebrzystym dźwiękiem. To nie
był żaden przerażający odgłos, a
jednak Eve i Shane zastygli i
popatrzyli po sobie, i to już było**

dziwne. Shane odstawił talerz na granitowy blat, oblizał palce z tłuszczu i polecił: – Schowaj ją gdzieś.

Eve pokiwała lekko głową. Sama też odstawiła talerz na blat, złapała Claire za rękę i zaciągnęła do spiżarni przez drzwi na wprost ukryte w cieniu obok niedbale ustawionej lodówki. Spiżarnia była wielka, ciemna i pełna kurzu. Na półkach stały puszki batatów i szparagów, i słoiki dżemów. Nad głowami miały lampę ze zwisającym z niej wyłącznikiem, ale Eve nie zapaliła światła. Sięgnęła za puszki z warzywami i

nacisnęła jakiś przycisk. Rozległ się zgrzyt i część tylnej ściany się przesunęła.

Eve pchnęła ją, sięgnęła po latarkę i podała ją Claire.

–Do środka – zarządziła. – Postaraj się nie świecić latarką. Światło może być widać przez szpary. – Claire pokiwała głową nieco ogłupiała i skuliła się, żeby prześlizgnąć się przez niskie wejście do... Sporego, pustego pomieszczenia o kamiennej posadzce i bez okien. W rogach wisiały pajęczyny i mnóstwo tu było kurzu, ale poza tym nie było

aż tak źle.

Do momentu, kiedy Eve zatrzasnęła drzwi i zapadła ciemność, a Claire włączyła latarkę i stanęła w kącie, oddychając szybko i płytko.

Zaledwie minutę temu żartowali nad jajkami z bekonem, a tu nagle... Co się, do diabła, stało? I dlaczego w tym domu są jakieś kryjówki? I to takie, z których, o ile się mogła zorientować, nie ma żadnych innych wejść czy wyjść?

Dosłyszała zbliżające się głosy i szybko wyłączyła latarkę. Kiepsko

się poczuła. Nigdy tak naprawdę nie bała się ciemności, ale ciemność zwykle nie bywała aż tak kompletnie czarna... Zawsze były jakieś gwiazdy, światło księżyca, lampy uliczne.

Tutaj było ciemno jak w grobie, ciemno choć oko wykol, a jej zrobiło się zimno na samą myśl o tym, że cokolwiek by tu wyciągnęło po nią łapy, ona by nawet nie zauważyła.

Claire przygryzła wargę, mocno ścisnęła w rękę latarkę i zaczęła przesuwając się wzdłuż ściany, aż namacała ręką drzwi, przez które

tu weszła. Wokół nich widziała, ledwo, ledwo, odrobinę światła, za ledwie smugę, ale to wystarczyło, żeby nieco uspokoiło się walące jej w piersi serce. Głosy. Głos Shane'a i jeszcze kogoś. Jakiegoś mężczyzny, niższego niż Shane.

–... standardowa procedura.

–Proszę pana, nikt tu nie mieszka poza osobami zameldowanymi. Tylko nasza trójka. – Shane mówił głosem przyciszonym i pełnym szacunku, było to do niego niepodobne. Nie znała go aż tak dobrze, ale

**wcześniej wydawał się trochę
bezczelny.**

**–A ty to który? – spytał tamten
głos.**

–Shane Collins, proszę pana.

**–Przyprowadź tu tego trzeciego
– powiedział głos.**

**–No cóż, chciałbym, ale...
Michaela nie ma. Wróci dopiero
wieczorem. Może zechce pan
wtedy sprawdzić...?**

**–Nieważne. – Claire,
nadstawiając uszu, dosłyszała**

szelest papierów. – A ty to Eve Rosser?

–Tak, proszę pana. – Eve mówiła głosem grzecznym, ale energicznie.

–Wyprowadziłaś się od rodziców... Osiem miesięcy temu?

–Tak, proszę pana.

–Zatrudniona?

–W Common Grounds. Wie pan, w tej kawiarni Mężczyzna, kimkolwiek był, przerwał jej.

**–A ty, Collins? Jakaś praca? –
Wyraźnie zwracał się do Shane'a.**

**–Właśnie zmieniam, proszę pana.
Wie pan, jak to bywa.**

**–To szukaj dalej. Nie lubimy tu w
Morganville obiboków. Każdy coś
robi.**

**–Tak, proszę pana. Będę o tym
pamiętał. Chwila milczenia. Może
w odpowiedzi Shane'a dało się
słyszeć nieco więcej tupetu niż
należało. Claire świadomie
zwolniła oddech, próbując
dosłyszeć coś więcej.**

–Wyjechałeś z miasta na parę lat, chłopcze. Co cię tu sprowadziło? Zatręskniłem za domem, proszę pana. – Tak, zdecydowanie znów zaczynał się stawiać, chociaż nawet Claire rozumiała, że to niedobry pomysł. – Brakowało mi dawnych przyjaciół.

Usłyszała, że Eve odchrząkuje.

–Proszę pana, przepraszam, ale za pół godziny zaczynam pracę...? Znów szelest papierów.

–Jeszcze jedna sprawa. Tu jest zdjęcie dziewczyny, która wczoraj

**wieczorem zniknęła z akademika.
Widzieliście ją?**

Oboje chórem zaprzeczyli:

**–Nie. Najwyraźniej im nie
uwierzył, bo w jej głosie nie
słyszała przekonania.**

**–A co tu jest? – Nie czekał, aż
usłyszy odpowiedź, z miejsca
otworzył zewnętrzne drzwi do
spizarni. Claire drgnęła i
wstrzymała oddech. – Zawsze
zostawiacie tu zapalone światło?**

**–Chciałam sięgnąć po dżem,
kiedy akurat zadzwonił pan do**

drzwi. Widocznie zapomniałam wyłączyć – powiedziała Eve. Była zdenerwowana. – Przepraszam.

Kliknięcie. Światło w spiżarni zgasło, wokół drzwi do schowka zrobiło się już zupełnie ciemno. Claire z trudem opanowała jęk. Nie ruszaj się. Nie ruszaj się. Po prostu wiedziała, że ten ktoś, kimkolwiek był, stał tam w mroku i nasłuchiwał.

A potem usłyszała wreszcie, jak mówi:

–Zadzwońcie na komisariat, jeśli zobaczycie tę dziewczynę.

**Wpakowała się w tarapaty.
Chcielibyśmy jej pomóc wyplątać się z nich.**

–Dobrze, proszę pana – przytaknęła Eve i drzwi spiżarni się zamknęły. Claire włączyła latarkę, osłaniając ją jedną ręką, i poświeciła nią w kąt – tylko trochę światła, tyle żeby się przekonała, że zombie nie czai się na nią w mroku. A potem czekała. Wydawało się, że trwało to długo, zanim usłyszała dwa raptowne stuknięcia w drzwi, które otworzyły się, zalewając ją potokiem światła. Ostry, biały makijaż Eve w połączeniu z

czarnym eyelinerem wydał jej się jeszcze bardziej niesamowity niż zwykle.

–W porządku – powiedziała i pomogła Claire wyjść z kryjówki. – Już poszedł.

–Och, do diabła, akurat w porządku – odezwał się Shane zza jej pleców. Ramiona skrzyżował na piersi i kołysał się na piętach w przód i w rył, marszcząc brwi. – Te dupki mają jej zdjęcie. Szukają jej. Claire, coś ty narobiła? Zasztyletowałaś burmistrza, czy jak?

**–Nic nie zrobiłam! –
zaprotestowała. – Ja... Ja nie
wiem, dlaczego... Może po prostu
się martwią, że wczoraj
wieczorem zniknęłam.**

**–Martwią się? – Shane roześmiał
się gorzko. – Tak, na pewno.
Martwią się o ciebie. Jasne. Będę
musiał pogadać o tym z
Michaeliem. Jeśli złączą
przetrzęsać całe miasto, żeby cię
znaleźć, to albo masz na sumieniu
trochę za wiele, żeby zostać w
Morganville, albo będziemy
musieli załatwić ci jakąś Ochronę i
to raz – dwa.**

Powiedział to tak samo jak przedtem Eve.

–Ale... Może policja...?

–To właśnie była policja – wyjaśniła Eve. – Mówiłam ci. To oni rządzą w tym mieście. Ci faceci pracują dla wampirów sami nimi nie są, ale i tak można się ich wystraszyć, nawet bez wampirzych kłów. Słuchaj, może zadzwoń do rodziców? Żeby cię zabrali z uczelni?

To by była najłatwiejsza rzecz pod słońcem, tylko że oznaczałaby porażkę, a rodzice

nie uwierzą w ani jedno słowo z tego wszystkiego, i gdyby usiłowała im wyjaśnić, skończyłyby się na psychotropach i terapii do końca życia. I kompletnie przepadłaby szansa – jakakolwiek szansa – na dostanie się do Yale albo MIT czy Caltech. Stwierdziła, że może głupio jest tak myśleć, ale to było dla niej najważniejsze.

Wampiry? Jakby nieco mniej.

–Ale... Ja przecież nic nie zrobiłam! – powtórzyła i popatrzyła na Shane'a, a potem na Eve, i znów na Shane'a. –

Dlaczego oni mnie szukają, skoro nic nie zrobiłam?

–Życie nie jest sprawiedliwe – powiedział Shane z całą pewnością siebie człowieka starszego o dwa lata i mającego dużo większe doświadczenie. – Musiałaś wkurzyć nie tych, co trzeba, tyle wiem. Jak ta dziewczyna ma na imię? Ta, która cię poobijała?

–M – Monica. Oboje wytrzeszczyli na nią oczy.

–O cholera – powiedziała Eve przerażonym tonem. – Monica

Morrell? A twarz Shane'a... była martwa. Nie malowały się na niej żadne uczucia, tylko w jego oczach pojawiło się coś przerażającego.

–Monica – powtórzył. – Jak to się stało, że nikt mi nie powiedział? Eve przyglądała mu się, zagryzając wargi.

–Przepraszam cię, Shane. Powiedzielibyśmy ci... Myślałam, że ona wyjechała z miasta. Że pojechała studiować gdzie indziej.

Shane otrząsnął się z tego czegoś, cokolwiek to było, i

wzruszył ramionami. Próbował robić taką minę, jakby nic go to nie obchodziło. Ale Claire wyraźnie widziała, że tak nie jest.

–Pewnie nie może znieść myśli, że gdzieś nie będzie rządziła i że musiałaby wracać z płaczem do tatusia, żeby kupić jej parę zaliczeń.

–Shane...

–Wszystko w porządku. Mną się nie przejmuj.

–Ona pewnie ciebie nawet nie pamięta – rzuciła Eve, a potem

**zrobiła taką minę, jakby
pożałowała, że to powiedziała. –
Ja... Nie tak to chciałam ująć.
Przepraszam.**

**Roześmiał się i ten śmiech
zabrział nie tak, jak trzeba, był
zbyt wymuszony. Potem na
moment zapadło dziwne
milczenie, a później Eve zmieniła
temat, sięgając stanowczym
gestem po talerz ze stygnącym
bekonem i jajkami.**

**A potem zamarła i przewróciła
oczami.**

–O cholera – jęknęła i zakryła

usta ręką.

–Co? Gestem wskazała talerze stojące na blacie. Shane'a, swój własny, i... Claire.

–Trzy talerze. Wiedział, że coś ściemniamy. Powiedzieliśmy mu, że Michaela nie ma w domu. Nic dziwnego, że tak węszył i węszył.

Shane nie odpowiedział, ale Claire widziała, że, o ile to możliwe, zdenerwował się jeszcze bardziej. Nie okazywał tego, ale wziął swój talerz i wyszedł do salonu, a potem, po dwa stopnie naraz, wbiegł na górę. Drzwi jego

pokoju na piętrze trzasnęły. Eve przygryzła wargę, patrząc w ślad za nim.

–A więc... Shane i Monica...? – domyśliła się Claire. Eve nadal patrzyła w stronę drzwi.

–To nie tak, jak myślisz – powiedziała. – On by tej zdziry nie tknął nawet kijem. Ale chodzili razem do liceum i Shane... On jej się naraził. Tak samo jak ty.

Claire nagle straciła apetyt na śniadanie.

–Co się stało?

–Postawił się jej, a potem jego dom się spalił. O mały włos nie zginął – mówiła Eve. – Jego... Jego siostra tyle szczęścia nie miała. Michael sam wywiózł go z miasta, zanim Shane zdążył zrobić coś strasznego. Nie było go tu ze dwa lata. Wrócił, tuż zanim się wprowadziłam. – Eve zdobyła się na wymuszony uśmiech. – Zjedzmy, dobra? Umieram z głodu.

Siedziały w salonie i gadały o byle czym, żeby nie rozmawiać o tym, co było najważniejsze. O tym, co teraz zrobić. Bo, jak wyczuwała Claire, żadna z nich

nie miała pojęcia.

Rozdział 5

Claire patrzyła na zegar – staroświecki, ścienny zegar ze wskazówkami, które wlokły się w żółtym tempie do jedenastej, a potem powoli ją minęły. Profesor Hamms właśnie zaczyna wykład, pomyślała i aż ją ścisnęło w żołądku. Już drugi dzień opuszczała zajęcia. Przez całe życie nie zdarzyło jej się, żeby przez dwa dni z rzędu opuściła lekcje. Jasne, cały podręcznik już przeczytała, i to dwa razy, ale wykłady są ważne. W ten sposób człowiek dowiaduje się rzeczy

naprawdę istotnych, zwłaszcza na tych z fizyki, gdzie przeprowadza się doświadczenia. Wykłady były fajne.

Dziś był czwartek. A skoro tak, to potem miała też zajęcia w laboratorium. Nie da się nadrobić laboratorium i nieważne, jak dobrą masz wymówkę.

Westchnęła, zmusiła się, żeby odwrócić wzrok od zegara i otworzyła podręcznik Rachunek różniczkowy H. Rachunek różniczkowy I zdała na teście tak, że mogła go przeskoczyć. Rachunek różniczkowy II też by

przeskoczyła, ale uznała, że może się nauczyć czegoś nowego o nierównościach liniowych, które zawsze stanowiły dla niej pewien problem.

–Co ty robisz, do diabła? – spytał Shane. Stał na schodach i gapił się na nią. Nie słyszała, jak się zbliżał, ale to pewnie dla tego, że był na bosaka. Włosy znów miał potargane. Może spał.

–Uczę się – powiedziała.

–Ha – odparł, jakby po raz pierwszy w życiu widział kogoś przy takim zajęciu. – Ciekawe. –

Przeskoczył przez barierkę schodów, trzy stopnie od dołu, i wyciągnął się na kanapie bok niej, włączając pilotem telewizor. – Będzie ci przeszkadzać.

–Nie – odparła grzecznie. Skłamała, no ale nie była jeszcze gotowa otwarcie mówić co i jak. To był jej pierwszy dzień u nich.

–Super. Może zrobisz sobie przerwę?

–Przerwę?

–No, to się tak nazywa, kiedy przez moment się nie uczysz... –

**Zerknął do jej podręcznika. –
Dobra, nieważne, jak to się
nazywa. Nie uczysz się i przez
chwilę robisz coś fajnego.**

**To taki zwyczaj w moich
rodzinnych stronach. – Rzucił
coś, co wylądowało na otwartym
podręczniku. Drgnęła i wzięła w
palce konsolę do gier wideo. –
Och, daj spokój. Nie wmówisz mi,
że nigdy nie grałaś na wideo.**

**Prawdę mówiąc, grała. Raz. I
niespecjalnie jej się spodobało.
Musiał poznać to po jej minie, bo
pokręcił głową.**

–To smutne. Słuchaj, po prostu musisz zrobić sobie przerwę. Okej, masz do wyboru: horror, akcja, symulacja samochodowa albo wojenna.

–To ma być wybór? – jęknęła. Zrobił urażoną minę.

–A co, chcesz jakieś gry dla dziewczyn? Nie w tym domu. Nieważne, zdecyduję za ciebie. Proszę. Strzelanina. – Wyszarpnął jakieś pudełko ze stosu piętrzącego się obok kanapy i załadował grę. – Łatwizna. Musisz tylko naciskać spust. Zaufaj mi. Nic tak człowiekowi nie poprawia

samopoczucia jak odrobi na wirtualnej przemocy.

–Wariat.

–Udowodnij mi, że nie mam racji. Chyba że się boisz, że sobie nie poradzisz. – Nie patrzył na nią, mówiąc to, ale i tak po czuła ukłucie. – Może to faktycznie nie dla ciebie.

Zamknęła *Rachunek różniczkowy II*, wzięła konsolę i patrzyła, jak kolorowa grafika pojawia się na ekranie telewizora.

–Pokaż mi, co mam robić

Uśmiechnął się.

–Mierzysz. Strzelasz. Spróbuj nie wejść mi z drogę.

Miał rację. Zawsze myślała, że to durnota siedzieć na kanapie przed telewizorem i zabijać wirtualne potwory, ale niech ją szlag, jeśli to nie była... świetna zabawa.

Niewiele czasu minęło, a wzdrygała się, kiedy jakieś stwory wyskakiwały z rogów ekranu i wrzeszczała tak samo jak Shane, kiedy udało jej się zastrzelić któregoś.

Kiedy zrobiła błąd i ekran nagle

wypełnił wyszczerzony zombie i plamy krwi, poczuła się, jakby ktoś wrzucił jej za kołnierz kostkę lodu.

–Ups – powiedział Shane i nadal strzelał. – Przykre. Czasami jest się zombie, a czasami posiłkiem. Ale szło ci nie źle, mała.

Odłożyła konsolę na kanapę i przez chwilę obserwowała grę.

–Shane? – odezwała się wreszcie.

–Zaraz... Cholera, niewiele brakowało. Co?

–Jak to się stało, że trafiłeś na Moniki...?

–Czarną listę? – podsunął i wpakował jeszcze parę kuł w zombie w sukience balowej, które właśnie skoczyło na niego. – Niewiele potrzeba, wystarczy nie płaszczyć się przed nią za każdym razem, kiedy wejdzie do pokoju. – Co, jak zauważyła, było mało konkretną odpowiedzią. Raczej odwrotnie. – A co ty zrobiłaś?

–Ja, no... Ośmieszyłam ją.

Nacisnął jakiś przycisk, który zatrzymał grę i obrócił się do

Claire.

–Co takiego?

–No, powiedziała, że II wojna światowa toczyła się w Chinach, i...

Shane parsknął śmiechem. Śmiał się głośno i z całego serca. W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego nerwowo.

–Jesteś większa zadziora, niż wydaje się z wyglądu, C. Nieźle. – Uniósł do góry otwartą dłoń. Niezręcznie przybiła mu piątkę. – O ludzие, jeszcze gorzej ci to idzie

niż gra. Dawaj jeszcze raz.

Pięć piątek później uznał, że wystarczająco opanowała ten gest i znów włączył grę.

–Shane? – zagaіła. Tym razem westchnął.

–Tak?

–Przepraszam, ale... W sprawie twojej siostry...

Cisza. Nie spojrział na nią, w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że słyszał choć słowo. Ciągle zabijał bestie. Szło mu

całkiem nieźle.

Claire nie miała odwagi nalegać. Wróciła do książki. Ale teraz nie wydawała jej się już tak samo interesująca. Po półgodzinie zamknęła ją, wstała, przeciągnęła się i spytała:

–O której wstanie Michael?

–Kiedy będzie miał ochotę. – Shane wzruszył ramionami. A co? – Skrzywił się, bo z trudem udało mu się uniknąć pokąsania przez zombie.

–Ja... No, pomyślałam, że może

pojadę do akademika po swoje rzeczy. Nacisnął przycisk i znów zatrzymał grę.

–Co?! – Tym razem skupił się tylko na Claire, a jej serce na moment stanęło, a potem zabiło szybciej. Faceci tacy jak Shane nie zwracali uwagi na takie szare myszki jak ona. Nie w taki sposób.

–Moje rzeczy. Chcę je zabrać z akademika.

–Wydawało mi się, że właśnie to powiedziałaś. Czy do ciebie nie dotarło, że szuka cię policja?

–Jeśli się odmelduję w recepcji – zauważyła logicznie – to już nie będę zaginiona. Mogę powiedzieć, że spałam gdzieś poza akademikiem. Wtedy przestaną mnie poszukiwać.

–W życiu nie słyszałem czegoś głupszego.

–Nieprawda. Jeśli oni uznają, że wróciłam do akademika, zostawią mnie na pastwę Moniki, tak? A to może potrwać parę dni, zanim ona się połapie, że nie zamierzam tam wracać. Do tego czasu może już o mnie zapomni.

–Claire... – Zmarszczył brwi, a potem pokręcił głową. – Nie ma mowy, żebyś tam poszła sama.

–Ale... One nie wiedzą, gdzie jestem. Jeśli pójdziesz ze mną, to się zorientują.

–A jeśli ty nie wrócisz z akademika, to ja będę musiał wyjaśnić Michaelowi, jak to się stało, że pozwoliłem ci iść tam i dać się zabić. Pierwsza zasada horrorów, C. – nigdy się nie rozdzielać.

–Nie mogę się tu ciągle ukrywać. Mam zajęcia!

–Przestań na nie chodzić.

–Wykluczone! – Ta myśl przerażała ją. Prawie tak samo jak myśl, że miałyby nie zaliczyć zajęć.

–Claire! Może to do ciebie nie dociera, ale masz kłopoty! Monica nie żartowała, kiedy zepchnęła cię ze schodów. Dla niej to była tylko rozgrzewka. Następnym razem może faktycznie się wkurzyć.

Wstała i zarzuciła plecak na ramię. – Idę.

–No to zgłupiałaś. Idiotki nie

zdołam uratować – powiedział Shane obcesowo i wrócił do gry. Nie patrzył już na nią, tylko wściekle strzelał. – Nie mów im, gdzie byłaś dziś w nocy. Niepotrzebne nam zamieszanie.

Claire zacisnęła zęby i zdusiła jakieś słowa, które cisnęły jej się na usta. A potem poszła do kuchni i wzięła parę worków na śmieci. Wciskała je do plecaka, kiedy usłyszała, że frontowe drzwi otwierają się, a potem zamykają.

–Przeklęte niech będą wasze rody! – wrzasnęła Eve, a potem Claire usłyszała dźwięk kluczy

rzucanych na stół w holu. – Jest tu jakaś żywa dusza?

–Tak! – warknął Shane. Był chyba tak samo wściekły jak Claire.

–Cholera – powiedziała Eve radośnie. – A już miałam na dzieję...

Claire wyszła z kuchni i natknęła się na Eve w holu. Dzisiaj Eve zdecydowała się na kratę – miała na sobie czerwono – czarną kraciastą minispódniczkę, czarne kabaretki, ciężkie buty z czarnej skóry z rysunkiem czaszek na

noskach, białą męską koszulę i szelki. I długi do ziemi, czarny skórzany płaszcz. Włosy uczesała w dwa warkoczyki, zawiązane wstążkami w czaszki. Pachniała... kawą. Świeżo mieloną. Na koszuli z przodu miała kilka brązowych plamek.

**–O, cześć Claire – przywitała się.
– Dokąd się wybierasz?**

–Na pogrzeb – odezwał się Shane. Na ekranie zombie wrzasnęło i zginęło w męczarniach.

–Super! A czyj?

–Własny – powiedział Shane. Eve otworzyła oczy szerzej.

–Claire... Ty chcesz wrócić do akademika?

–Tylko po część swoich rzeczy. Pomyślałam, że jak się raz na parę dni będę tam pojawiać, to wszyscy pomyślą że nadal tam mieszkam...

–Czekaj, czekaj, czekaj, to nie jest dobry pomysł. Bardzo zły. Nie dostaniesz ciasteczka. Nie możesz tam wrócić. A w każdym razie nie sama.

–Dlaczego nie?

–Bo oni cię szukają! Shane znów wcisnął stop.

–Myślisz, że jej tego nie mówiłem? Ona nie słucha.

–I miałeś zamiar pozwolić jej tak po prostu pójść?

–Nie jestem jej mamą.

–Ale przyjacielem może jednak tak.

Rzucił jej spojrzenie, które dość wyraźnie mówiło: „Zamknij się”.

**Eve odwzajemniła się podobnym,
a potem popatrzyła na Claire.**

**–Poważnie... Nie możesz ot tak...
To niebezpieczne. Nawet nie masz
pojęcia jak bardzo. Jeśli Monica
poszła do swojego patrona i cię
zakapowała, to nie możesz
wątpić się po okolicy jakby
nigdy nic.**

**–Nie mam zamiaru się wątpić –
sprostowała Claire. – Idę do
akademika po ciuchy, potem na
zajęcia, a potem wracam do
domu.**

–Idziesz na zajęcia? – Eve

bezradnie zamachała dłoń mi o pomalowanych na czarno paznokciach. – Nie, nie, nie! Żadnych zajęć, wybij to sobie z głowy!

Shane uniósł rękę.

–Halo? To też już jej mówiłem.

–Nieważne – powiedziała Claire i ruszyła do drzwi wyjściowych. Usłyszała, że Shane i Eve coś do siebie szepczą zawzięcie za jej plecami, ale się nie zatrzymała.

Gdyby się zatrzymała, straciłaby determinację.

Było tuż po dwunastej. Mnóstwo czasu na to, żeby zdążyć do szkoły na resztę zajęć, wcisnąć do torby na śmieci jakieś ciuchy, przywitać się z dziewczynami, żeby myślały, że dalej mieszka w akademiku i wrócić do domu, zanim się ściemni. Bo to po zmroku robi się niebezpiecznie, prawda? O ile oni poważnie mówili o tych wampirach.

A zaczynała wierzyć, że bardzo poważnie.

Otworzyła frontowe drzwi, wyszła, zamknęła je za sobą i stanęła na werandzie. Powietrze

wydawało się ostre i rzeźkie mimo upału. Eve musiała się gotować w płaszczu, znad betonowego chodnika unosiły się fale gorąca, a słońce stanowiło bladą kropkę na niebie w kolorze mocno spranych dżinsów.

Była już w pół drogi do ulicy, gdzie stał zaparkowany wielki samochód Eve, kiedy znów trzasnęły drzwi.

–Czekaj! – zawołała Eve i podbiegła do niej, a poły skórzanego płaszcza powiewały na wietrze. – Ja nie mogę ci na to pozwolić!

Claire nie zwolniła kroku. Słońce paliło. Kostka nogi nadal bolała, ale nie na tyle, żeby nie mogła chodzić.

– Claire, serio, to głupota, a raczej nie sprawiasz na mnie wrażenia osoby, która życzy sobie śmierci – swojaka zawsze rozpoznam. – Hej, stój! No stań! – Wyciągnęła w jej stronę otwartą dłoń i Claire przystanęła. – Idziesz tam. Sama widzę. Ale przynajmniej pozwól mi się podwieźć. Nie powinnaś chodzić piechotą. Będę mogła zadzwonić do Shane'a, gdyby... No, gdyby coś miało się dziać. – Eve

**otworzyła drzwi samochodu. –
Musisz zawołać „debeściak”.**

–Co?

**–Musisz zawołać „debeściak”,
jeśli chcesz siedzieć obok
kierowcy.**

–Ale nikogo innego tu...

**–Ja tylko ci mówię, przyzwyczaj
się do tej myśli, bo gdy by tu był
Shane? Już by sobie zaklepał
miejsce, a ty siedziałabyś z tyłu.**

**–Hm... – Claire pomyślała, że to
głupie, ale spróbowała:**

Debeściak?

–Jeszcze to poćwicz. Tu się trzeba śpieszyć z palcem na spuście.

Błyszcząca winylowa tapicerka w samochodzie była popękana i obłaziła, pasy bezpieczeństwa z drugiej ręki wcale poczucia bezpieczeństwa nie dawały. Claire próbowała nie zsunąć się ze śliskiego siedzenia, kiedy wielki samochód podskakiwał na wąskiej, wyboistej drodze. Sklepy miały ten sam nieprzyjazny, zaniedbany wygląd, który zapamiętała Claire, a piesi tak

samo kulili się w sobie.

–Eve? – spytała. – Dlaczego ludzie stąd nie wyjeżdżają? dlaczego tu siedzą? Jeśli, no wiesz... wampiry.

**–Dobre pytanie – przyznała Eve.
– Ludzie pod tym względem są dziwni. Przynajmniej dorośli. Młodzi stale stąd wyjeżdżają, ale starsi tu ugrzęźli. Domy. Samochody. Praca. Dzieci. Jak już coś masz, wampirom jest dość łatwo wziąć cię na smycz. Trzeba sporo odwagi, żeby po prostu zostawić wszystko za sobą i uciec. Zwłaszcza kiedy się wie, że**

po wyjeździe można nie pożyć długo. O cholera, schowaj się!

Claire rozpięła pas i zsunęła się w ciemność pod deską rozdzielczą. Nie zawahała się, bo Eve nie robiła sobie żartów – w jej głosie brzmiała czysta panika.

–Co jest? – Claire ledwie odważyła się szepnąć.

–Wóz policyjny – wyjaśniła Eve, prawie nie otwierając ust. – Jedzie w naszą stronę. Siedź tam. Siedziała. Eve nerwowo postukiwała palcami w kierownicę, a potem odetchnęła z

ulgą.

–Dobra, pojechał dalej. Ale jeszcze nie wyłączył. Może za wrócić.

Claire siedziała pod deską i usiłowała się nie poobijać. Minęła jeszcze minuta czy dwie, zanim Eve dała jej znak, że droga wolna i Claire z powrotem wsunęła się na siedzenie i zapięła pasy.

–Niewiele brakowało – mruknęła Eve.

–A gdyby mnie zobaczyli?

–No cóż, po pierwsze, zabraliby mnie na komisariat za ingerowanie, skonfiskowaliby mi samochód... – Eve przepaszającym gestem poklepała kierownicę. – A ty byś po prostu...zniknęła.

–Ale...

–Uwierz mi. Kiedy się tu do tego zabierają, to nie po amatorsku. Więc po prostu jedźmy do akademika i miejmy to z głowy, okej?

Eve jechała powoli przez tłum studentów, którzy wylegli na ulice

w porze lunchu, skręciła za róg i zgodnie ze wskazówkami Claire pojechała w stronę Howard Hali.

Akademik dzisiaj nie wyglądał ani trochę ładniej niż wczoraj. Parking był wypełniony zaledwie do połowy, a Eve zaparkowała potężnego cadillaca na tyłach. Wyłączyła silnik i przez zmrużone oczy spojrzała na słońce odbijające się w masce.

–Dobra – powiedziała. – Idziesz po swoje rzeczy i wracasz tu za kwadrans albo zaczynam operację „Ratujmy Claire”.

Claire pokiwała głową. Teraz, stojąc przed drzwiami wejściowymi do akademika, nie była już taka pewna, że to dobry pomysł.

–Masz. – Eve wyciągnęła coś w jej stronę. Telefon komórkowy. – Shane'a masz pod szybkim wybieraniem, wystarczy na cisnąć gwiazdkę i dwójkę. I pamiętaj, jeśli nie wrócisz za piętnaście minut, zaczynam svirować i zachowywać się jak twoja mama. Jasne?

Claire wzięła telefon i wsunęła go do kieszeni.

–Zaraz wracam. Miała nadzieje, że nie słychać było strachu w jej głosie. Kiedy ma się przyjaciół, nawet zupełnie nowych, łatwiej jest opanować drżenie głosu i dłoni. Nie jestem sama, mogę liczyć mi przyjaciół. To było całkiem nowe uczucie. I, przy okazji, przyjemne.

Wysiadła z samochodu, pomachała niezręcznie do Eve, która odmachwała w odpowiedzi, a potem odwróciła się i weszła do holu.

ROZDZIAŁ 6

Chłodne powietrze w holu wydało jej się nieprzyjemne po panującym na zewnątrz upale. Claire zadygotała i zaczęła mrugać. Dopiero po chwili oczy przyzwyczały się do panującego tu półmroku. W holu siedziało kilka dziewczyn, porozkładały książki na stolikach przed sobą, telewizor był włączony, ale nikt nie patrzył w ekran.

Nikt na nią nie spojrział, kiedy przechodziła. Podeszła do przeszklonej recepcji. Siedząca w

**niej asystentka podniosła wzrok
znad czasopisma, które czytała,
zauważyła jej siniaki i otworzyła
usta ze zdumienia.**

**–Cześć – wychrypiała Claire.
Musiała kilka razy przełknąć ślinę.**

**– Ja jestem Claire, z czwartego
piętra. Hm, miałam wczoraj
wypadek. Ale już wszystko w
porządku. Nic mi nie jest.**

–To ty... Szukali cię, wiesz?

**–Tak. Powiedz po prostu
wszystkim, że nic mi nie jest. Że
wszystko w porządku. – Ale...**

**–Przepraszam, muszę lecieć. –
Claire od razu poszła w stronę
schodów i zaczęła na nie
wchodzić tak szybko, jak
pozwalała jej obolała kostka.
Minęła kilka dziewczyn, które na
jej widok szeroko otwierały oczy,
ale żadna się nie odezwała Nie
widziała nigdzie Moniki. Ani na
schodach, ani na górze. Korytarz
był pusty, a wszystkie drzwi
zamknięte Z trzech czy czterech
różnych pokojów dobiegała
muzyka. Poszła szybko na koniec
korytarza, gdzie był jej pokój, i
zaczęła otwierać drzwi.**

Gałka nie stawiała oporu. Super.

**Był to czytelny komunikat:
Monica tu była.**

Oczywiście pokój wyglądał jak po trzęsieniu ziemi. Jeśli coś nie zostało połamane, to i tak walało się po podłodze. Książki były powydzierane z okładek. To Claire naprawdę zabolalo. Jej skromną garderobę Moniczkowe wyjęły z szafy i porozrzucały po podłodze. Niektóre bluzki podarły, ale naprawdę nie przejęła się tym zbytnio, przerzuciła ciuchy, znalazła dwie czy trzy bluzki, które były całe, i wrzuciła je do torby. Jedna para spodni też okazała się w porządku, więc je

dorzuciła. Poszczyściło jej się, bo znalazła kilka sztuk znoszonej bielizny, której nikt nie zauważył, wciśniętej w głąb szuflady i ją też dorzuciła do worka.

Zabrała jeszcze jedną parę butów, książki, które nie zostały zupełnie zniszczone, i małą kosmetyczkę, którą trzymała na półce koło łóżka. IPod znikł. Tak samo jej płyty. Nie dało się stwierdzić, czy to była robota Moniki, czy jakiejś innej hieny akademikowej, która buszowała tu po niej.

Rozejrzała się wkoło,

porozrzucane rzeczy rzuciła w kąt i złapała z komody zdjęcie rodziców.

A potem wyszła, nawet nie próbując zamykać za sobą drzwi na klucz.

No cóż, pomyślała wytrącona z równowagi. Jednak nie było tak źle.

Była już w połowie drogi na dół, kiedy usłyszała rozmowę prowadzoną na pierwszym piętrze.

–...przysięgam, to ona!

Powinnaś zobaczyć, jak ma podbite oko. Coś niebywałego. Naprawdę jej przywaliłaś.

**–Gdzie ona jest, do diabła? –
Głos Moniki stwardniał. – I
dlaczego nikt po mnie nie
przyszedł?**

**–No... przecież przyszliśmy! • –
zaprotestowała któraś
dziewczyna. Była przestraszona.
Claire także ogarnął strach.
Sięgnęła do kieszeni, ścisnęła
telefon i poczuła się trochę
pewniej.**

Gwiazdka dwa. Wystarczy

**nacisnąć gwiazdkę i dwójkę...
Shane jest niedaleko, a Eve czeka
na dole... – Była w swoim pokoju.
Może jeszcze tam jest?**

**Cholera. W akademiku nie było
ani jednej osoby, której mogłaby
zaufać, nie teraz. Nikogo, kto by
ją ukrył albo kto stanąłby po jej
stronie. Claire wycofała się po
schodach na drugie piętro i
poszła w stronę klatki
ewakuacyjnej, otworzyła drzwi na
oścież i zaczęła zbiegać po
schodach tak szybko, jak tylko
się odważyła, kuląc się, kiedy
przebiegała obok przeszklonych
drzwi na korytarz drugiego piętra.**

Spocona, drżąc z wysiłku, dotarła aż do parteru. Zaryzykowała i zajrzała przez szybę do holu wejściowego.

Kumpela Moniki, Jennifer, stała tam na straży i obserwowała schody. Była spięta i – tak się przynajmniej Claire wydawało – jakby przestraszona. Cały czas bawiła się bransoletką na prawym nadgarstku. Jedno było pewne: Jennifer zobaczy ją w tej samej chwili, w której Claire otworzy te drzwi. No i dobrze, może to nie miało znaczenia, może i udałoby jej się wyminąć Jen i wydostać na zewnątrz, a przecież publicznie jej

chyba nie zaatakują, prawda?

Przyjrząwszy się minie Jennifer, straciła tę pewność.

Drzwi na schody ewakuacyjne dwa piętra wyżej otworzyły się z trzaskiem; Claire drgnęła i obejrzała się, szukając wzrokiem jakiejś kryjówki. Jedyne dogodne miejsce było pod schodami. Mieścił się tam jakiś składzik, ale kiedy nacisnęła klamkę, okazało się, że jest zamknięty, a ona nie umiała się włamywać tak jak Monica.

Zresztą nie miała na to czasu.

Kroki się zbliżały. Albo jej się poszczęści i schodząca dziewczyna nie zerknie pod schody, albo Claire będzie musiała rzucić się do drzwi do holu. Znów dotknęła telefonu w kieszeni. Wszystko będzie dobrze.

Odetchnęła głęboko i czekała.

To nie Monica schodziła. To była Kim Valdez, też z pierwszego roku jak Claire. Fanka muzyki, co stawiało ją o jeden stopień wyżej niż Claire w rankingu nieudaczników. Kim trzymała się na uboczu i chyba niespecjalnie

bała się Moniki i jej przyjaciółek; Kim sprawiała wrażenie, że mało czego się boi. Ale nie była przyjazna. Raczej już... zdystansowana.

Kim spojrzała na Claire, raz czy dwa zamrugała, a potem przystanęła, z ręką na klamce drzwi do holu.

–Hej – powiedziała. Zdjęła kaptur bluzy, odsłaniając krótkie czarne włosy. – Szukają cię.

–Tak, wiem.

Kim trzymała swój instrument.

Claire nie była pewna, co za instrument znajduje się w pokrowcu, ale był duży i pękaty. Kim postawiła go na ziemi.

–Monica to zrobiła? – Wskazała siniaki. Claire pokiwała głową bez słowa. – Zawsze wiedziałam, że to suka. No i? Chcesz się stąd jakoś wydostać?

Claire znów pokiwała głową i z trudem przełknęła ślinę.

–Pomożesz mi?

–Nie. – Kim uśmiechnęła się do Claire. – Nie oficjalnie. Tobie nie

było za mądre.

Opracowały plan w ciągu kilku sekund. Claire włożyła bluzę Kim, naciągnęła kaptur na twarz i chwyciła instrument.

–Wyżej – doradziła Kim. – Przechyl go tak, wtedy ci zasłoni twarz. O, właśnie tak. Nie podnoś głowy.

–A co z moimi torbami?

–Odczekam ze dwie minuty, a potem z nimi wyjdę. Czekać na zewnątrz. I nigdzie nie łaż z moją wiolonczelą, mówię serio. Bo ci

skopię tyłek.

Kim otworzyła przed Claire drzwi, a ona głęboko zaczerpnęła powietrza i szybko wyszła do holu, nisko pochylając głowę i starając się wyglądać tak, jakby się śpieszyła na próbę.

Kiedy mijała Jennifer, ta spojrzała na nią uważnie, a potem znów przeniosła spojrzenie na schody. Claire zrobiło się gorąco, jakby twarz miała jej zapłonąć, i powstrzymała odruch, który kazał jej odległość do drzwi pokonać biegiem. Wydawało jej się, że droga do szklanych drzwi

wyjściowych nie ma końca.

Już otwierała drzwi, kiedy usłyszała Monice:

–Ta kretyнка nie mogła stąd uciec! Sprawdźcie piwnicę. Może poszła do zsypu po to swoje głupie pranie.

–Ale... – Słabo zaprotestowała Jen. – Ja nie chcę schodzić na dół do...

A jednak poszła. Claire stłumiła uśmiech – głównie dlatego, że gdy się uśmiechnęła, zabolą ją twarz – i wyszła z akademika.

Światło słoneczne, dodało jej otuchy. Zupełnie jakby... obiecywało bezpieczeństwo.

Claire głęboko zaczerpnęła rozgrzanego powietrza i poszła za róg zaczekać na Kim. Upał bezlitośnie prażył wypalone słońcem ściany, nie było czym oddychać. Zmrużyła oczy w słońcu i dostrzegła w oddali połysk lakieru samochodu Eve. W aucie jest pewnie jeszcze goręcej, uświadomiła sobie, i zaczęła się zastanawiać, czy Eve zdjęła skórzany płaszcz.

I właśnie w chwili, kiedy o tym

pomyślała, zobaczyła jakiś cień. Chciała się odwrócić, ale było już za późno. Coś miękkiego zarzucono jej na głowę. Krzyknęła, ale ktoś ją z całej siły walnął w żołądek, co odebrało jej ochotę do krzyku, bo nawet oddechu nie mogła złapać. Przez materiał przenikało trochę światła, widziała sylwetki kilku postaci, a potem ogarnęła ją ciemność. Nie dlatego, że zemdlała, chociaż była bliska omdlenia.

Ktoś ją na wpół niósł, a na wpół ciągnął w zacienione miejsce. A potem w dół po schodach.

Kiedy napastniczki zatrzymały się, usłyszała oddechy i szepty, głosy co najmniej kilku osób, a potem ktoś pchnął ją w tył, mocno. Straciła równowagę i upadła na betonową podłogę. Upadek oszołomił ją i zanim udało jej się ściągnąć torbę, którą jej zarzucono na głowę – był to chyba czarny plecak – przekonała się, że otacza ją wianuszek dziewczyn.

Nie miała pojęcia, dokąd ją zaciągnęły. Mógł to być jakiś magazyn, pewnie gdzieś w piwnicy. Pełno tu było różnych gratów – walizek, pudeł

oznaczonych nazwiskami.

Niektóre pudła zapadły się i widać było jakieś ubranie. Zalatywało pleśniejącym papierem i Claire zaczęła kichać, kiedy łapczywie chwytając powietrze, nałykała się kurzu.

Kilka dziewczyn zachichotało. Większość nie ruszyła się, zresztą wcale nie wyglądały, jakby im się tam podobało. Claire domyśliła się, że są tu, bo nie mają wyjścia. Zadowolone, że to nie one leżą na betonie.

Monica wysunęła się przed dziewczyny.

–No cóż – zaczęła i oparła dłonie na biodrach. – Wyglądasz jak półtora nieszczęścia. – Rzuciła Claire chłodny uśmiech jak z reklamy pasty do zębów, jakby innych dziewczyn w ogóle tam nie było. – Uciekłaś, myszko. I to kiedy właśnie zaczynałyśmy się dobrze bawić.

Claire udała, że nadal kicha i kichała tak zawzięcie, że Monica odsunęła się od niej z obrzydzeniem. A Claire przekonała się, że kichania wcale nie jest tak łatwo udawać, jak sądziła. To aż bolało. Ale dało jej czas i okazję wyciągnąć z kieszeni

telefon, zasłonić go i gorączkowo wybrać gwiazdkę i dwa.

Nacisnęła klawisz połączenia i schowała telefon między dwoma pudłami, z nadzieją, że niebieska poświata podświetlonych klawiszy nie zwróci uwagi Moniki. Z nadzieją, że Shane nie bawi się iPodem albo Xboksem, ignorując telefony. Z nadzieją... No, po prostu z nadzieją.

–Och, na litość boską. Podnieście ją! – zarządziła Monica. A Moniczkowe zabrały się do dzieła. Jen chwyciła Claire pod jedno ramię, Giną pod drugie.

Szarpnięciem postawiły ją na nogi i przytrzymały.

Monica zdjęła kaptur i odsłoniła twarz Claire, a potem znów się uśmiechnęła, przyglądając jej sińcom.

–Cholera, kretynko, kiepsko wyglądasz. Boli cię?

–Co ja ci złego zrobiłam? – zapytała Claire. Bała się, ale była też rozgniewana. Wściekła. Wkoło nich stało siedem dziewczyn i żadna nie robiła nic, bo się bały, i to czego? Moniki?

**Co, do diabła, daje takim
Monicom prawo, żeby rządzić tym
światem?**

**–Dobrze wiesz, co zrobiłaś.
Usiłowałaś publicznie zrobić ze
mnie idiotkę – powiedziała
Monica.**

**–Usiłowałam? – rzuciła Claire,
może głupio, ale zrobiła to
odruchowo. Oberwała za to cios
w twarz. Mocny. Taki, który
wyparł jej z płuc oddech
powolnymi falami bólu. Od
wstrząsu wywołanego uderzeniem
Moniki Claire poczuła się bardzo
dziwnie. Odczuła nacisk pod**

ramionami i dotarło do niej, że Moniczkowe podtrzymują ją, żeby nie upadła. Spróbowała stanąć pewniej na nogach, otworzyła oczy i spojrzała na Monice z gniewem.

–Jak to się stało, że mieszkasz w Howard? – spytała.

Monica, która oglądała sobie dłonie, chcąc sprawdzić, czy sobie nie zniszczyła manikiuru, spojrzała na nią z nie udawanym zdziwieniem.

–Co?

–Twoja rodzina jest zamożna, prawda? Powinnaś mieszkać we własnym mieszkaniu. Albo w domu studenckiego bractwa. Jak to się stało, że mieszkasz w Howard Hali z nami, nudziarami bez kasy, wyrzutkami? –

Wstrzymała oddech, widząc w oczach Moniki wściekłość. – No, chyba że też jesteś wyrzutkiem. Popaprańcem, któremu uchodzi na sucho znęcanie się nad słabszymi. Dziwadłem, którego wstydzi się rodzina. Kimś, kogo wolą ukryć tutaj, żeby nie musieć go bez przerwy oglądać.

–Zamknij się – syknęła jej cicho

do ucha Jennifer. – Nie bądź głupia! Ona cię zabije, nie rozumiesz tego?

Claire nie posłuchała.

–Słyszałam, że wyjechałaś stąd na studia – ciągnęła.

Żołądek jej się przewracał, miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje, a potem umrze, ale jedyne, co mogła zrobić, to grać na zwłokę. Shane na pewno przyjdzie. Przyjdzie Eve. Może Michael. Wyobrażała sobie, jak Michael stanie w drzwiach, spojrzy chłodnymi jak lód oczami z twarzy

aniola i samym spojrzeniem wypali w Monice dwie dziurki. Tak, byłoby super. Monica nie byłaby wtedy już taka pewna siebie. – Co się stało? Nie poradziłaś sobie? Nie dziwię się... Jeśli ktoś uważa, że II wojna światowa wybuchła w Chinach, raczej nie może liczyć, że za imponuje...

Tym razem dostrzegła rękę Moniki i próbowała się uchylić. Pięść trafiła ją w czoło, co zabolalo, ale Monice musiało zaboląć znacznie bardziej, bo wyrwał jej się krótki okrzyk, a potem cofnęła się, chwytając się

za bolącą dłoń. Co sprawiło, że Claire bolało jakby mniej.

–Uważaj – sapnęła Claire, o mało nie wybuchając śmiechem. Z rozcięcia na wardze znów pociekła krew. Claire oblizwała usta. – Złamiesz sobie paznokieć! Nie jestem tego warta, zapomniałaś?

–I tu masz rację! – warknęła Monica. – Puśćcie tę sukę. Na co czekacie? No, puśćcie ją! Myślicie, że ta słabizna coś mi zrobi?

Moniczkowe popatrzyły po

sobie, najwyraźniej zachodząc w głowę, czy ich królowa czasem nie zwariowała, a potem puściły rękę Claire i cofnęły się o krok. Jennifer wpadła na stos pudeł i spowodowała lawinę kurzu i starych papierów, ale kiedy Claire na nią spojrzała, Jennifer bez ruchu wpatrywała się w jakieś miejsce między pudłami.

Miejsce, gdzie Claire schowała telefon. Jen musiała go zauważyć i Claire głośno sapnęła, nagle bojąc się o wiele bardziej, niż jej się do tej pory wydawało.

–Na co się, u licha, gapisz? –

warknęła Monica do Jen, a Jen powoli odwróciła się, zaplotła ręce na piersi i stanęła tak, że plecami zasłoniła miejsce, gdzie leżał telefon. Nawet nie spojrzała na Claire. Wow. Czyżby... Ale co? Trudno to nazwać szczęśliwym trafem. Po Jennifer już wcześniej było widać, że się łamie. I że może nie nawróciła się tak kompletnie na wiarę w Pierwszy Kościół Moniki.

Być może Monica wkurzyła ją o ten jeden raz za dużo. Ale to nie znaczy, że w najbliższej przyszłości Jen stanie po stronie Claire.

Claire otarła krew z wargi i popatrzyła na dziewczyny. Te, które stały tam, niepewne i niezdecydowane. Ktoś rzucił wyzwanie Monice, a ona, jak na razie, nie spuściła temu komuś takiego łomotu, jakiego wszystkie – z Claire włącznie – się spodziewały.

W sumie trochę to dziwne. Albo Claire faktycznie trafiła w czuły punkt Moniki.

Monica pocierała dłoń i patrzyła na Claire, jakby nigdy wcześniej nie widziała jej na oczy. Oceniała ją. Odezwała się:

– Claire, nikt ci nie wyjaśnił, jakie prawa tu panują. Jeśli nagle znikniesz... – Uniosła swoją ładną, spiczastą bródkę, wskazując stosy zakurzonych pudeł. – Nikt poza woźnym nie zwróci na to uwagi i nikogo to nie obejdzie. Myślisz, że mama i tata się zmartwią? Może i się zmartwią, ale zanim ostatnie centy wydadzą na umieszczanie twoich zdjęć na kartonach z mlekiem i sprawdzanie plotek, czy uciekłaś z chłopakiem jakiejś innej dziewczyny, będą już nienawidzili samej myśli o tobie. Morganville doprowadziło do rangi sztuki

znikanie ludzi. Nigdy nie znikają tutaj. Zawsze gdzie indziej.

Monica szydziła z niej. Można się było przerazić. Mówiła spokojnie i cicho, jakby były dwiema osobami prowadzącymi przyjacielską rozmowę.

**–Chcesz wiedzieć, dlaczego mieszkam w Howard? – ciągnęła.
– Bo w tym mieście mogę mieszkać, gdzie tylko chcę. I żyć tak, jak chcę. A ty? Ty jesteś tylko chodzącym dawcą organów. Więc posłuchaj mojej rady, Claire. Nie podskakuj mi, bo niedługo możesz nie być w stanie już**

więcej podskoczyć. Wyrażam się jasno?

Claire powoli pokiwała głową. Nie odważyła się odwrócić wzroku. Monica przypominała jej zdziczałego psa, takiego który rzuci się człowiekowi do gardła, kiedy tylko ten na moment okaże słabość.

–Jasno – powiedziała. – Jesteś trochę psychiczna. Tyle rozumiem.

–Możliwe – powiedziała Monica i obdarzyła ją niespiesznym, dziwnym uśmiechem. – Jesteś

całkiem bystrym dziwadelkiem. A teraz zwiewaj, bystre dziwadelko, zanim zmienię zdanie i wsadzę cię do jednej z tych starych walizek, w której jakiś architekt znajdzie cię za następne sto lat.

–Archeolog – wymknęło się Claire. Oczy Moniki zrobiły się lodowate.

–Och, lepiej będzie, jeśli zaczniesz zwiewać natychmiast.

Claire podeszła do Jennifer i sięgnęła po telefon schowany pomiędzy pudłami. Wyciągnęła go do Moniki.

–Powiedz to głośno do mikrofonu. Chcę, żeby moi przyjaciele wyraźnie słyszeli. Przez sekundę żadna z dziewczyn nawet nie drgnęła, a potem Monica się roześmiała.

–Bywasz nawet zabawna, kretynko. – Spojrzała za plecy Claire. – Dopiero kiedy powiem. Claire obejrzała się przez ramię. Stała tam Gina, tuż za nią, i trzymała w ręku metalowy pręt.

O Boże. W oczach Giny migotało coś zimnego i strasznego.

–Dostanie za swoje – wycedziła

Monica. – A my sobie popatrzymy. Ale hej, nie ma pośpiechu. Od lat się tak dobrze nie bawiłam.

Claire miała wrażenie, że nogi zamieniają jej się w rozgotowane spaghetti. Zbierało jej się na wymioty, chciało jej się płakać i nie śmiała zrobić nic, poza udawaniem dzielnej. Jeśli pomyślą, że blefuje, zabiją ją tutaj.

Minęła Ginę, przeszła między dwiema dziewczynami, które starannie unikały jej wzroku i położyła rękę na klamce. A przy tym zerknęła na wyświetlacz

telefonu.

Brak zasięgu.

Otworzyła drzwi, wyszła przed akademik i znalazła swoje torby na trawie w miejscu, skąd została porwana. Wsadziła telefon do kieszeni, zabrała torby i przeszła przez parking w stronę samochodu Eve. Eve wciąż siedziała na miejscu kierowcy, blada jak kłown i z przestraszoną miną.

Claire wrzucała torby na tylne siedzenie, kiedy Eve zapytała:

–Co się stało? Zobaczyły cię?

–Nie – powiedziała Claire. – Zero problemów. Mam teraz swój telefon. – Oddała go Eve, która wzięła aparat, nadal marszcząc brwi.

–Wrócę do domu przed zmrokiem.

–Lepiej tak zrób – powiedziała Eve.

–Poważnie, Claire. Wyglądasz... dziwnie. Claire się roześmiała.

–Ja? Popatrz w lusterko.

Eve zbyła ją machnięciem ręki, ale tak samo jak zbywała Shane'a. Claire złapała swój plecak, zamknęła drzwi i patrzyła, jak wielki czarny samochód Eve powoli odjeżdża. Pewnie wracała do pracy.

Claire była w połowie drogi do laboratorium chemicznego, kiedy wreszcie napięcie opadło; usiadła na ławce i chowając twarz w dłoniach, rozplakała się cicho.

O Boże, o Boże, ja chcę do domu! Nie była pewna, czy chodzi jej o dom Michaela, czy dom rodzinny i jej własny pokój, gdzie

znajdzie się pod opieką rodziców.

Nie mogę się poddać, pomyślała. Naprawdę nie mogła. Nigdy nie umiała się poddawać, nawet kiedy się wydawało, że tak by nakazywał rozsądek.

Otarła zapuchnięte oczy i poszła na zajęcia.

Tego popołudnia nikt jej nie zabił.

Po pierwszych dwóch godzinach przestała już o tym myśleć i skupiła się na zajęciach. Ćwiczenia w laboratorium nie

okazały się porażką, a na historii nawet znała odpowiedzi. Założyła się, że Monica by ich nie znała, pomyślała, a potem z poczuciem winy rozejrzała się, jakby chcąc sprawdzić, czy Monica albo któraś z jej kumpel tam jest. To nie była duża grupa. Nie dostrzegła w sali żadnej dziewczyny, która była w piwnicy.

Po zajęciach poszła do spożywczego i też nikt jej nie zabił. Nikt się na nią nie rzucił, kiedy wybierała sałatę i pomidory, ani kiedy stała w kolejce do kasy. Ale pomyślała sobie, że facet przy kontuarze z mięsem wyglądał

nieco podejrzenie.

Do Domu Glassów wróciła piechotą, w nienickającym świetle popołudnia wypatrując wampirów i czując się dość głupio, że w ogóle o takich rzeczach myśli. Nie dostrzegła nikogo poza innym studentami. Większość z nich poruszała się grupkami. Ale kiedy przeszła już przez dzielnicę pełną studentów, mijane sklepy były pozamykane, światła wygaszone, a nieliczni przechodnie szli w pośpiechu.

Na rogu, przy skrzyżowaniu *Przeminęło z wiatrem* i *The*

***Munsters*, frontowa brama stała otworem. Zamknęła ją za sobą, otworzyła drzwi lśniąącym nowiutkim kluczem, który rano znalazła na komodzie w swoim pokoju i zatrzasnęła drzwi za sobą.**

W drugim końcu holu zobaczyła cień. Wysoki, szeroki w barach, w znoszonym żółtym T – shircie i luźnych, spranych, wystrzępionych na dole džinsach. Cień był na bosaka.

Shane.

Patrzył na nią w milczeniu przez

parę sekund, a potem powiedział:

–Eve rzuciła twoje graty u ciebie w pokoju.

–Dzięki.

–Co to?

–Zakupy na obiad. Lekko przechylił głowę, nadal nie spuszczał z niej oczu.

–Jak na taką bystrą dziewczynę, czasami zachowujesz się głupio. Wiesz o tym?

–Wiem. – Podeszła do niego. Nie

odsunął się.

**–Eve mówi, że nie spotkałaś
Moniki.**

–Tak jej powiedziałam.

–Wiesz co? Ja tego nie kupuję.

**–Wiesz co? Mam to gdzieś. A
teraz przepraszam. – Minęła go i
weszła do kuchni, gdzie odstawiła
torby. Ręce jej drżały. Zacisnęła je
na chwilę w pięści. A potem
zaczęła wykladać rzeczy na blat.
Mieloną wołowinę. Sałatę.
Pomidory. Cebulę. Odsmażaną
fasolę. Pikantny sos, który sama**

**lubiła. Ser. Kwaśną śmietaną.
Muszle tacy.**

**–Niech zgadnę – powiedział
Shane od drzwi. – Robisz
chińszczyznę. Nie odpowiedziała.
Nadal była na niego za bardzo
wściekła i nagle bardzo
przestraszona. Przestraszona
tego, czego nie wiedziała.
Wszystkiego. Niczego. Siebie
samej.**

**–Mogę w czymś pomóc? – Jego
głos zabrzmiał jakoś inaczej.
Ciszej, spokojniej, niemal
łagodnie.**

–Posiekaj cebulę – poleciała, chociaż wiedziała, że właściwie nie to miał na myśli. Mimo to podszedł, wziął cebule i wyjął z szuflady wielki nóż. – Musisz je przedtem obrać.

Rzucił jej nadąsane spojrzenie, zupełnie tak samo, jakby rzucił je Eve, a potem zabrał się do roboty.

–Hm... Chyba powinnam zadzwonić do mamy – powiedziała Claire. – Czy mogę skorzystać z telefonu?

–Płacisz za zamiejscową.

–Jasne. Wzruszył ramionami i wyciągnął rękę po bezprzewodowy telefon, a potem rzucił go w jej stronę. O mało go nie upuściła, ale dumna była, że jednak udało jej się chwycić słuchawkę. Z dolnej szafki wyjęła spory żeliwny rondel, rozgrzała go na gazie i znalazła olej. Kiedy się rozgrzewał, jeszcze raz przejrzała cienką książeczkę z przepisami, którą kupiła w spożywczaku, a potem wykręciła numer telefonu. Mama odebrała po drugim dzwonku.

–Tak? – Jej matka nigdy przez telefon nie mówiła: „Halo”.

–Mamo, to ja, Claire.

–Claire! Dziecko, gdzie ty się podziewasz? Od paru dni usiłuję się do ciebie dodzwonić!

**–Mam dużo zajęć – powiedziała.
– Przepraszam. Prawie mnie nie ma u siebie.**

–Śpisz, ile trzeba? Jeśli będziesz miała za mało odpoczynku, rozchorujesz się. Sama wiesz, jaka jesteś...

–Mamo. Wszystko u mnie w porządku. – Claire zmarszczyła brwi, wczytując się w przepis

leżący przed nią na blacie. Co konkretnie znaczy „usmażyć w małej ilości tłuszczu”? Ile to jest „mało”? Posiekać w kostkę, to rozumiała. To znaczy pokroić coś w małe sześciangi i właśnie to robił w tej chwili Shane.

–Naprawdę. Wszystko dobrze.

–Claire, ja wiem, że ci ciężko. Naprawdę nie chcieliśmy, żebyś jechała choćby na TPU, który jest najbliżej, kotku. Jeżeli będziesz chciała wrócić do domu, to tata i ja naprawdę bardzo się z tego ucieszymy!

–Mamo, serio, nie chcę... Nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Zajęcia są naprawdę ciekawe... – No, trochę już naginała prawdę. – I zaprzyjaźniłam się z paroma osobami. Opiekują się mną.

–Na pewno?

–Tak, mamo.

–Bo ja się martwię. Wiem, że jesteś bardzo dojrzała jak na swój wiek, ale... Shane otworzył usta, chyba chciał coś powiedzieć. Claire zaczęła gorączkowo machać ręką, pokazując na telefon. – Mama! – powiedziała

samym ruchem ust. Shane uniósł obie dłonie w geście rezygnacji i wrócił do siekania. Mama nadal coś mówiła. Claire nie słuchała zbyt uważnie, ale miała wrażenie, że to żadna wielka różnica.

–...chłopcy, tak?

Wow. Radar mamy działał nawet na tę odległość.

–Ale co, mamo?

–W twoim akademiku chłopcom nie wolno odwiedzać was w pokojach, prawda? Jest tam ktoś w recepcji, kto tego pilnuje?

–Tak, mam. W Howard Hali dwadzieścia cztery godziny na dobę siedzi na dyżurze ktoś, kto nie pozwala tym wstrętnym, niedobrym chłopakom włączyć do naszych pokoi. – Claire stwierdziła, że właściwie nie kłamie. To była szczerą prawdą. A że na dobrą sprawę nie mieszkała już w Howard Hali... No cóż, akurat tego jej mama w tej chwili przecież dowiadywać się nie musiała.

–Nie ma sobie z czego żartować. Claire, chowałaś się pod kloszem i nie chciałaś, żebyś...

–Mamo, ja muszę już kończyć. Chcę zjeść obiad, a potem mam jeszcze mnóstwo nauki. Jak tata?

–Tata ma się dobrze, kochanie. Mówi, że cię pozdrawia. Och, Les, rusz się i przywitaj ze swoją bardzo bystrą córką. Kręgosłup cię od tego nie zaboli.

Shane podał jej salaterkę pełną posiekanej w kostkę cebuli. Claire przytrzymała telefon ramieniem i wrzuciła garść cebuli do rondla. Ta zaczęła natychmiast skwierczeć, ku jej panice. Claire odsunęła rondel z ognia, o mało nie upuszczając przy tym

słuchawki.

–Hej, mała. Jak w szkole? – To był cały tata. Nie żadne: „Jak ci minął dzień?”, ani:

„Zaprzyjaźniłaś się już z kimś?”

Nie. Filozofią taty zawsze było:

„Nie spuszczaaj oka z celu, wszystko inne to po prostu przeszkody”.

A ona i tak go kochała.

–Zajęcia są świetne, tatusiu.

–Czy ty coś smażyysz? Wolno wam mieć elektryczne patelnie w pokojach? Za moich czasów nie

do pomyślenia, żeby coś takiego...

–Hm... Nie, po prostu otwierałam sobie colę. – No dobra, teraz już zełgała jak pies. Szybko odstawiła rondel i wyciągnęła zimną colę, żeby ją otworzyć. Proszę. Jeśli potraktować to z mocą wsteczną, była całkowicie w zgodzie z prawdą. – Jak się czujesz?

–Dobrze. I chciałbym, żeby wszyscy przestali się o mnie martwić. Zupełnie jakbym był pierwszym człowiekiem w historii, który przeszedł drobny zabieg chirurgiczny.

-No wiem, tato.

-Lekarz mówi, że wszystko dobrze.

-To świetnie.

-Muszę już kończyć, Claire, oglądam mecz. Radzisz tam sobie jakoś, prawda?

-Tak. Wszystko w porządku. Tatusiu...

-Co, kotku?

Claire przygryzła wargę i wypła łyk coli niezdecydowana.

–Hm... Czy ty wiesz coś na temat Morganville? Chodzi mi o historię miasta i takie tam.

–Zbierasz informacje, ha? Pewnie do jakiejś pracy? Nie, niewiele wiem. Uniwersytet jest tam od mniej więcej stu lat...

Tylko tyle mi wiadomo. Wiem, że marzysz, żeby się przenieść na jakąś lepszą uczelnię, ale uważam, że powinnaś pierwsze dwa lata spędzić blisko domu. Już o tym rozmawialiśmy.

–Ja wiem. Tylko zastanawiałam się... Bo to ciekawe miasto, to

wszystko.

–No dobrze. Jak znajdziesz coś ciekawego, daj nam znać. Twoja matka chce się pożegnać. – Tata nigdy się nie żegnał. Kiedy Claire mówiła: „No pa, tato!”, on już oddał słuchawkę mamie.

–Kotku, dzwoń do nas jeśli będziesz miała jakiegokolwiek zmartwienia, dobrze? Och, dzwoń niezależnie od wszystkiego.

Bardzo cię kochamy!

–Ja was też kocham, mamo. Na razie. Odłożyła telefon i

**popatrzyła na skwiercząca cebulę,
a potem zerknęła w przepis. Kiedy
cebula zrobiła się szklista,
dorzuciła mielone mięso.**

**–Skończyłaś już łągać rodzinie? –
spytał Shane i sięgnął za plecami
Claire, żeby skraść garstkę
startego sera z miski stojącej na
blacie. – Taco. Genialne.
Cholernie się cieszę, że
zagłosowałam za kimś zdolnym.**

**–Słyszałam to, Shane! –
wrzasnęła Eve z salonu, tuż po
tym, jak trzasnęła wejściowymi
drzwiami. Shane się skrzywił.**

–W ten weekend sam sobie sprzątasz łazienkę! Shane znów się skrzywił.

–Proponuję rozejm!

–Tak myślałam. Eve weszła do środka, nadal zarumieniona od panującego na zewnątrz upału. Spociała się i spłynęła jej większość makijażu, a spod niego wyjrzała zadziwiająco młodziutka i słodka buzia.

–O mój Boże, to wygląda jak prawdziwe jedzenie!

–Taco – oświadczył Shane z taką

dumą, jakby sam wpadł na ten pomysł. Claire szturchnęła go łokciem w żebra, a przynajmniej próbowała. Żebra miał o wiele twardsze niż ona łokieć.

–Auć – powiedział. Ale nie tak, jakby go zaboląło. Claire zerknęła za okno. Szybko zapadała noc, jak to w Teksasie. Dzień kończył się i zupełnie zniecka to rozpalone, wściekłe słońce ustępowało ciepłemu letniemu zmierzchowi.

–Michael jest w domu? – spytała.

–Pewnie tak – Shane wzruszył

ramionami. – Zawsze się pojawia na obiad.

We trójkę wszystko przygotowali i jakoś w połowie właśnie dopracowywanego przez nich systemu produkcji taśmowej – Claire nakładała mięso do muszel taco, Eve dodatki, Shane na każdy talerz dodawał łychę odsmażanej fasoli – kiedy do pracy zabrała się też i czwarta para rąk. Michael wyglądał, jakby dopiero co wstał i wziął prysznic – wilgotne włosy, zaspane oczy, kropelki wody wciąż spływające na kołnierzyk jego czarnej dżersejowej koszulki. Jak Shane

**miął na sobie dżinsy, ale tym
Razem miał na nogach buty.**

**–Hej – przywitał ich wszystkich.
– Ładnie to wygląda.**

**–Claire gotowała – wtrąciła Eve,
kiedy Shane już chciał mówić
swoje. – Nie pozwól Shane'owi się
przechwalać.**

**–Wcale nie zamierzałem! –
oburzył się Shane.**

–Jasssne.

**–Ja przynajmniej siekałem. A ty
co zrobiłaś?**

–Posprzątałam po tobie. Jak zwykle.

Michael zerknął na Claire i zrobił zabawną minę. Roześmiała się i wzięła do ręki swój talerz. Michael zabrał swój i poszedł za nią do salonu.

Ktoś – domyślała się, że Michael – zrobił porządek na wielkim drewnianym stole obok regałów na książki i ustawił wokół cztery krzesła. Wszystko, co tam się przedtem piętrzyło – pudełka z gramy wideo, książki, nuty – zostało bezładnie przełożone gdzie indziej, z radosnym

lekceważeniem logiki (może jednak to Shane sprzątał, zreflektowała się w myślach). Postawiła na stole talerz, a Eve zaraz postawiła swój obok i podsunęła Claire zimną colę razem z widelcem i serwetką. Michael i Shane weszli do salonu, usiedli przy stole i zaczęli wsuwać jedzenie jak – no cóż, jak to chłopcy. Eve skubała swoją porcję. Claire, zadziwiająco głodna, zabrała się do drugiego taco, zanim jeszcze Eve dokończyła pierwsze. Shane już wracał do kuchni po dokładkę.

–Hej, stary – powiedział, kiedy

pojawił się znów z pełnym talerzem. – Kiedy znów załatwisz sobie jakiś występ?

Michael przestał jeść, zerknął na Eve, potem na Claire, a potem przełknął i dopiero wtedy odpowiedział:

–Kiedy będę gotowy.

–Mięczak. Mikę, miałaś wtedy kiepski wieczór. Wsiądź z powrotem na konia, z którego spadłeś. – Eve spojrzała chmurnie na Shane'a i pokręciła głową, on to jednak zignorował.

**–Serio, stary. Nie możesz
pozwalać, żeby tamto cię
dołowało.**

**–Nie pozwalam – powiedział
Michael. – Nie wszystko wiąże się
z waleniem głową w ścianę, póki
się jej nie przebije.**

**–Ale prawie wszystko –
stwierdził Shane. – Nieważne. Daj
mi znać, kiedy przejdzie ci ochota
na bycie odludkiem.**

**–Nie mam ochoty być odludkiem.
Po prostu ćwiczę.**

–Jakbyś jeszcze nie grał dość

dobrze. Przestań.

–Normalnie zero szacunku – westchnął Michael. Shane, zajęty przelykaniem kolejnego kęsa chrupiącego taco, potarł kciukiem o palec wskazujący. – Wiem, świat tylko czeka na moje występy. Zmieńmy temat. Powiedz, jak się udała randka z Lisa? Wypożyczanie butów do kręgli ją kręci, czy jak?

–Na imię ma Laura – sprostował Shane. – Była napalona, jasne, ale myślę, że na ciebie – ciągle mi powtarzała, jak cię widziała w czasie występu w Waterhouse w

zeszłym roku i byłeś tam, no wiesz, wow, świetny. To zupełnie jak jakieś *menage a trois*, tyle że ciebie tam, dzięki Bogu, nie było.

Michael zrobił zadowoloną minę.

–Zamknij się i jedz.

Shane pokazał mu środkowy palec. To był całkiem przyjemny wieczór. Michael i Eve pozmywali naczynia, bo przegrali przy rzucie monetą, a Claire odkurzyła salon, niepewna, co tak właściwie chce robić. Nauka wydała jej się – no cóż, nudna, co ją zaskoczyło. Shane skoncentrował się na

wyborze gry wideo, bose stopy oparł na stoliku do kawy. Nie patrząc na Claire, zapytał:

–Chcesz zobaczyć coś fajnego?

–Jasne – ucieszyła się.

Spodziewała się, że załaduje jakąś grę, ale on odrzucił ją z powrotem na stos, wstał z kanapy i poszedł na górę. Stała u dołu schodów, zastanawiając się, co ma robić. Shane pojawił się u ich szczytu i zawołał, żeby weszła na górę.

Na piętrze było cicho i panował tam półmrok. Zamrugła i zobaczyła Shane'a już w połowie

korytarza. Czy on szedł do jej pokoju? Nie, żeby nie roily jej się w głowie jakieś zwariowane obrazki, jak siedzi z nim na łóżku i jak się całują... I w ogóle nie miała pojęcia, skąd jej coś takiego do tej głowy przyszło, poza tym, że on był, hm...

Shane odsunął na bok obraz wiszący na ścianie między jej pokojem a pokojem Eve i nacisnął przycisk ukryty głęboko pod obrazem.

A w ścianie otworzyły się kolejne drzwi. Zostały wbudowane w boazerię i wcześniej ich nie

zauważyła. Aż sapnęła, a Shane rozpromienił się tak, jakby właśnie wynalazł koło.

–Nieszłe, co? Ten cholerny dom pełen jest takiego badziewia. Uwierz mi, w Morganville opłaca się wiedzieć o istnieniu paru kryjówek. – Popchnął te drzwi, a za nimi ukazały się kolejne schody, którymi wszedł na górę. Spodziewała się, że będą zakurzone, ale nie były; drewno było czyste i wypolerowane.

Shane zostawiał na nim ślady stóp.

Schody miały tylko osiem stopni, zaledwie pół piętra, a u ich szczytu znajdowały się kolejne drzwi. Shane je otworzył i wcisnął jakiś przełącznik.

–Kiedy pierwszy raz zobaczyłem to i jeszcze ten pokój za spiżarnią, pomyślałem sobie – dom wampira. I co ty na to?

Gdyby wierzyła w wampiry, przyznałaby mu może rację. Pokój był niewielki, nie miał okien i był... stary. I nie chodziło tylko o stojące w nim meble, o ciemne antyki, ale wyczuwało się w nim coś... co miało długą historię, coś

nie całkiem normalnego. I było tu zimno. Zimno w czasie teksańskich upałów.

Zadrżała.

–Czy ktoś wie o tym pokoju?

–Och, tak. Eve mówi, że jest nawiedzony. Trudno jej się dziwić. Ja też czuję się tutaj cholernie dziwnie. Ale pokój jest fajny. Schowalibyśmy cię tutaj, kiedy przyjechały gliny, ale mogliby cię zobaczyć przez okno, wychodzącą z kuchni. Wścibskie z nich bydlaki. – Shane przeszedł po leżącym na podłodze grubym

perskim dywanie i rzucił się na ciemnoczerwona, wiktoriańską kanapę. Uniósł się znad niej obłoczek kurzu, Shane pomachał ręką i zakaszał. I co o tym sądzisz? Myślisz, że Michael przesypia tu swoje złe dni nieumarłego?

Prawie otworzyła usta ze zdziwienia.

–Co takiego?

–Daj spokój. Przecież myślisz, że on jest jednym z nich, prawda? Bo nie pojawia się nigdy w ciągu dnia.

–Ja... Ja nic nie myślę. Shane pokiwał głową, opuścił oczy.

–Jasne. Wcale nie zostałaś tu nasłana.

–Nasłana? Ale nasłana przez kogo?

–Tak sobie pomyślałem... Gliny cię tu szukały, ale może szukały cię po to, żebyśmy tym bardziej chcieli cię zatrzymać, zamiast wywalić na zbity pysk. No więc jak? Pracujesz dla nich?

–Dla nich? – powtórzyła piskliwym głosem. – Dla jakich

nich? – Shane rzucił jej nieprzyjemne spojrzenie, a ona znów zadrżała. Nie przypominał Moniki, zupełnie nie, ale on też nie bawił się w owijanie w bawełnę. – Shane, ja nie wiem, o co ci chodzi. Przyjechałam do Morganville na uczelnię, zostałam pobita i znalazłam się tu, bo się bałam. Jeśli mi nie wierzysz, to... No cóż, chyba lepiej, żebym się stąd wyniosła. Mam nadzieję, że taco ci smakowało.

Ruszyła do drzwi, a potem przystanęła zaskoczona.

W drzwiach nie było klamki.

Zza jej pleców Shane odezwał się cicho:

–Wiesz, dlaczego myślę, że to pokój wampira? Nie da się stąd wyjść, jeśli nie wie się jak. To wielka wygoda, jeśli ma się zamiar przyprowadzić tu jakąś ofiarę na małą sesję ukąszeń.

Obróciła się błyskawicznie, spodziewając się, że zobaczy go tam z wielkim nożem, którego użył, żeby posiekać cebulę, bo przecież złamała pierwszą zasadę wszystkich horrorów, prawda? A może to druga zasada? Zaufała komuś, komu nie powinna była...

Ale on nadal siedział rozparty na kanapie, z ramionami wyciągniętymi po obu stronach oparcia.

I nawet na nią nie patrzył.

–Wypuść mnie stąd – zażądała. Serce waliło jej szybko.

–Za sekundę. Najpierw powiesz mi prawdę.

–Powiedziałam! – I ku własnej wściekłości i upokorzeniu się rozplakała. Znowu. – Do diabła! Ty sobie myślisz, że usiłuję zrobić coś złego Michaelowi?

Michaelowi? Jak mogłabym?

Przecież to mnie wszyscy krzywdzą!

Wtedy na nią popatrzył i zauważyła, że jego wrogość zniknęła. Głos miał o wiele łagodniejszy, kiedy się odezwał.

–Gdybym ja z jakichś powodów chciał zabić Michaela, to nastalabym na niego kogoś takiego jak ty. Łatwo byłoby ci kogoś zabić, Claire. Zatruc jedzenie, wbić nóż w plecy... A ja muszę się nim opiekować.

–Myślałam, że to on opiekuje się wami. – Gniewnym ruchem otarła oczy. – Skąd ci przychodzi do głowy, że ktoś mógłby chcieć go zabić?

Shane uniósł brwi.

–Wampira zawsze ktoś chce zabić.

–Ale przecież on nie jest wampirem. Eve mówiła...

–Wiem, że on nie jest wampirem, ale nie wstaje w ciągu dnia, nie wychodzi z domu i nie mogę go zmusić, żeby mi wyjaśnił, co się

stało, więc równie dobrze mógłby nim być. A ktoś sobie tak wcześniej czy później pomyśli. Większość ludzi w Morganville albo ma Ochronę, albo nie ma pojęcia, co się dzieje trochę tak jak z hodowlą królików: albo na zwierzątka domowe, albo na mięso. Ale niektórzy stawiają opór.

–Jak ty?

–Możliwe. A ty? Jesteś fajterką, Claire?

–Ja dla nikogo nie pracuję. I nie zabiłabym Michaela, nawet gdyby

był wampirem. Shane się roześmiał.

–A Czemu nie? Pomijając, że złamałby cię wpół jak gałązkę, gdyby nim był.

–Bo... Bo... – Nie umiała tego precyzyjnie ująć w słowa.

–Bo go lubię. Shane przyglądał jej się przez kolejnych kilka długich sekund, a potem nacisnął wypukłe miejsce na lwiej głowie stanowiące oparcie sofy.

W drzwiach coś kliknęło i uchyliły się o parę centymetrów.

- Mnie to wystarczy – powiedział.**
- To jak? Deser.**

Rozdział 7

Nie mogła zasnąć.

Może przez wspomnienie tego dziwnego, niesamowitego pokoju – podejrzewała zresztą, że Eve musi go uwielbiać – ale nagle jej śliczny, przytulny pokój zaczął się wydawać pełen cieni, a te skrzypnięcia starego drewna w porywach wiatru brzmiały... jakby ktoś się skradał. Może ten dom zjada ludzi, pomyślała Claire, leżąc po ciemku i spoglądając jak cienie gałęzi drżą na przeciwległej ścianie. Eve mówiła, że wampiry

nie mogą się tu dostać do środka, ale jeśli się myliła? Jeśli już są w środku? Jeśli Michael...?

Usłyszała muzykę i wiedziała, że to Michael na dole gra. Te dźwięki jakoś jej pomogły – cienie usunęły się w mrok, inne odgłosy stały się normalne. To był zwykły dom, a oni byli paczką dzieciaków, które w nim razem mieszkały, a jeśli coś było nie tak, to to coś było na zewnątrz.

Musiała zasnąć, ale wcale nie miała wrażenia, że śpi; obudził ją jakiś hałas, a kiedy Claire zerknęła na zegar koło łóżka, dochodziło

wpół do szóstej. Niebo jeszcze się nie rozjaśniło, ale nie było też zupełnie ciemne; gwiazdy pojaśniały, stały się miękkimi iskierkami na niebie, które zmieniało kolor na jaśniejszy granat.

Michael nadal grał, bardzo cicho. Czy on nigdy nie sypiał? Claire wyszła z łóżka, na ramiona, na T – shirt, w którym sypiała, narzuciła pled i wyszła na ciemny korytarz. Mijając ukryte drzwi, zerknęła na nie i zadrżała, a potem poszła dalej, do łazienki. Kiedy to już miała z głowy, i kiedy trochę przeczesła włosy, zeszła cicho

po schodach i przysiadła na nich, owijając się pledem i słuchając muzyki.

Michael głowę miał nisko spuszczoną i zatopił się w muzyce, patrzyła, jak jego palce lekko trącają struny, jak kołysze się lekko do rytmu i poczuła się... bezpieczna. Nic złego nie mogło się zdarzyć przy Michaelu. Po prostu to wiedziała.

Obok niego zadzwonił budzik. Podniósł głowę zaskoczony i wyłączył go, a potem wstał i schował gitarę. Obserwowała chłopaka zaciekawiona...

Wybierał się gdzieś? Czy faktycznie nastawił budzik, żeby pójść do łóżka? Nieźle, to już jakaś obsesja...

Michael spojrział na budzik jak na swojego osobistego wroga, a potem odwrócił się i podszedł do okna.

Niebo miało teraz odcień głębokiego turkusu, zbladły już wszystkie gwiazdy, poza największymi. Michael trzymał w ręku butelkę piwa, teraz dopił je i odstawił butelkę na stół, a potem zaplótł ramiona na piersi i stał bez ruchu.

Claire miała już zamiar zapytać go, na co czeka, kiedy pierwsze promienie słońca przecięły niebo jak oślepiający pomarańczowy nóż, a Michael westchnął i zgiął się wzdłuż, chwytając się za żołądek.

Claire poderwała się na nogi zaskoczona i przestraszona, bo na twarzy chłopaka odmalował się ból. Ruch zwrócił jego uwagę i Michael błyskawicznie obrócił głowę w jej stronę. Błękitne oczy miał szeroko otwarte.

–Nie – jęknął. – Nic nie rób. Zignorowała to i zeskokczyła ze

schodów, ale kiedy już przy nim stanęła, nie wiedziała, co ma robić, nie miała pojęcia, jak mu pomóc. Michael oddychał ciężko i nierówno, zwijając się z bólu.

Położyła dłoń na jego plecach, poczuła ciepło jego palonej gorączką skóry przez cienki materiał i usłyszała, że wyrwał mu się dźwięk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszała.

Zupełnie jak ktoś umierający, pomyślała w panice i otworzyła usta, żeby krzykiem przywołać Shane'a, Eve, kogokolwiek.

Jej dłoń przeszła przez niego na wylot. Krzyk, nieważne czym spowodowany, uwiązał jej w gardle, kiedy Michael – przezroczysty Michael – popatrzył na nią oczyma pełnymi rozpacz i desperacji.

–O Boże, nie mów im. – Jego głos dobiegał jakby z oddali. Przypominał szept nikiący w promieniach porannego słońca. Tak jak zniknął Michael. Claire, nadal z otwartymi ustami, niezdolna wydobyć z siebie głosu, powoli przesunęła dłoń w powietrzu, w miejscu, gdzie przed chwilą stał Michael Glass.

Najpierw powoli, potem szybciej. Powietrze wkoło niej zrobiło się zimne, zupełnie jakby stała obok nawiewu klimatyzatora, a potem fala chłodu powoli się rozwiała. Jak Michael.

–O mój Boże – szepnęła i obiema dłońmi zakryła sobie usta. I zdusiła krzyk, który wydobył jej się z gardła, inaczej chyba by eksplodowała. Być może na chwilę straciła przytomność, bo kiedy ocknęła się, siedziała na kanapie obok futerału gitary Michaela i czuła się dziwnie. W jakiś niedobry sposób dziwnie, jakby jej mózg zamienił się w płyn

i teraz chlupotał w czaszce.

Ale ogarnął ją też zaskakujący spokój. Wyciągnęła rękę i dotknęła skózanego futerału. Był całkiem realny. Kiedy rozpięła futeł i drżącymi palcami przesunęła po strunach gitary, wydały z siebie smutny szept.

On jest duchem. Michael jest duchem.

Przecież nie był duchem. Jak mógł być duchem, skoro siedział tu – dokładnie tu! – przy tym stole i jadł obiad? Taco! Jaki duch je taco? Jaki...?

Przecież jej ręka przeszła przez niego na wylot. Na wylot!

A jednak był realny. Dotknęła go. Ona...

Jej ręka przeszła przez niego na wylot.

–Nie panikuj – powiedziała na głos. – Po prostu... nie panikuj. Musi być jakieś wyjaśnienie... – Tak, jasne. Zajrzy sobie na zajęcia z fizyki do profesora Wu i go zapyta. Już sobie wyobrażała jego minę. Wsadziliby ją w kaftan bezpieczeństwa i naszpikowali prozakiem.

Powiedział: „O Boże, nie mów im”. Komu? I czego...? Że zniknął? Że nie żył?

Już prawie wpadła w panikę, ale nagle się uspokoiła. Budzik tykający na stoliku obok sofy. Budzik, który zadzwonił zaledwie kilka minut wcześniej.

Ten, który ostrzegł Michaela, że nadchodzi świt. Więc to się zdarza... codziennie. Nie zachowywał się tak, jakby go to zaskoczyło, tylko bolało.

Shane i Eve mówili, że Michael przesypia całe dni. Oboje byli

nocnymi markami, oboje spali teraz twardo i nie obudzą się jeszcze przez kilka godzin.

Michael mógł w taki sposób... zniknąć... codziennie, a nikt by na to nie zwrócił uwagi. Aż pojawiła się ona i była wścibska. „Nie mów im”. Ale dlaczego nie? Po co ten sekret? Chyba oszalała. To było jedyne racjonalne wyjaśnienie. Ale jeśli oszalała, to nie mogła rozsądnie myśleć...

Claire zwinęła się w kłębek na sofie, rozdygotana, i znów poczuła chłodne powietrze. Wręcz lodowate. Usiadła prosto.

–Michael? – zapytała i siedziała bezruchu. Chłód minął, a potem znów ją musnął. – Ja... ja chyba ciebie wyczuwam. Jesteś tu jeszcze? – Kolejna sekunda czy dwie bez mroźnych powiewów, a potem znów chłód prześlizgnął się po jej skórze.

–A więc ty nas widzisz? – Ciepło, po którym powtórzył się chłodny podmuch uznała za odpowiedź twierdzącą. – W ciągu dnia nie odchodzisz? Hm. Jeśli chcesz powiedzieć „nie”, to zostań tam gdzie jesteś. – Chłód nie zniknął. – Wow. To... słabo.

–Znów „tak” i, choć to dziwne, podniosło ją to nieco na duchu. No dobra, zatem prowadziła rozmowę z wietrzykiem, ale przynajmniej nie czuła się samotna. – Nie chcesz, żebym powiedziała Shane'owi i Eve? – Wyraźne przeczenie. Jeśli to możliwe, powiew zrobił się jeszcze chłodniejszy. – Czy ja... Czy mogłabym ci jakoś pomóc? – Znów nie. – Michael, ale ty wrócisz?

–Tak.

**–Dzisiaj wieczorem? – Znów tak.
– Naprawdę będziemy musieli**

porozmawiać. Chłód zupełnie znikł. Tak. Opadła na sofę z dziwnym uczuciem zawrotu głowy, bardzo zmęczona. Obok futerału z gitarą leżał zwinięty stary koc, ostrożnie odłożyła instrument na stół (i wyobrażała sobie, że niewidzialny Michael nie spuszcza z niej przy tym ani na moment niespokojnego spojrzenia), a potem owinęła się kocem i odpłynęła w sen, słysząc tykanie starego szafkowego zegara i wspominając muzykę Michaela.

Tego dnia Claire poszła na zajęcia. Eve kłóciła się z nią o to,

Shane nie. Nic niepokojącego się nie wydarzyło, chociaż Claire ze dwa razy zauważyła w kampusie Monice. Otaczali ją wielbiciele obu płci i nie miała czasu na zaczepki. Claire głowę trzymała pochyloną i unikała wszelkich odludnych miejsc. Zajęcia kończyła wczesnym popołudniem – żadnych laberek – i chociaż chciała wrócić do domu i poczekać, aż pojawi się Michael (jej, ależ miała ochotę zobaczyć, jak to wygląda, kiedy się pojawia!), wiedziała, że będzie tylko wariować z niecierpliwości i Shane zacznie coś podejrzewać.

Idąc przed siebie, zauważyła kawiarnię, wciśniętą między sklep z deskorolkami i antykwariat. Common Grounds. To tam pracowała Eve i mówiła, żeby Claire tam przy okazji zajrzała...

Dzwonek odezwał się srebrzyście, kiedy Claire pchnęła drzwi. Poczowała się, jakby wchodziła do salonu w Domu Glassów, tylko jeszcze bardziej niesamowitego. Były tam czarne skórzane sofy i fotele, grube kolorowe chodniki, ściany pomalowane na kontrastujące ze sobą beż i krwistą czerwień, mnóstwo zakamarków i wnęk.

Przy stolikach do kawy i wbudowanych w ściany biurkach siedziało pięcioro czy sześcioro studentów. Nikt nie podniósł głowy znad książki ani komputera. Miejsce pachniało kawą, takim stale pyrkoczącym ciepłem.

Claire stała przez chwilę niezdecydowana, a potem położyła plecak na wolnym biurku. Później podeszła do kontuaru. Za jego sięgającą talii barierką stały dwie osoby. Jedną z nich była Eve, śliczna jak laleczka z tymi farbowanymi na czarno, uczesanymi w dwa kucyki włosami, z oczyma obwiedzionymi

eylinerem i dramatyczną w wyrazie, gotycko czarną szminką. Miała przejrzystą czarną koszulę narzuconą na czerwony top i na widok Claire uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Drugą osobą był starszy facet, wysoki, chudy, z siwiejącymi kręconymi włosami, które opadały mu prawie do ramion. Miał przyjemną twarz, ciemne, szeroko rozstawione oczy i kolczyk z rubinem w lewym uchu. Claire uznała, że to zdeklarowany hipis. Facet też się do niej uśmiechnął.

–To właśnie jest Claire! –

przedstawiła ją Eve i szybko wyszła zza kontuaru i objęła ją. – Claire, to jest Oliver, mój szef.

Claire z wahaniem skinęła mu głową. Wyglądał sympatycznie, no ale hej, szef. Szefowie ją onieśmielali tak jak cudzy rodzice.

–Dzień dobry panu.

–Panu? – Oliver miał niski głos, śmiał się serdecznie. – Claire, musisz się do mnie przyzwyczaić. Nie jestem żaden pan, wierz mi.

–To prawda. – Eve pokiwała głową. – To pacan. Ale go

polubisz. Chcesz kawy? Ja stawiam.

–Ja... hm...

**–Pewnie nie tykasz używek, tak?
– Eve przewróciła oczami. – Zaraz zrobię ci coś bez kofeiny. Może kakao? Indyjski chai? Herbatę?**

–Poproszę herbatę. Eve wróciła za kontuar i po paru chwilach przed Claire stanęła duża białą filiżanka na spodku, z torebką herbaty zanurzoną we wrzątku. – Na koszt firmy. To znaczy, na mój, bo hm, szef jest na miejscu.

Oliver, krzątający się przy jakiejś maszynie, która, jak się domyślała Claire, służyła chyba do robienia cappuccino, pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko sam do siebie. Claire przyglądała mu się z zaciekawieniem. Wyglądał trochę jak jej daleki kuzyn, który kiedyś przyjechał z Francji, w każdym razie miał taki sam nieco haczykowaty nos. Zastanawiała się, czy wykładał na uniwersytecie, czy był tylko wiecznym studentem. Wydawało się, że i jedno, i drugie jest możliwe.

–Słyszałem, że miałaś kłopoty –

zagadnął Oliver, nadal rozkręcając ekspres na części. – Dziewczyny z akademika.

–Tak – przyznała i poczuła, że policzki jej płoną. – Ale wszystko już w porządku.

–Rozumiem. Ale posłuchaj Jeśli znowu będziesz miała kłopoty, przyjdź do mnie i powiedz. Zadbam, żeby to się skończyło.

–Powiedział to z absolutnym przekonaniem. Zamrugła zdziwiona, a jego ciemne oczy przez chwilę wpatrywały się w nią uważnie. – Mam tutaj pewne

wpływy. Eve mówiła mi, że jesteś bardzo zdolna. Nie możemy pozwolić, żeby źli ludzie cię stąd wypędzili.

–Hm... Dzięki? – Nie chciała, żeby to zabrzmiało jak pytanie, ale tak jakoś wyszło. – Dziękuję. Będę pamiętała.

Oliver pokiwał głową i wrócił do maszyny do cappuccino, a Eve wysunęła się z za kontuaru i przysunęła sobie krzesło. Nachyliła się nad stołem, energia ją rozpieierała.

–Czy to nie super? – spytała. –

Wiesz, on mówił serio. Ma jakieś powiązania z... – Rozstawione palce ułożyła w literę „W” jak wampiry. – One się z nim liczą. Dobrze go mieć po swojej stronie.

Claire pokiwała głową, wpatrując się w filiżankę.

–Ze wszystkimi o mnie rozmawiasz? Eve zrobiła zboląłą minę.

–Nie! Oczywiście, że nie! Ja tylko... No cóż, martwiłam się. Pomyślałam, że może Oliver wie coś, co... Claire, sama to mówiłaś, że one próbowały cię

zabić. Ktoś coś w tej sprawie powinien zrobić!

-On?

-A dlaczego nie on? – Eve zaczęła machać nogą, stukając w podłogę obcasem czarnych butów zapinanych na pasek.

Rajstopy miała zielonoczarne, w poziome szerokie paski. – Znaczy ja rozumiem, że chcesz być zupełnie samodzielna, ale daj spokój... Odrobina pomocy zawsze może się przydać.

Trudno było odmówić jej racji.

Claire westchnęła, wyjęła saszetkę i napiła się gorącej herbaty. Niezła, nawet w taki upalny dzień.

**–Zostań tu – zaproponowała Eve.
– Poucz się. To naprawdę niezłe miejsce do nauki. Potem zawiozę cię do domu, okej?**

Claire pokiwała głową. Poczowała wdzięczność. Za wiele było po drodze do domu miejsc, gdzie można się zgubić, o ile Monica w ogóle ją dzisiaj dostrzegła. Nie bardzo podobał jej się pomysł samotnego spaceru przez trzy przecznice ulic pełnych

studentów, gdzie było dużo światła i ludzi, a potem przez ciemną i cichą część miasta do Domu Glassów. Odsunęła filiżankę na bok i wyjęła książki. Eve zajęła się przyjęciem zamówienia od trzech rozgadanych dziewczyn w T – shirtach jakiegoś studenckiego bractwa. Były dla niej niegrzeczne, a za jej plecami wyśmiewały ją. Eve sprawiała wrażenie, że tego nie zauważa – albo, jeśli zauważała, nie przejmowała się tym.

Ale Oliver się przejął. Odłożył narzędzia, kiedy Eve

przygotowywała napoje, i wbił nieruchome spojrzenie w dziewczyny. Jedna po drugiej ucichły. Właściwie nic nie zrobił, po prostu tylko nie spuszczał z nich wzroku.

Kiedy Eve przyjęła od nich pieniądze, każda z dziewczyn podziękowała jej potulnie, odbierając resztę.

Nie siedziały długo w kawiarni.

Oliver uśmiechnął się lekko, wziął do ręki jakąś część ekspresu i wypolerował starannie przed ponownym

zamontowaniem. Musiał zauważyć, że Claire go obserwuje, bo powiedział bardzo cicho:

–Nie toleruję niegrzecznego zachowania. Nie w mojej kawiarni. Nie była pewna, czy miał na myśli te dziewczyny, czy to, że mu się tak przygląda, więc szybko wróciła do książek.

Równania kwadratowe okazały się świetnym sposobem spędzenia popołudnia.

Zmiana Eve skończyła się o dziewiątej, właśnie wtedy, kiedy w Common Grounds zaczął się

wieczorny ruch. Claire nieprzyzwyczajona do hałasu, paplaniny i muzyki i tak nie bardzo się mogła skupić na książkach. Ucieszyła się z wymówki, żeby wyjść, kiedy zmiennik Eve – opryskliwy, przyszczaty chłopak mniej więcej w wieku Shane'a – zajął jej miejsce za kontuarem. Eve poszła na zaplecze po swoje rzeczy, a Claire spakowała plecak.

–Claire. – Uniosła wzrok zaskoczona, że ktoś pamiętał jej imię (poza dziewczynami, które chciały ją zabić) i zobaczyła Kim Valdez z akademika.

**–Cześć, Kim – powiedziała. –
Dzięki za pomoc... Kim miała
wściekłą minę.**

**–Daruj sobie! Zostawiłaś moją
wiolonczelę na ziemi! Czy ty masz
pojęcie, jak ciężko harowałam,
żeby ją kupić? Niezła z ciebie
świnia!**

–Ale... Janie...

**–Nie kłam. Zwyczajnie stamtąd
zwałaś! Mam nadzieję, że
znalazłaś swoje rzeczy i cały ten
chłam. Zostawiłam je tam na ziemi
tak samo jak ty mój instrument. –
Kim wcisnęła ręce w kieszenie i**

spiorunowała ją wzrokiem. – I nie proś mnie już o żadne przysługi. Jasne?

Nie czekała na odpowiedź, od razu ruszyła do kontuaru.

–Nie będę – westchnęła Claire i zapięła plecak. Odczekała kilka minut, ale tłum gęstniał, a Eve jak nie było, tak nie było. Wstała, zeszła z drogi grupce chłopaków i wpadła przy tym na stojący w rogu stolik.

–Hej – odezwał się cicho jakiś głos. Obejrzała się i zobaczyła przechylającą się filiżankę kawy, a

potem bladą dłoń o długich palcach, która w samą porę ją złapała. Ręka należała do młodego mężczyzny, trudno byłoby go nazwać chłopakiem, o gęstych ciemnych włosach i jasnych oczach.

–Przepraszam – powiedziała. Uśmiechnął się do niej i bladym językiem zlizął parę kropel kawy z grzbietu dłoni.

Poczuła, że gorący prąd przebiega jej po krzyżu i zadrżała. Uśmiechnął się szerzej.

–Usiądź – powiedział. – Jestem

Brandon. A ty?

– Claire – usłyszała własne słowa i chociaż wcale nie zamierzała się do niego przysiadać, posłuchała i usiadła, plecak stawiając na podłodze obok krzesła. – Hm, cześć.

– Witaj. – Jego oczy nie były zwyczajnie jasne, miały kolor błękitny tak rozmyty, że niemal wpadał w srebro. Przerażająco chłodne oczy. – Jesteś tu sama, Claire?

– Ja... Nie, ja... Och... – Zaczynała się jak idiotka i nie miała pojęcia,

co się z nią dzieje. Patrzył na nią w taki sposób, że czuła się naga. I to nie w taki skrycie przyjemny sposób w rodzaju: „Ja mu się chyba podobam”, ale tak, że miała ochotę schować się i czymś zakryć. – Jestem tu z przyjaciółką.

–Z przyjaciółką – powtórzył i sięgnął po jej rękę. Chciała ją cofnąć, próbowała, ale jakoś nie mogła odzyskać panowania nad sobą. Mogła tylko patrzeć, jak obraca jej dłoń grzbietem do góry i unosi do ust, żeby ją pocałować. A potem ciepły, wilgotny nacisk jego warg na jej palcach przejął ją

dreszczem.

Przesunął kciukiem aż po nadgarstek.

–Gdzie twoja bransoletka, malutka Claire? Porządne dziewczynki noszą bransoletki. Nie masz bransoletki?

–Ja... – Coś niedobrego, coś okropnego działo się z jej głową, coś, co nakazywało jej mówić prawdę. – Nie. Nie mam bransoletki. – Bo teraz już wiedziała, kim jest ten Brandon i żałowała, że śmiała się ze słów Eve, żałowała, że w nie wątpiła.

Dostaniesz za swoje, obiecała Monica. No i chyba zaczynała dostawać.

–Rozumiem. – Oczy Brandona stały się zupełnie białe, z dwoma maleńkimi czarnymi punkcikami źrenic. Claire nie mogła złapać tchu. Nie mogła krzyknąć. – No to pozostaje tylko pytanie, kto sobie ciebie weźmie. A skoro ja się zainteresowałem pierwszy...

Puścił ją, uwolnił jej rękę i umysł, a ona oparła się plecami o krzesło, z trudem łapiąc oddech. Ktoś stanął za krzesłem, wyczuła czyjąś siłę i ciepło, a Brandon

zmarszczył brwi, patrząc za nią.

**–Nadużywasz mojej gościnności
– powiedział Oliver, kładąc dłonie
na ramionach Claire. – Jeśli
kiedyś jeszcze spróbujesz tu
zakłócić spokój mojej przyjaciółki
Claire, Brandon, będę musiał
wszystkim cofnąć przywilej.
Zrozumiałeś? Chyba nie muszę ci
tego wyjaśniać.**

**Brandon miał wściekłą minę.
Oczy znów miał błękitne, ale w
odpowiedzi warknął Oliverowi i
Claire zobaczyła, jak wyszczerza
kły. Prawdziwe kły. Te kły
wysunęły się z jakiegoś ukrytego**

miejsca w jego ustach, zupełnie jak u węża, a potem znów się cofnęły, szybkie jak kolec skorpiona.

–Żadne takie – powiedział spokojnie Oliver. – Zero wrażenia. Wynocha stąd. I żebym nie musiał porozmawiać o tobie z Amelie.

Brandon wstał i powlókł się przez tłum w stronę wyjścia. Claire zauważyła, że na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Brandon wyszedł w noc i zniknął im z oczu.

Oliver nadal trzymał dłoń na jej ramieniu, a teraz lekko je ścisnął.

**–To było niepotrzebne –
powiedział. – Musisz uważać,
Claire. Trzymaj się Eve. Uważajcie
na siebie nawzajem. Nie
chciałbym, żeby spotkało was coś
złego.**

**Pokiwała głową, przełknęła ślinę.
Eve wyszła szybkim krokiem z
zaplecza, skórzany płaszcz
falował jej wokół kostek u nóg.
Uśmiech na jej twarzy zamarł na
widok miny Claire.**

–Co się stało?

**–Brandon tu był – wyjaśnił
Oliver. – Kłusował. Claire na niego**

wpadła.

–Och – jęknęła Eve. – Nic ci nie jest?

–Nic się nie stało. Zauważyłem go, zanim narobił trwałych szkód. Zabierz ją do domu, Eve. I bardzo na tego typka uważaj, on źle znosi, kiedy mu się każe iść precz.

Eve pokiwała głową i pomogła Claire wstać, wzięła jej plecak i wyprowadziła ją na zewnątrz. Wielki czarny Caddy stał przy krawężniku, a Eve otworzyła drzwi i uważnie obejrzała wnętrze,

zaglądając też do bagażnika, zanim wpuściła Claire do środka. Kiedy Claire zapinała pas, zauważyła dwie rzeczy: po pierwsze to, że Oliver stał w drzwiach Common Grounds i je obserwował.

A po drugie to, że Brandon stał na rogu ulicy, na samym skraju kręgu światła rzucanego przez uliczną latarnię. I też im się przyglądał.

Eve również to zauważyła.

–Bydlak – powiedziała z furją i pokazała mu środkowy palec. Co

może nie było najrozsądniejsze, ale Claire od razu lepiej się poczuła. Eve odpaliła silnik i ruszyła z piskiem opon, prowadząc tak, jakby biła rekord w wyścigach NASCAR, i zaledwie ze dwie minuty potem ze zgrzytem hamulców zatrzymała się pod domem.

–Dobra, ty idziesz pierwsza – powiedziała. – Biegnij do drzwi i wal w nie, kiedy je będziesz otwierała. Biegnij, Claire!

Claire bez tchu wypadła z samochodu i rzuciła się biegiem ścieżką w stronę schodów

werandy, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu klucza. Ręce jej drżały i nie zdołała od razu trafić kluczem do dziurki. Zaczęła kopać w drzwi i wrzeszczeć:

–Shane! Michael! – A jednocześnie próbowała je otworzyć. Za plecami usłyszała trzask zamykanych drzwi samochodu i buty Eve, stukające po chodniku... A potem zapadła cisza.

–No przecież nie będziesz niegrzeczna, Eve – powiedział Brandon zimnym tonem. Claire obróciła się gwałtownie i

zobaczyła, że Eve stoi nieruchomo jakieś dziesięć kroków od werandy, plecami do domu. Gorący wiatr szarpał jej skórzanym płaszczem.

Brandon stał naprzeciw niej, a jego oczy w bladym świetle gwiazd były zupełnie białe.

–Kim jest twoja słodka malutka przyjaciółka? – spytał.

**–Zostaw ją w spokoju, Brandon.
– Głos Eve drżał. – To jeszcze dziecko.**

–Wszyscy jesteście dziećmiakami.

– Wzruszył ramionami. – Nikt nie pyta o wiek krowy przerobionej na hamburgera.

Claire, teraz już przerażona, skoncentrowała się, odwróciła do drzwi i włożyła wreszcie klucz do zamka...

...dokładnie w tej samej chwili, w której Shane otworzył je na oścież.

–Eve! – wykrztusiła, a Shane zepchnął ją z drogi, zeskokczył ze schodków i stanął między Eve a Brandonem.

–Do środka – powiedział Michael. Claire go przedtem nie słyszała, nie widziała, jak nadchodził, ale teraz stał w drzwiach i gestem nakazywał jej wejść do domu. Kiedy tylko przekroczyła próg, złapał ją za ramię i pchnął tak, że znalazła się za jego plecami. Wyjrzała, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

Shane coś mówił, ale nie mogła dosłyszeć co. Eve powoli się wycofywała, a kiedy tyłem obcasów dotknęła stopni werandy obróciła się i rzuciła po schodach, wpadając do środka, prosto w objęcia Michaela.

**-Shane! – krzyknął Michael.
Brandon skoczył w stronę
Shane'a. Shane uchylił się,
wrzasnął coś i uderzył wampira z
całej siły, całym swoim ciężarem.
Brandon zatoczył się w stronę
ogrodzenia, a ono złamało się pod
nim, Brandon natomiast
przewrócił się na ulicę.**

**Shane padł na ziemię, poderwał
się na nogi i ruszył w stronę
drzwi. Niemożliwe było, żeby
Brandon ruszał się aż tak szybko,
ale wydawało się, że wampir
poderwał się do lotu. W jednej
chwili leżał na ulicy, a w drugiej
sięgał pleców Shane'a...**

...i złapał T – shirt, szarpnięciem zatrzymując Shane'a w miejscu. Ale chłopak już zdążył wyciągnąć rękę do Michaela, a Michael pociągnął go w swoją stronę.

Koszulka rozdarła się, Shane potknął się i wpadł do domu, a Brandon próbował wejść za nim. Ale odbił się jak od jakiejś niewidzialnej przeszkody i przez moment Claire widziała jego wysuwające się, śmiertelnie ostre kły.

Michael nawet nie mrugnął okiem.

–Spróbuj jeszcze raz, a kiedy będziesz spał, odwiedzimy cię z kołkiem – powiedział. – Możesz się tego spodziewać. I przyjaciółom też powtórz.

Zatrzasnął drzwi. Eve oparła się o ścianę zdyszana i drżąca. Claire też trzęsła się i nie mogła się uspokoić. Shane był zarumieniony i chyba najbardziej zmartwiony podartą koszulką. Michael złapał Eve za ramiona.

–Nic ci nie jest?

–Nie. Nie. On nie... Wow. Było blisko.

**–Nie żartuj sobie. Claire?
Pomachała ręką, niezdolna
wykrztusić słowa.**

**–Skąd on się, u diabła, wziął? –
spytał Shane.**

**–Wywąchał Claire w kawiarni –
powiedziała Eve. – Nie udało mi
się go zgubić. Przepraszam.**

–Cholera. Niedobrze.

**–Wiem. Michael zamknął drzwi
frontowe na klucz.**

**–Sprawdźcie tylne wejście.
Shane, upewnij się, czy nic nam**

nie grozi. Na górze też.

–Jasne. – Shane ruszył do środka. – Cholera, to była moja ostatnia koszulka Killersów. Ktoś mi za to zapłaci...

–Przepraszam, Michael – powiedziała Eve. – Próbowałam, naprawdę próbowałam...

–Wiem. Przy naszej czwórce w tym domu prędzej czy później musiało do tego dojść. Dobrze zrobiłaś. Nie martw się już.

–Cieszę się, że ty i Shane tu byliście. Michael zaczął coś

mówić, a potem przerwał, patrząc na Claire. Eve nie zwróciła na to uwagi.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku przy drzwiach i poszła do salonu.

**–Zostałyśmy zaatakowane –
wykrztusiła wreszcie Claire. –
Przez wampira.**

–Widziałem – powiedział Michael.

**–Nie, nie rozumiesz. Zostałyśmy
zaatakowane. Przez wampira.
Przecież wiesz, że to niemożliwe,
prawda?**

Michael westchnął.

–Tak naprawdę? Niekoniecznie. Wychowałem się tutaj, tak samo jak Eve i Shane. Już do tego przywykliśmy.

–Przecież to szaleństwo!

–Jak najbardziej. Uderzyło ją to, że spanikowana prawie zapomniała o kolejnej nieprawdopodobnej rzeczy i już chciała coś na ten temat powiedzieć, ale obejrzała się jeszcze i sprawdziła, czy Shane i Eve są poza zasięgiem słuchu.

**–A co, no wiesz? Z tobą? –
Wskazała na niego palcem.**

**–Ze mną? – Uniósł brwi. – Och.
Racja. Na górę. Spodziewała się,
że zabierze ją do sekretnego
pokoju, który pokazał jej Shane,
ale nie zrobił tego.**

**Zaprowadził ją do swojego
pokoju, tego dużego, narożnego.
Był mniej więcej dwa razy większy
niż jej, ale wcale nie stało w nim o
wiele więcej mebli. W pokoju był
też kominek – nieużywany o tej
porze roku – i para foteli oraz
lampa do czytania. Michael usiadł
na jednym z foteli, a Claire zajęła**

drugi. Poczula się mała i zziębnięta. Ten fotel z oparciem był od niej prawie dwa razy większy.

–No dobra – powiedział Michael i pochylił się naprzód, opierając łokcie na kolanach. – Porozmawiajmy o tym, co było rano. – Ale kiedy już to powiedział, zdawało się, że nie wie, od czego zacząć. Zaczął się kręcić, wpatrując w dywan.

–Umarłeś – powiedziała Claire. – Zniknąłeś. Wydawał się zadowolony, że powiedziała coś, co on może skomentować.

**-To niezupełnie tak, ale... blisko.
Wiesz, że kiedyś byłem
muzykiem?**

-Nadal jesteś!

**-Muzycy zwykle grywają gdzieś
poza własnym domem. Słyszałaś
Shane'a przy obiedzie. Wypytuje
mnie, dlaczego już nie występuję.
Prawdę mówiąc, nie mogę. Nie
mogę wychodzić z tego domu.**

**Przypomniała sobie, jak stał w
drzwiach, ze zbielełą twarzą i
patrzył, jak Shane stawia czoła
Brandonowi. To nie była
ostrożność, on chciał walczyć**

ramię w ramię z przyjacielem. Ale nie mógł.

–Co się stało? – spytała cicho. Domyślała się, że to nie będzie zwykła historia.

–Wampir – powiedział. – Zwykle tylko się karmią, lecz czasami potrafią zabić człowieka, jeśli piją jego krew wystarczająco często. Niektórzy z nich lubią tak robić, ale nie wszyscy. Ale... ten był inny. Przyszedł tu za mną po jakimś koncercie i próbował... On próbował...

Poczuła, że twarz zaczyna ją

palić.

–Och. O Boże.

–To nie to! – zaprotestował. – Niezupełnie. On chciał zrobić ze mnie wampira. Ale nie umiał. On chyba mnie, no cóż, zabił. A przynajmniej prawie zabił. Ale nie mógł zamienić mnie w kogoś takiego jak on i nas obu to omal nie zabiło. Kiedy potem się ocknąłem, był już dzień, on zniknął, a ja byłem duchem. Dopiero kiedy nadeszła noc, dotarło do mnie, że znów mogę rzeczywiście istnieć. Ale tylko w nocy. – Powoli pokręcił głową,

pocierając dłonie takim ruchem, jakby chciał zmyć z nich jakąś plamę. – Moim zdaniem ten dom utrzymuje mnie przy życiu.

–Ten dom? – powtórzyła.

–Jest stary. I w pewnym sensie ma... – Wzruszył ramionami. – Jakąś moc. Nie rozumiem, jak to działa. Kiedy rodzice kupili ten dom, mieszkali tu zaledwie jakieś dwa miesiące, a potem przenieśli się do Nowego Jorku. Coś ich odpychało od tego domu. A mnie się tu podobało. Miałem wrażenie, że dom też mnie lubi. Ale teraz nie mogę z niego wyjść. Próbowalem.

– Nawet w ciągu dnia? Kiedy cię nie ma, no wiesz, tutaj?

– To nie ma znaczenia – powiedział. – Nie mogę przejść przez żadne drzwi, okno, przez żaden otwór. Tkwię tu jak w pułapce.

Wydawało się, że czuje dziwną ulgę, mogąc jej o tym opowiedzieć. Skoro nie powiedział o tym Shane'owi ani Eve, to pewnie nie powiedział nikomu. Dziwnie się czuła jako powiernica tego sekretu, bo to nie był drobny sekret. Zaatakowany przez wampira, zostawiony przez niego

**na śmierć, zamieniony w ducha,
uwięziony w tym domu? A tak w
ogóle, to ile sekretów razem to
dawało?**

Coś jej przyszło do głowy.

**–Powiedziałeś, że ten wampir...
On pił twoją krew? Michael
pokiwał głową. Nie patrzył jej w
oczy.**

**–A ty... umarłeś? Znów milczące
kiwnięcie.**

**–A co się stało z twoim... No
wiesz. Ciałem?**

–Nadal z niego, w pewnym sensie, korzystam. – Wskazał ręką na siebie. Claire, niezdolna się powstrzymać, wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Wydawał się prawdziwy, ciepły i żywy.

–Ja nie wiem, jak to działa, Claire. Naprawdę nie wiem. Poza tym, że wydaje mi się, że to działanie domu, a nie mojego ciała.

Wzięła głęboki oddech.

–Czy ty pijasz krew? Tym razem podniósł wzrok, ze zdziwienia lekko otworzył usta.

**–Nie. Oczywiście, że nie.
Powiedziałem ci, on nie umiał...
Nie umiał zrobić ze mnie kogoś
takiego jak on.**

–Jesteś tego pewien?

**–Jadam chilli z czosnkiem roboty
Shane'a. Czy według ciebie tak
się żywi wampir? Zamyślona
wzruszyła ramionami.**

**–Do dzisiaj myślałam, że wiem,
czym jest wampir, że to zawsze ta
peleryna i rumuński akcent, i tak
dalej. A jak z krzyżami? Krzyże
działają?**

–Czasami. Ale nie można na nich stale polegać. Starszych wampirów coś takiego nie powstrzyma.

–A Brandona? – No bo przecież on ją teraz najbardziej martwił. Michael skrzywił się z pogardą.

–Brandon to śmieć. Dałoby się go zmyć gąbką nasączoną karnówką, gdyby mu się powiedziało, że to święcona woda. Jest niebezpieczny, ale jeśli chodzi o wampiry, lokuje się na początku łańcucha pokarmowego. Martwić się powinnaś tymi, które nie popisują się kłamami i nie usiłują

cię porwać z ulicy. I owszem, noś krzyżyk, ale chowaj go pod ubraniem. Powinnaś go sobie zrobić, jeśli nie masz, nigdzie w mieście go nie kupisz. A jeśli uda ci się zdobyć coś takiego jak święcona woda czy opłatek, trzymaj je pod ręką. Ale wampiry pozamykały większość kościołów w tym mieście jakieś pięćdziesiąt lat temu. Kilka jeszcze działa nielegalnie. Uważaj jednak. Nie wierz w nic, co usłyszysz, i nigdzie, ale to nigdzie nie chodź sama.

Dłuższej przemowy jeszcze od Michaela nie słyszała. Mówił

szybko i gorączkowo. On nic nie może zrobić. On nie może zrobić nic, kiedy przekraczamy próg tego domu.

–Dlaczego pozwoliłeś nam się wprowadzić? – spytała. – Po... Po tym, co cię spotkało? Uśmiechnął się. Ale to nie był wesoły uśmiech.

–Czułem się samotny – powiedział. A skoro nie mogę wyjść z tego domu, niewiele mogę zrobić. Potrzebuję kogoś, kto pomoże z zakupami i tak dalej. No i... Będąc duchem, trochę trudno mi płacić rachunki. Shane... Shane szukał mieszkania i

zapropnował, że dorzuci się do czynszu. Układ był idealny. A potem Eve... Przyjaźniliśmy się jeszcze w liceum. Nie mogłem pozwolić, żeby się błąkała nie wiadomo gdzie, kiedy rodzice wyrzucili ją z domu.

Claire próbowała sobie przypomnieć, co mówiła o tym Eve. Właściwie to nic.

–Dlaczego to zrobili?

–Kiedy skończyła osiemnaście lat, nie chciała już korzystać z Ochrony ich Patrona. Poza tym kiedy była mniej więcej w twoim

wieku, zaczęła się ubierać jak Gotka. Powiedziała, że nic jej to nie obchodzi, ona nigdy nie będzie włąziła w tyłek żadnemu wampirowi. – Michael bezradnym gestem rozłożył ręce. – Kiedy skończyła osiemnaście lat, wywalili ją z domu. Musieli, inaczej cała rodzina straciłaby Ochronę. Więc próbowała jakoś dać sobie radę sama. I udało jej się – tu jest bezpieczna, w kawiarni też nic jej nie grozi. Tylko przez resztę czasu musi uważać.

Claire nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć. Rozejrzała się

po pokoju. Łóżko było zasłane. O mój Boże, to jego łóżko.

Próbowała sobie wyobrazić, że Michael tam śpi i nie mogła.

Chociaż potrafiła sobie wyobrazić parę innych rzeczy, których nie powinna, bo od tego robiło jej się gorąco i zaczynała się rumienić.

– Claire – odezwał się cicho.

Popatrzyła na niego. – Brandon jest za młody, żeby pojawiać się za dnia, więc do zachodu słońca jesteś bezpieczna. Ale po zmroku nie wychodź. Jasne?

Pokiwała głową.

–A co to tej drugiej sprawy...

–Nikommu nie powiem – obiecała.

– Nie powiem, Michael. Tylko jeśli sam będziesz tego chciał.

Wyrwało mu się długie westchnienie.

–Dzięki. Ja wiem, że to głupio zabrzmiało, ale... Ja po prostu nie chcę jeszcze, żeby oni wiedzieli. Muszę się zastanowić, jak im o tym powiedzieć.

–To twoja sprawa – powiedziała Claire. – I, Michael? Jeśli zaczniesz, no wiesz, mieć apetyt na to czerwone...?

**–Pierwsza się o tym dowiesz –
powiedział. Oczy miał spokojne i
chłodne. – A ja oczekuję, że wtedy
zrobisz wszystko co trzeba, żeby
mnie powstrzymać.**

**Zadrżała i powiedziała, że tak, że
dobrze, że jeśli będzie taka
potrzeba, to go potraktuje
kołkiem. Ale nie mówiła tego
serio. A przynajmniej miała
nadzieję, że serio tego nie mówi.**

ROZDZIAŁ 8

Była kolej Shane'a na gotowanie obiadu i wymyślił hot dogi z chilli, czyli znów chilli, ale przynajmniej było smaczne. Claire zjadła dwa, ze zdumieniem patrząc, jak Michael i Shane pożerają po cztery. Eve zadowolona się jednym. Uśmiechała się do Shane'a i rzucała jakieś cięte uwagi, ile razy on próbował jej przygadać, ale poza tym Claire zauważyła też coś innego.

Eve nie potrafiła oderwać oczu od Michaela. Najpierw Claire

pomyślała, że ona coś wie, ale potem zauważyła na policzkach Eve rumieniec, który wyglądał spod bladego makijażu.

I ten błysk w jej oczach.

Och, Michael wyglądał naprawdę świetnie wtedy, kiedy ją porwał i schował za sobą przed Brandonem. A teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, dotarło do niej, że ile razy są razem, Eve co chwila zerka na Michaela.

Eve wreszcie odsunęła talerz i oświadczyła, że rezerwuje sobie łazienkę na długą, gorącą kąpiel w

pianie. Claire pożałowała, że nie wpadła na ten pomysł pierwsza. Razem z Michaeliem pozmywali naczynia, a Shane ćwiczył swoje umiejętności bojowe na zombie na Xboksie.

–Wiesz, podobasz się Eve – rzuciła od niechcienia, kiedy opłukiwała ostatni talerz. O mało nie wyleciał mu z rąk ten, który właśnie wycierał.

–Co?

–To, co słyszałeś.

–Powiedziała ci tak?

–Nie.

–No to moim zdaniem coś ci się wydawało.

–Nie lubisz jej?

–Oczywiście, że ją lubię!

–Na tyle, żeby...?

–Ja nie o tym mówię. – Odłożył talerz na suszarkę. – Jezu, Claire!

–Daj spokój. Ona ci się podoba, prawda?

–A nawet gdyby... – urwał w pół słowa, zerknął w stronę drzwi i

ściszył głos. – A nawet gdyby, to jest z tym parę problemów, nie wydaje ci się?

–Wszyscy mają jakieś problemy – odparła filozoficznie. – A zwłaszcza w tym mieście. Jestem tu dopiero od sześciu tygodni, a też już to widzę.

Cokolwiek by o tym myślał, wytarł po prostu ręce i wyszedł z kuchni. Usłyszała, że powiedział coś do Shane'a, a kiedy weszła do salonu, zobaczyła, że obaj są pochłonięci grą wideo. Szturchali się łokciami i zażarcie walczyli o każdy punkt.

Faceci. Jezu.

Szła do swojego pokoju i mijiała łazienkę, kiedy usłyszała, że Eve płacze. Cichutko zapukała i kiedy szloch Eve ucichł, spróbowała otworzyć drzwi. Nie były zamknięte.

Eve miała na sobie puchaty, czarny szlafrok i siedziała na sedesie. Zmyła już makijaż i rozpuściła włosy; wyglądała jak mała dziewczynka w za dużym ubraniu osoby dorosłej. Taka krucha. Uśmiechnęła się do Claire niepewnie i otarła łzy z twarzy.

–Przepraszam – powiedziała i odchrząknęła. – Gorszy dzień, no wiesz.

–Ten facet. Ten wampir. On zachowywał się tak, jakby cię znał – powiedziała Claire.

–On... To on zapewnia Ochronę mojej rodzinie. A ja mu za nią podziękowałam. Raczej się nie ucieszył. – Roześmiała się słabo. – Zdaje się, że nikt nie lubi odrzucenia. Claire przyjrzała jej się uważnie.

–Ale wszystko w porządku?

– Jasne. Malinowo. – Eve zbyła ją machnięciem ręki. – Idź się uczyć. Naucz się tak, żeby dać popalić temu miastu. Jestem po prostu trochę przygnębiona. Nie przejmuj się tym.

Potem, kiedy Michael zaczął grać, Claire przez ścianę znów usłyszała płacz Eve.

Tej nocy nie poszła na przeszpiegi i nie widziała, jak Michael zniknął. Stwierdziła, że nie ma odwagi.

Następnego dnia Shane poszedł z nią kupić jakieś ciuchy. Mieli

tylko trzy przecznice do nijakiej handlowej części miasta, pełnej sklepów z używanymi ubraniami. Nie miała ochoty na jego towarzystwo, ale nie chciał jej puścić samej.

–Eve pozwalasz chodzić samej – wytknęła mu, kiedy siedział na kanapie i wkładał buty.

–Eve ma samochód – odparł. – Poza tym wcześniej jeszcze spałem. A ty chodzisz z eskortą. Przyzwyczaj się do tej myśli.

W głębi duszy zrobiło jej się przyjemnie. Tak troszeczkę. To

był kolejny jak zwykle słoneczny dzień, a chodniki niemal wibrowały żarem. Na ulicach przechodniów było mało, no ale z drugiej strony rzadko bywało ich wielu. Shane szedł sprężystym, długim krokiem, z rękoma w kieszeniach.

Musiła się spieszyć, żeby za nim nadążyć. Czekala, aż on coś powie, ale milczał. Po chwili sama się odezwała:

–Miałeś wielu przyjaciół, zanim wyjechałeś z miasta?

–Przyjaciół? Kilku. Michaela.

Trochę znałem wtedy Eve, ale obracaliśmy się w innych kręgach. Jeszcze parę osób.

–I co... Co się z nimi stało?

–Dorośli, poznajdowali pracę, załatwili sobie Ochronę, jakoś sobie radzą. W Morganville tak się właśnie dzieje. Albo się w to jakoś wpisujesz, albo stąd wyjeżdżasz.

–Widujesz się z nimi czasem? – Bo ona sama aż się dziwiła, że tak jej brak przyjaciół z rodzinnego miasta, a już zwłaszcza Elizabeth. Zawsze myślała o sobie, że jest odludkiem, ale...

Może jednak nie była. Może w gruncie rzeczy nikt nie jest odludkiem.

–Nie – powiedział. – Teraz nie mamy ze sobą nic wspólnego. Nie mają ochoty spotykać się z kimś takim jak ja.

**–Z kimś, kto nie chce się dopasować. – Shane zerknął na nią i pokiwał głową. –
Przepraszam. Wzruszył ramionami.**

–Nic się nie stało. A ty? Masz w swoim mieście jakichś kumpli?

–Tak. Elizabeth, to moja najlepsza przyjaciółka. Gadałyśmy ze sobą cały czas, wiesz? Ale... Kiedy się dowiedziała, że wyjeżdżam na studia, jakoś tak... – Claire zdecydowała, że najlepiej swój ą opinię o zachowaniu Elizabeth wyrazić wzruszeniem ramion.

–Dzwonisz do niej czasem?

–Tak – powiedziała. – Ale bardzo się od siebie oddaliłyśmy. Rozumiesz? Trzeba się zastanawiać nad tym, co powiedzieć. Dziwnie jakoś.

–Boże, dobrze wiem, co masz na myśli. – Shane nagle przystanął i wyciągnął ręce z kieszeni. Byli w pół drogi między dwoma sklepami i w pierwszej chwili sądziła, że on chce popatrzeć na wystawę, ale powiedział krótko: – Obróć się i odejdź.

Wejdź do pierwszego sklepu po drodze i się schowaj.

–Ale...

–Ruchy, Claire. Już. Cofnęła się o krok i zawróciła, idąc jak mogła najszybciej do sklepu, który właśnie minęli. Jakiś marny

ciuchland, w którym raczej niczego by dla siebie nie szukała, ale pchnęła drzwi, oglądając się przy tym przez ramię.

Obok Shane'a przystanął przy krawężniku policyjny wóz. Shane stał z rękoma wzdłuż boków i z potulną miną, a gliniarz, który prowadził, wychylał się przez okno i coś do niego mówił.

Claire o mało nie przewróciła się, kiedy ktoś otworzył drzwi sklepu od środka. Potknęła się na progu i wpadła do ciemnego, nieco zatęchłego wnętrza.

–Witam – odezwał się do niej policjant w mundurze, który te drzwi otworzył. Jakiś starszy pan, blondyn z rzednącymi włosami i gęstym wąsem. Miał zimne niebieskie oczy i krzywe zęby. – Claire, zgadza się?

–Ja... – Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Przez całe życie powtarzano jej, że policji nie wolno kłamać, ale... – Tak. – Widziała wyraźnie, że sam już to wiedział.

–Nazywam się Gerald. Gerald Bradfield. Miło mi cię poznać. – Wyciągnął rękę. Z trudem

przełknęła ślinę, wytarła spoconą dłoń i podała mu ją. Prawie spodziewała się, że zatrzaśnie na jej nadgarstkach kajdanki, ale on tylko mocno uścisnął jej rękę, potrząsnął nią dwukrotnie i puścił. – Ludzie cię szukają, wiesz.

–Ja... Nie wiedziałam, proszę pana.

–Naprawdę? – Zimne, zimne oczy, niezależnie od tego, co mówił uśmiech. – Jakoś mi się nie wydaje, mała. Wyobraź sobie, że córka burmistrza martwiła się, że coś ci się mogło stać. I prosiła, żebyśmy cię znaleźli. Zadbali,

żeby cię nie spotkało nic złego.

**–U mnie wszystko w porządku, proszę pana. – Ledwie udało jej się wyjąkać. W ustach jej zaschło.
– Nic mi nie grozi, prawda?**

Roześmiał się.

–A dlaczego miałyby ci coś grozić, Claire? Nie, tym nie musisz się przejmować. Już wiemy, gdzie przebywasz. I z kim się zadajesz. Powinnaś być ostrożniejsza. Jesteś tutaj od niedawna, ale już wiesz o wiele więcej, niż powinnaś. A twoi przyjaciele raczej nie zaliczają się

do takich, którzy gwarantują spokojne życie w tym mieście. Wichrzyciele. A ty mi na wichrzycielkę nie wyglądasz. Wiesz co? Wróć do akademika, chodź na zajęcia jak grzeczna dziewczynka. Osobiście dopilnuję, żeby nie spotkało cię nic złego.

Claire chciała pokiwać głową, chciała się na to zgodzić, chciała zrobić cokolwiek, byle tylko uciec od tego człowieka. Rozejrzała się po sklepie. Byli tam w środku inni ludzie, ale starannie omijali ją wzrokiem. Zupełnie jakby dla nich nie istniała. – Pewnie uważasz, że nie mogę – powiedział. – A jednak.

Możesz na to liczyć.

Znów spojrzała na policjanta i zobaczyła, że oczy mu pobieleły, w środku tęczówek widniały tylko maleńkie punkciki źrenic. Kiedy się uśmiechnął, dostrzegła błysk kłów.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, cofnęła się i złapała rączkę drzwi. Wypadła na ulicę, rzuciła się biegiem i zobaczyła Shane'a, który stał tam, gdzie przedtem, i patrzył za odjeżdżającym wozem policyjnym. Obrócił się i złapał ją za ramiona, kiedy właściwie na niego wpadła.

**–Wampir! – wykrztusiła. –
Policjant wampir. W sklepie!**

**–Na pewno Bradfield – stwierdził
Shane. – Wysoki facet? Łysawy, z
wąsami? Pokiwała głową. Drżała
na całym ciele. Shane nawet nie
wydawał się zdziwiony i zupełnie
się nie wystraszył.**

**–Bradfield jest w porządku –
powiedział. – To nie jest
najgorszy typ w tym mieście,
wierz mi. Zrobił ci coś?**

**–On... On tylko uścisnął mi rękę.
Ale powiedział, że wie! Że wie,
gdzie mieszkam! Shane znów się**

nie zdziwił.

–No cóż, to była tylko kwestia czasu. Podjechali do mnie, żeby zapytać o twoje pełne nazwisko. Dołączyli je do rejestru.

–Rejestru?

–Tak to nazywają. To trochę jak spis ludności. Zawsze wiedzą, ile osób gdzie mieszka. Posłuchaj, chodź już, okej? I nie rób takiej przerażonej miny. Nie napadną nas w ciągu dnia.

Shane był o tym o wiele bardziej przekonany niż ona, ale jakoś

opanowała drżenie, skinęła głową i poszła za nim. Za kolejną przecznicą znaleźli sklep z używanymi ciuchami, który wydawał się jaśniejszy, przyjemniejszy i przypuszczalnie bez czających się w środku wampirów.

– To sklep pani Lawson. Kiedyś przyjaźniła się z moją mamą. Fajne miejsce. – Shane otworzył przed Claire drzwi jak dżentelmen. W środku ładnie pachniało – Claire stwierdziła, że to jakieś kadzidełko – i paliło się mnóstwo świateł. Nie było tu żadnych ciemnych kątów, a dzwonek przy

drzwiach odezwał się z cichym brzękiem, kiedy Shane zamykał drzwi za nimi.

–Shane! – Postawna kobieta w barwnej, farbowanej przez wiązanie bluzce i obszernej, fałdzistej spódnicy wyszła szybko zza kontuaru, uściskała mocno Shane'a i uśmiechnęła się do niego serdecznie. – Chłopcze, a co ty tu robisz? Znów coś kombinujesz?

–Kombinuję. Jak zwykle.

–Tak myślałam. No i dobrze. – Ciemne oczy kobiety spoczęły na

Claire. – A kim jest twoja przyjaciółka?

–To Claire. Claire Danvers. Ona... Studiuje tu na uniwerku.

–Miło mi cię poznać, Claire. Wątpię, żebyś przyszedł tylko się przywitać, chłopcze, więc powiedz, w czym wam mogę pomóc?

–Ubrania – powiedziała Claire. – Szukam dla siebie jakichś ubrań.

–To akurat tu mamy. Nosisz chyba czwórkę, prawda? Chodź ze mną, kotku. Mam kilka

naprawdę ładnych rzeczy akurat w twoim rozmiarze. Shane, tobie też przydałyby się jakieś nowe ciuchy. Te džinsy są podarte.

–Takie mają być.

–Boże. Moda. Ja już po prostu jej nie czuję. Może i pani Lawson nie czuła mody, ale miała mnóstwo ślicznych topów i džinsów, i różnych innych rzeczy i to tanio. Claire wybrała sobie całe naręczce i podeszła do kasy, gdzie zapłaciła za nie dwadzieścia dwa dolary. Kiedy pani Lawson inkasowała pieniądze, Claire zerknęła za jej plecy na rzeczy

wiszące na ścianie. Był tam jakiś chyba oficjalny certyfikat, oprawiony w ramki, z ozdobną pieczęcią... Nie, to nie była pieczęć. To był jakiś symbol. Taki sam, jaki widniał na bransoletce na dłoni pani Lawson.

–Uważajcie na siebie – powiedziała pani Lawson, podając jej torbę z ubraniami. – Oboje. Powiedz Shane'owi, że ma się za siebie wziąć i to już. Dali mu trochę luzu ze względu na to, co przeszedł, ale to nie potrwa długo. Musi zacząć myśleć o swojej przyszłości.

Claire obejrzała się przez ramię na Shane'a, który ze znudzoną miną wyglądał przez okno. Oczywiście miał przymknięte.

–Powiem mu – odezwała się z wahaniem. Miała jakieś dziwne wrażenie, że Shane myśli tylko o tym. Mijał dzień po dniu i nic szczególnego się nie działo. Claire martwiła się o uczelnię, ale była zmęczona, a jej siniaki przybrały już wszystkie barwy tęczy i ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę, to znaleźć się w centrum uwagi. Lepiej już – jak przekonał ją Shane – pouczyć się w domu i pokazać się na zajęciach, kiedy

wróci do formy, a Monica będzie miała czas pewne sprawy sobie przemyśleć.

Po tygodniu żyła już ustalonym trybem – siedziała do późna z Michael'em, Shane'em i Eve, wyklócała się z nimi o kolejność korzystania z łazienki, gotowała, sprzątała, uczyła się. I było... dobrze. Naprawdę, w akademiku tak nie bywało.

W następny poniedziałek, gdy robiła śniadanie, Shane przyszedł do kuchni, nadąsany i mrukliwy. W milczeniu wyjął trochę bekonu i usmażył, kiedy ona zajęła się

jajkami. Nie przekomarzali się jak z Eve parę dni temu. Próbowła nawiązać rozmowę, ale nie miał nastroju. W odpowiedzi coś odburkiwał. Zaczekała, aż skończył śniadanie i wypił filiżankę kawy zaparzonej w malutkim ekspresie stojącym w kącie na kuchennym blacie, a dopiero potem spytała:

–Dlaczego wstałeś tak wcześnie? Shane balansował na krześle, które opierało się tylko na tylnych nogach.

–Spytaj Michaela. Raczej nie da się tego zrobić...

–Chcesz coś dla niego zrobić?

–Jasne. – Shane usiadł normalnie i przesunął dłonią po włosach, nadal potarganych. – Ale nie oczekuj, że się wystroję.

–Co takiego?

–Sama chciałaś. – Popatrzyła na niego w milczeniu, bojąc się nawet domyślać, o co mu chodziło. – Zabieram cię na zajęcia. Chciałaś wracać do szkoły, tak?

–Żartujesz sobie – powiedziała słabo. Wzruszył ramionami. –

Żartujesz sobie. Nie jestem sześciolatką, którą starszy braciszek musi odprowadzać do szkoły! Shane, wykluczone!

–Michael uważa, że potrzebujesz obstawy. Brandon był naprawdę wkurzony. Może znaleźć jakiś sposób, żeby się na tobie wyżyć, nawet jeśli sam nie może tego zrobić. Ma do dyspozycji mnóstwo ludzi, którzy skopią ci tyłek na jedno jego skinienie. – Shane odwrócił od niej wzrok. – Na przykład Monica. O cholera.

–Monica jest pod opieką Brandona?

–O ile wiem, jak cała rodzina Morrellów. To ich własny prywatny bydlak. A więc? – Zatarł ręce. – Jakież to ekscytujące zajęcia nas dziś czekają?

–Przecież nie możesz chodzić na zajęcia ze mną!

–Możesz mnie związać i obezwładnić, ale dopóki tego nie zrobisz, mam z tobą całodniową randkę. No? Co mamy w planie?

–Rachunek różniczkowy, fizykę, chemię, laboratorium i biochemię.

–O ja piórkuję. Naprawdę jesteś

bystra. Ja sobie wezmę jakieś komiksy. I może iPod'a. Nie spuszczała z niego gniewnego wzroku. Ale to nic nie pomagało, a jeśli już, to wprowadzało go w jeszcze lepszy nastrój.

–Zawsze chciałem zrobić wrażenie w kampusie – dodał Shane. – Dziś moja wielka szansa.

–No to po mnie – jęknęła i schowała twarz w dłoniach.

–Jeszcze nie. No i w sumie właśnie o to chodzi. Bała się, że Shane będzie robił wielkie zamieszanie, ale się myliła.

Przyczesał nawet włosy, od czego wyprzystojniał tak, że aż się bała się na niego patrzeć. Zwłaszcza jeśli miała z nim spędzić cały dzień. Włożył czystą białą koszulę i swoje najlepsze dżinsy, chociaż też podarte na kolanach i obszarpane na szwach. I zwykłe sportowe buty.

–W razie gdyby trzeba było zwiewać – wyjaśnił. – Zresztą to boli, jak się kogoś kopie w japonkach.

–Ale nikogo nie będziesz kopał – powiedziała szybko. – Prawda?

**–Nikogo, kto na to nie zasłuży –
odparł. – Co jeszcze mam zrobić,
żeby się nie wyróżniać?**

**–Plecak. – Znalazła swój
zapasowy i rzuciła mu go. Wsunął
do środka kilka książek w
papierowych okładkach, nintendo
DS, iPoda ze słuchawkami, a
potem poszukał w kuchennych
szafkach ciasteczek i
butelkowanej wody. – Shane, na
pustynię się raczej nie wybieramy.
Nie musisz zabierać wszystkiego.
Tam są automaty z pićm i
jedzeniem.**

–Tak? Ja na tym planie żadnego

lunchu nie widziałem. Jeszcze mi podziękujesz. Rzeczywiście, czuła się lepiej, kiedy Shane był obok niej. Przyglądał się uważnie ciemnym alejkom i pustym budynkom. Uważał na wszystko. Chociaż wziął iPod, nie słuchał muzyki. Nagle z żalem pomyślała, że nie ma swojego i zastanowiła się, czy nie zwinęła go Monica.

Na kampus dotarli bez kłopotów i byli już w połowie drogi na jej pierwsze zajęcia, kiedy Claire nagle coś się przypomniało i stanęła jak wryta. Shane z rozpędu przeszedł jeszcze dwa kroki, a potem obejrzał się na nią.

–Monica – powiedziała. – Monica będzie się tu kręciła. Jak zwykle. Zobaczy cię.

–Wiem. – Shane przesunął sobie plecak. – Idziemy.

–Ale... Monica! On tylko na nią popatrzył i ruszył przed siebie. Claire dalej stała w miejscu.

–Hej! Miałeś iść ze mną, a nie mnie zostawiać!

–Monica to moja sprawa – stwierdził. – Zostaw ten temat.

–Zaczekał na nią, a ona z

ociąganiem dogoniła go. – Jeśli nie będzie się nas czepiała, ja się nie będę czepiał jej. I co ty na to?

Według Claire to było zwykłe myślenie życzeniowe. Jeśli Monica rzeczywiście uwzięła się na Shane'a, nawet rok czy dwa temu, i posunęła się aż do zabicia jego siostry, to ona nie bardzo umiałaby wyobrazić sobie sytuację, w której Shane po prostu sobie odpuści. Shane nie wyglądał na faceta, który odpuszcza.

Kwadratowy wybetonowany dziedziniec między budynkiem

wydziału architektury a głównym budynkiem nauk ścisłych pełen był studentów w drodze z jednych zajęć na drugie. Teraz, kiedy Clarin wiedziała już, czego wypatrywać, nie mogła nie zauważyć, jak wielu z nich nosi opatrzone symbolami bransoletki – skórzane, metalowe, a nawet plecione. I jak wielu studentów ich nie ma.

Ci, którzy nosili bransoletki, wyróżniali się pewnością siebie. Dziewczyny z bractw studenckich. Faceci z bractw studenckich. Sportowcy. Popularne dzieciaki. Samotnic, odludki, ci nudni, ci

przeciętni i ci dziwni... Oni należeli do pozbawionych Ochrony.

Jak by było hodowane na mięso.

Shane uważnie rozglądał się po tłumie. Clarin szła szybko przed siebie w stronę głównego budynku; wiedziała, że Monica za nic e świecie nie pokaże się – ani nie będzie nikogo zabijać – w miejscu tak mało lansiarskim. Jedyne problem polegał na tym, że trzecim budynkiem stojącym przy Kwadracie była siedziba zarządu i administracji, no a Monica, oczywiście, bardzo lubiła

tam przesiadywać, wypatrując zamożnych chłopaków.

Prawie na miejscu...

Już była na schodach prowadzących do wydziału matematyki, kiedy usłyszała, że idący za nią Shane przystaje. Wpatrywał się w Kwadrat i Claire, obracając się, dostrzegła Monicę, otoczoną kółeczkiem wielbicieli i wlepiającą wzrok prosto w niego. Równie dobrze ta dwójka mogła się tam znaleźć sama. Takie spojrzenia wymieniaj ludzie w sobie zakochani albo tacy, którzy za moment maja się nawzajem

pozabijać.

**–Kurcze – westchnął Shane.
Głos mu zadrżał.**

**–Chodź – powiedziała Claire i
załapała go za łokieć. Bała się, że
stawi jej opór, ale dał się
poprowadzić, tyle że wydawało
się, że idzie za nią, bo myśli o
czymś innym. Kiedy wreszcie na
nią popatrzył, wzrok miał twardy.**

**–Nie tutaj – powiedziała – Ona tu
nie wejdzie.**

**–Dlaczego nie? – Bo by się
wstydziła.**

Powoli pokiwał głową, jakby rozumiał, co Claire ma na myśli i ruszył za nią. Claire trudno było skupić się na nudnym wykładzie, którego treść i tak już знаła, bo ucząc się w domu znacznie wyprzedziła materiał, który teraz wykladał profesor... Ale przede wszystkim myślała o Shanie, który siedział obok niej bez ruchu, z rękoma na pulpicie, i gapił się obojętnie w przestrzeń. Nawet nie słuchał iPod'a. Wyczuwała napięcie w jego postawie, zupełnie jakby tylko czekał na okazję, żeby w coś walnąć.

Wiedziałam, że to kiepski

pomysł, pomyślała.

To był półtoragodzinny wykład z piętnastominutową przerwą. Kiedy Shane wstał i wyszedł, szybko ruszyła jego śladem. Podszedł do przeszklonych drzwi i wyjrzał na Kwadrat.

–Nie ma jej – powiedział, nawet nie oglądając się na Claire. – Przystań się mną przejmować. Wszystko w porządku.

–Ona... Eve powiedziała, że spaliła twój dom. – Żadnej reakcji. – I że... twoja siostra...?

**–Nie udało mi się jej pomóc –
powiedział Shane. – Miała
dwanaście lat i nie mogła
wydostać się z domu. To był mój
obowiązek. Opiekować się nią.**

**Nadal nie patrzył na Claire. Nie
przychodziły jej do głowy żadne
słowa. Po chwili Shane ruszył w
stronę męskiej łazienki, ona
pobiegła do tej dla dziewczyn,
czekając niecierpliwie na swoją
kolejkę, a kiedy wyszła, okazało
się, że Shane'a nigdzie nie ma.**

O cholera.

Ale kiedy wróciła do sali

wykładowej, siedział na swoim miejscu, tyle że tym razem miał na uszach słuchawki iPoda.

Nic nie powiedziała. On też się nie odezwał.

Claire nie przypomniała sobie żadnego równie długiego i równie nudnego wykładu.

Fizykę miała w tym samym budynku; jeśli Monica czekała na nich na rozpalonym słońcem Kwadracie, to mogła się mocno opalić. Shane tkwił na swoim miejscu jak pomnik, o ile pomnik może mieć na uszach słuchawki i

emanować z trudem hamowanym gniewem, od którego człowiekowi aż się włoski jeżyły na ramionach. Czowała się, jakby siedziała obok bomby, która za moment wybuchnie, a biorąc pod uwagę jej wiedzę z fizyki, wiedziała dokładnie, jak to może wyglądać. I mówić tu o potencjale energetycznym...

Fizyka mijała powoli. Shane wyciągnął wodę i ciastka i podzielił się z Clair. Chemię miała w budynku obok, ale tym razem Claire zadbała, żeby poszli tam bocznym przejściem, nie przez Kwadrat. Ani śladu Moniki.

Odcierpiała kolejne półtorej godziny chemii, a napięcie zaczęło powoli Shane'a opuszczać, aż wreszcie jej nerwy przestały reagować jak dzwonki sań na każdy jego ruch. Przez większość zajęć grał na nintendo DS. Miała nadzieję, że tłucze zombie. Zauważyła, że to mu poprawia nastrój.

W laboratorium chemicznym wręcz wypogodniał, zainteresował się doświadczeniem i zadawał tyle pytań, że asystent, który nigdy przedtem nie musiał podchodzić do stołu Claire, podszedł do nich i zaczął się gapić na Shane'a z taką

miną, jakby nie mógł zrozumieć, skąd on tam się wziął.

**–Cześć, stary – powiedział Shane i wyciągnął do niego rękę.
– Shane Collins. Ja tu... Jakby to ująć? Robię casting. Casting tych zajęć. Z moją przyjaciółką. Znaczą, Claire.**

–Aha – powiedział asystent, którego imienia Claire nigdy dotąd nie słyszała. – Jasne. No to... No to, oby tak dalej.

Shane pokazał mu uniesiony kciuk i wyszczerzył zęby durnym uśmiechu.

**–Hej – powiedział ciszej,
nachylając się do Claire. – Czy oś
z tego badziewia może
wybuchnąć?**

**–Co? Aha... No... Tak, jeśli coś
zrobisz źle, to chyba tak.**

**–Nurtują mnie praktyczne
zastosowania. Bomby, te rzeczy.**

**–Shane! – Naprawdę ją
rozpraszał. I ładnie pachniał.
ładnie, ale jak facet, a więc inaczej
niż dziewczyna – czymś bardziej
pikantnym, zapachem, od którego
aż kręciło się jej głowie. Och,
uspokój się wreszcie, przecież to**

tylko Shane! – tłumaczyła sobie. Ale to nie pomogło, zwłaszcza kiedy zwrócił się do niej z tym swoim uśmiechem i spojrzeniem, od którego dziewczyny musiały chyba padać trupem w promieniu trzech metrów. Przecież to nierób. I wcale... Wcale nie jest taki bystry. Ale może jednak był. Tyle że w innych sprawach niż ona. Był to dla niej zupełnie nowy pomysł, ale całkiem jej się spodobał.

Trzepnęła go po ręce, kiedy sięgał po odczynniki, skoncentrowała się na szczegółach doświadczenia.

Skoncentrowała się tak bardzo, a Shane tak był zaabsorbowany obserwowaniem tego, co robiła, że żadne z nich nie usłyszało kroków za plecami. Pierwsze, co poczuła Claire, to palący, nieznośny ból po prawej stronie pleców. Wypuściła z ręki trzymaną próbkę i krzyknęła – nie zdołała się powstrzymać, bo, Boże, co za ból – a Shane obrócił się błyskawicznie i złapał za kołnierz kogoś, kto właśnie usiłował się wycofać.

Gina, jedna z Moniczkowatych. Warknęła coś do niego i próbowała go uderzyć, ale jej nie

puścił. Claire, z trudem łapiąc oddech z bólu i usiłując się odwrócić, żeby zobaczyć, co się dzieje z jej plecami, widziała, że Shane ostatkiem sił powstrzymuje się, żeby nie przyłożyć Ginie. Asystent podbiegł, a inni studenci też zaczęli się orientować, że stało się coś złego i o wiele bardziej interesującego niż zadane doświadczenie. Claire zsunęła się ze stołka i nadal usiłowała zobaczyć, co się dzieje z jej plecami, bo strasznie ją bolało. Czuła też jakiś okropny zapach.

–O Boże! – wykrztusił asystent.

Złapał butelkę wody wystającą plecaka Shane'a, otworzył ją wylał zawartość na plecy Claire, a potem rzucił się do szafki stojącej obok i wrócił z pudełkiem sody oczyszczonej. Usłyszała, jak soda zaczęła syczeć w zetknięciu z jej plecami i Claire mało nie zemdląta.

–Siadaj. Siadaj! A wy sprowadźcie karetkę. Już! – Claire osunęła się bez tchu na niższy stółek, a asystent złapał jakieś nożyczki i rozciął jej bluzkę na plecach. Przeciął przy okazji zapięcie stanika, a Claire ledwie starczyło przytomności umysłu, żeby złapać ubranie i

przytrzymać, zanim zsunęło się jej z ramion. Boże, boli, jak boli... Usiłowała się nie rozplakać. Pieczenie nieco zelżało, kiedy soda oczyszczona zadziałała. Kwasy mają niskie pH, soda ma wysokie... No cóż, przynajmniej nawet w tej sytuacji pamiętała nieco z chemii.

Podniosła oczy i zobaczyła, że Shane nadal trzyma Ginę. Wykręcił jej rękę za plecami i zmusił, żeby wypuściła z niej probówkę; w szkle nadal została wyglądająca jak woda resztką kwasu, którym oblała Claire.

**–To był wypadek! – kwiknęła i
wspięła się na palce, bo wspięła
się na palce, bo Shane ścisnął ją
mocniej – Potknęłam Się!**

**Przepraszam! Słuchajcie, ja
naprawdę nie chciałam... – Dziś
nie pracujemy z H₂SO₄ –**

**stwierdził ponuro asystent. Nie
masz wymówki, żeby z nim
spacerować. Claire? Claire, czy
bardzo cię boli?**

**–Ja... Nic mi nie jest. Nic mi nie
jest – powiedziała, chociaż,
prawdę mówiąc, nie miała pojęcia,
czy coś jej jest, czy nie.**

Kręciło jej się w głowie, robiło

zimno, młilo ją. Pewnie szok.

I wstyd, bo dobry Boże, siedziała prawie goła przy całej grupie... przy Shanie. – Mogłabym coś na siebie włożyć?

–Nie, nie podrażniaj rany. Oparzenie jest dość głębokie. Tu trzeba antybiotyków. Siedz i się nie ruszaj. – Asystent zwrócił się w stronę Shane'a i Giny. Wskazał palcem na dziewczynę.

–A ty porozmawiasz sobie z policją. Nie będę tolerował tego typu wybryków na swoich zajęciach. I nic mnie nie obchodzi,

kim są twoi przyjaciele!

To znaczyło, że ją znał. A przynajmniej sporo wiedział. Shane szepnął coś do ucha Ginie, tak cicho, że Claire tego nie dosłyszała, ale nie mogło to być nic dobrego, sądząc po wyrazie twarzy dziewczyny.

–Proszę pana? – odezwała się Claire słabo. – Czyja mogę jakoś zaliczyć to doświadczenie? A poza tym...

Ale zemdląca, zanim zdążyła dokończyć: „przepraszam za to całe zamieszanie”.

Rozdział 9

Kiedy się obudziła, leżała na boku i było jej ciepło. I sennie. Obok niej ktoś siedział. Jakiś chłopak. Zamrugowała kilka razy i dotarło do niej, że to Shane. Shane był w jej sypialni. Anie, zaraz, to nie jej sypialnia, to jakieś inne miejsce...

–Ostry dyżur – powiedział.
Widocznie zrobiła zdziwioną minę.
– Cholera, Claire. Uprzedzaj faceta, zanim znów postanowisz wykonać pad na twarz na podłogę. Miałbym szansę

zachować się jak bohater i cię złapać.

Uśmiechnęła się. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał sennie i leniwie.

–Złapałeś Ginę. – Rozbawiło ją to, więc to powtórzyła: – Złapałeś Giiiiinę.

–Tak, ha ha, jesteś naćpana, wiesz? Poza tym dzwonili do twoich rodziców. Dopiero po chwili dotarło do niej, co powiedział.

–Do rodziców? – powtórzyła i

**spróbowała unieść głowę. – Och.
Auć. Niedobrze.**

**–Nie za bardzo. Twoi rodzice
mocno się wystraszyli, kiedy
usłyszeli, że miałaś wypadek w
laboratorium. Kampusowa policja
jakoś zapomniała wspomnieć, że
Giną specjalnie wylała ci kwas na
plecy. Oni chyba myślą, że to
jeden z tych dziwnych
przypadków.**

–A to był wypadek?

**–Żadne takie. Chciała cię
skrzywdzić.**

Claire zaczęła skubać brzydką niebieską szpitalną koszulę, w którą była ubrana.

–I zabiła mi bluzkę.

–Na to wygląda. – Shane był blady i spięty. – Próbowałem dodzwonić się do Michaela. Nie mam pojęcia, gdzie się podział. Nie chcę zostawiać cię tu samej, ale...

–Nic mu nie będzie – powiedziała cicho i zamknęła oczy. – Mnie też nic nie będzie. Wydało jej się, że czuje rękę Shane'a na swoich włosach, sekunda leciutkiego,

słodkiego nacisku.

–Tak – mruknął. – Nic ci nie będzie. Kiedy się obudzisz, będę tutaj. Pokiwała głową sennie, a potem wszystko zalała cytrynowo – żółta mgła, zupełnie jakby wylegiwała się na słońcu. Auć.

To nie było przyjemne przebudzenie. Żadnego mglistego i oszalamiającego cytrynowego światła słonecznego.

Przypominało raczej atak miotaczem ognia palącym ją w prawą łopatkę. Claire pisnęła i wcisnęła głowę w poduszkę, usiłując jakoś uciec przed tym

bólem, ale nie odpuszczał.

Leki przestały działać.

Zamrugła, znów jęknęła i powoli usiadła; przechodząca obok pielęgniarka przystanęła i spojrzała na nią.

**–Brawo – powiedziała. –
Dochodzisz do siebie. To oparze
nie jeszcze przez jakiś czas cię
poboli, ale jeśli będziesz brała
antybiotyki i utrzymywała ranę w
czystości, zagoi się. Miałaś
szczęście, że ktoś tam był i zdążył
ją przemyć i zneutralizować
reakcję. Widziałam poparzenia**

kwasem z akumulatorów, które przepalały do kości.

Claire pokiwała głową, niepewna, czy uda jej się odezwać i nie wymiotować przy tym. Cały bok palił ją i bardzo bolał.

–Chcesz się położyć? Znów skinęła głową. Pielęgniarka pomogła jej, a kiedy Claire poprosiła, przyniosła jej to, co zostało z jej ubrań. Przecięty stanik do niczego się nie nadawał. Bluzka – też niewiele z niej zostało. Pielęgniarka przyniosła jej luźny czarny T – shirt z działu rzeczy znalezionych i pomogła się

ubrać, a potem przyszedł ją zbadać lekarz. Sądząc z pośpiechu, w jakim się jej pozbyli, oparzenie kwasem siarkowym raczej nie należało do spraw, o które warto robić zamieszanie, a przynajmniej nie w Morganville.

–Jak to wygląda? – spytała Shane'a, kiedy wiozł ją na wózku przez korytarz w stronę drzwi. – Znaczy jakoś obrzydliwie?

–Okropnie obrzydliwie – powiedział. – Obrzydliwie jak w horrorach.

–O Boże. Nie wytrzymał.

–Nie jest tak źle. Rana ma rozmiar ćwierćdolarówki. Ten twój wykładowca nieźle się spisał, że od razu przeciął ci ubranie i odsunął od skóry. Wiem, że to boli jak diabli, ale mogło być gorzej.

W probówce w dłoni Giny jeszcze i tak zostało sporo kwasu.

–Myślisz, że... Myślisz, że ona chciała...?

–Wylać na ciebie to wszystko? Tak, do diabła. Tylko nie wystarczyło jej czasu. Wow. To była... przykra myśl. Zrobiło jej się

gorąco, a potem zimno, i trochę niedobrze, i tym razem nie miało to nic wspólnego z szokiem.

–To chyba była zemsta Moniki.

–Przynajmniej częściowo. A teraz będzie naprawdę wściekła, że nie udało jej się, tak jak zamierzała. Obraz naprawdę wściekłej Moniki nie stanowił najprzyjemniejszego sposobu zakończenia dnia, a że dzień się kończył, zdała sobie sprawę, kiedy Shane podwiózł ją pod automatycznie otwierane podwójne przeszklone drzwi. Było ciemno.

–Och – powiedziała i dłonią zakryła usta. – O nie.

–No tak, ale przynajmniej transport mamy załatwiony. Gotowa?

Pokiwała głową, a Shane nagle rozpędził jej wózek i ruszył z nią biegiem. Claire pisnęła i złapała się poręczy wózka, czując, że zupełnie traci kontrolę, kiedy wózek zjechał po wyboistej rampie i zahamował dosłownie na centymetry przed samochodem Eve. Eve błyskawicznie otworzyła drzwi, a Claire próbowała wstać o własnych siłach, ale Shane złapał

ją w talii, uniósł i posadził na fotelu. Po sekundzie kopnięciem odesłał wózek w stronę rampy, gdzie ten uderzył w ogrodzenie i stanął jakiś taki zagubiony. Shane wskoczył na tylne siedzenie.

–Do dechy! – krzyknął. Eve posłuchała, a Claire próbowała jakoś zapiąć pasy bezpieczeństwa mimo okropnego bólu. Wreszcie pochyliła się i oparła o deskę rozdzielczą, a Eve wyjechała z parkingu. Samochód pędził ciemną ulicą. Latarnie świeciły dziwnym światłem i były od siebie za bardzo oddalone – czy to specjalnie?

Czy wampiry miały wpływ nawet na to, w jakiej odległości sta wiano latarnie? Czy raczej ona świrowała ze strachu?

–Jest tam? – spytał Shane, przechylając się przez oparcie siedzenia.

–Jest tam – powiedziała Eve. – Ale mnie do tego nie mieszaj. Wiesz, ja tam muszę pracować.

–Obiecuję, że nie będę się znęcał nad twoim szefem.

Eve nie uwierzyła mu – to jedno widać było wyraźnie – ale skręciła

w prawo zamiast w lewo na następnych światłach i mniej więcej po dwóch minutach zatrzymała się przed Common Grounds. Kawiarnia jarzyła się światłem. I było w niej tłoczno. Claire zmarszczyła brwi, ale zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, Shane wyskoczył z samochodu i wszedł do środka.

–Co on chce zrobić? – spytała.

–Coś głupiego – powiedziała Eve. – Jak twoje oparzenie?

–Boli, hm?

Claire chętnie wzruszyłaby ramionami, ale skrzywiła się na samą myśl o bólu, jaki by sobie sprawiła.

–Nie jest tak źle. – Dzielnie próbowała się uśmiechnąć.

–Chyba mogło być znacznie gorzej.

–Chyba tak – zgodziła się Eve. – Mówiłam ci, że nie powinnaś chodzić na zajęcia. Musimy jakoś nad tym zapanować.

Nie możesz tam wrócić, jeśli coś takiego miałyby się jeszcze

potworzyć.

–Nie mogę zawalić roku!

**–Oczywiście, że możesz –
powiedziała Eve pogodnie. –
Mnóstwo ludzi tak robi... O jasna
Cholera.**

**Eve zagryzła pomalowaną czarną
szminką wargę, z niepokojem
zaglądając przez jasno oświetlone
okno do wnętrza kawiarni. A po
paru sekundach Claire zobaczyła,
czym się tak zmartwiła: Oliver,
kierownik hipis, stał przy oknie i
spoglądał prosto na nie a za Jego
plecami Shane przysuwał sobie**

krzesło do stolika w odległym kacie, gdzie siedziała w półmroku jakaś postać.

–Powiedz mi, że on nie rozmawia z Brandonem – jęknęła Claire.

–Okej. On nie rozmawia z Brandonem.

–Tak. Rozmawia z Brandonem. Słuchaj, niech Shane robi, co chce, dobra? Przez większość czasu nie jest tak głupi, na jakiego wygląda.

–Ale on nie ma... Ochrony, prawda?

–Dlatego rozmawia w Common Grounds. To neutralne miejsce. Wampiry w kawiarni nikogo nie atakują, a przynajmniej nie powinny. I to tu zawierane są wszystkie układy, porozumienia i inne takie. Więc Shane jest dość bezpieczny.

Ale Eve nadal przygryzała wargę i nadal się czymś martwiła.

–Chyba ze...? - domyśliła się Claire.

–Chyba że Shane pierwszy zaatakuje. W samoobronie można.

Z tego co widziała Claire, Shane zachowywał się spokojnie... Ręce położył na stole i chociaż pochylił się, nie wyglądał, jakby miał komuś przyłożyć. To chyba dobrze, prawda? Jednak jakoś nie bardzo mogła się domyślić, o czym on z Brandonem rozmawia. Przecież to nie Brandon oblał jej plecy kwasem. Cokolwiek Shane miał do powiedzenia, wydało się, że Brandon raczej dobrze to przyjmuje. Shane wreszcie szedł w stronę drzwi, a po drodze skinął głową Oliverowi. Brandon wysunął się zza stolika, ciemny i smukły, i podszedł za Shane'em

do drzwi, stając tak blisko niego, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby Shane'a schwytać. Ale to była tylko taka próba sił, jak zdała sobie sprawę Claire, która już miała krzyknąć, żeby go ostrzec. Brandon chciał go wystraszyć, nie zranić.

Shane tylko obejrzał się przez ramię, wzruszył ramionami i wyszedł z kawiarni. A kiedy Brandon ruszył jego śladem, Oliver zagroził mu drogę. Brandon coś do niego warknął, ale do tego czasu Shane był już w samochodzie, a Eve z piskiem opon ruszała spod kawiarni.

–Powinnam się teraz zacząć bać? – spytała. – Bo wolałabym zostać uprzedzona, zanim już oficjalnie okaże się, że trzeba.

–Nie. Wszystko w porządku – uspokoił ją Shane. W głosie miał zmęczenie i jakiś dziwny ton. – Claire będzie miała spokój.

Nikt się nad nią nie będzie znęcał. Włącznie z Monicą i jej fanami.

–Ale... Jak to? Dlaczego? – spytała Claire. Eve najwyraźniej pytać nie musiała. Tylko spojrzała na niego z miną ponurą i gniewną.

–Dogadaliśmy się – wyjaśnił Shane. – Wampirom przecież chodzi tylko o jedno.

–Jesteś idiotą! – syknęła Eve.

–Zrobiłem, co musiałem! Nie mogłem prosić Michaela. On nie... – Shane gwałtownie przerwał i usiłował się uspokoić. – Michaela nie było. Znowu. Musiałem coś zrobić. Claire wcale nie żartowała. One ją zabiją albo tak skrzywdzą, że będzie żałowała, że z nią nie skończyły. Nie mogę na to pozwolić.

Claire miała wrażenie, że chciał w

**tym zdaniu dodać jeszcze:
„znowu”. Chciała obrócić się i
spojrzeć na niego, ale bolało ją za
bardzo, żeby nawet próbować.
Zamiast tego usiłowała pochwycić
jego spojrzenie w lusterku.**

**–Shane – powiedziała. – Coś ty
mu obiecał?**

**–Nic, z czym nie mógłbym się
rozstać.**

–Shane!

**Ale Shane nie odpowiedział. Eve
też nie, chociaż kilka razy
otwierała i zamykała usta, ale w**

końcu nie wydobyła z nich głosu. Całą resztę drogi jechali w milczeniu, a kiedy wreszcie zaparkowali przy krawężniku, Eve wysiadła i szybkim krokiem ruszyła otworzyć drzwi do domu. Claire miała zamiar już wysiąść, ale Shane znów ją wyprzedził i znalazł się przy drzwiach, żeby jej pomóc. Rany, ależ był... silny. I miał duże, ciepłe ręce. Zadrżała, a on natychmiast zapytał:

–Zimno ci? – Ale to wcale nie o to chodziło. Zupełnie nie o to.

–Shane, co obiecałeś? – zapytała i złapała go za ramię. Nie żeby nie

mógł się jej wyrwać, ale... Nie wyrwał się. Po prostu spojrzął na nią. Stali przy sobie naprawdę blisko, na tyle blisko, że czuła, jak każdy nerw w jej ciele musuje jak wstrząśnięta puszka coli. – Ty chyba nie... Czy zrobiłeś coś...?

–Głupiego? – spytał. Popatrzył na jej rękę i na sekundę do tknął ją. Tylko na sekundę. A później odsunął rękę jak oparzony. Miała rację, mógł wyrwać ramię z jej uścisku bez najmniejszego trudu. – Owszem, w tym jestem niezły. W robieniu głupot. Może nawet to i lepiej, dwa bystre mózgi w jednym domu to mógłby być tłok.

– Kiedy próbowała coś powiedzieć, zaczął ją prowadzić w stronę domu. – Rusz się, chyba że wolisz powiesić sobie na szyi tabliczkę z napisem: „Tętnica do wynajęcia”!

Ruszyła w stronę domu. Frontowe drzwi były otwarte, a Shane szedł tuż za nią aż do chwili, kiedy weszła na schodki werandy.

Wtedy przestała słyszeć za sobą jego kroki i obejrzała się na niego. Stał przy schodach i spoglądał na ulicę.

Na rogu w świetle ulicznej latarni stał wampir. Brandon. Po prostu stał tam, ze skrzyżowanymi ramionami i opierał się o słup lampy, jakby mu się do niczego w życiu nie spieszyło.

Dłonią przesłał im od ust pocałunek, a potem odszedł.

Shane pokazał mu środkowy palec i praktycznie wepchnął Claire przez próg do środka.

–Nigdy tu nie przystawaj!

–Powiedziałeś, że jestem bezpieczna!

–Ale nie mam na to gwarancji na piśmie!

–Co im obiecałeś? – wrzasnęła.

Shane trzasnął drzwiami, mocno, i chciał przepchnąć się obok niej i iść do salonu, ale właśnie wtedy drogę zastąpił mu Michael. Michael, który wyglądał na wkurzonego.

–Odpowiedz jej – rzucił. – Coś ty, do diabła, zrobił, Shane?

–Och, teraz zebrało ci się na troskę? A gdzieś ty był, facet, do cholery? Dzwoniłem!

Przyszedłem, szukałem cię! Do diabła, nawet ci się włamałem do pokoju!

Błękitne oczy Michaela na moment oderwały się od Shane'a. Zerknął na Claire i znów wbił wzrok w przyjaciela.

–Miałem coś do zrobienia.

–Koleś, dzisiaj akurat miałeś coś do zrobienia? Wiesz, stary, nieważne. Nie było cię nigdzie, a ja musiałem załatwić sprawę. Więc ją załatwiłem.

–Shane. – Michael wyciągnął

rękę i złapał go za ramię, nie pozwalając mu odejść. – Moim zdaniem jej się należy od powiedź. – Za jego plecami przystanęła Eve, krzyżując ramiona na piersi.

Shane parsknął krótkim, urywanym śmiechem.

–Wspierasz się w ataku na mnie dziewczynami? Nisko upadłeś, stary. Niziutko. A gdzie męska solidarność?

–Eve mówi, że gadałeś z Brandonem. Po jego ramionach Claire widziała, jak Shane'a opuszcza cała wojowniczość.

–Tak, rozmawiałem z nim. Musiałem. No bo... Słuchaj, one ją oblały kwasem, a ci cholerni gliniarze nie chcieli nawet... Musiałem iść gadać z górą. Sam mnie tego nauczyłeś.

–Zawarłeś układ z Brandonem – stwierdził Michael, a Claire dosłyszała w jego głosie jakieś pełne niesmaku drżenie. – Och, jasna cholera by to wszystko, Shane. Jak mogłeś?

Shane wzruszył ramionami. Unikał spojrzenia Michaela.

–Facet, stało się. Nie ma sensu

robić z tego sprawy. To tylko dwa razy. I nie może mnie wypić do końca.

–Jasny szlag! – Michael obrócił się i mocno walnął pięścią we framugę. – Przecież ty ją ledwie znasz, człowieku! Nie możesz z tego robić jakiejś kruczaty!

–I nie robię!

–Ona nie jest Alyssą! – wydarł się Michael i to był najgłośniejszy krzyk, jaki Claire słyszała w życiu. Aż się wzdrygnęła i cofnęła o krok, i zobaczyła, że stojąca za jego plecami Eve też się cofa.

Shane ani drgnął. Jakby nie mógł ruszyć się z miejsca. Stał z opuszczoną głową.

A potem głęboko odetchnął, uniósł głowę i spojrzał Michaelowi prosto w te oczy pełne wściekłości.

–Wiem, że to nie Alyssą – powiedział spokojnym i bardzo zimnym tonem. – Michael, musisz trochę odpuścić i przestać sobie wyobrażać, że wciąż jestem popieprzonym dzieciakiem, jakim byłem wtedy. Wiem, co robię, a ty nie jesteś moim tatą.

–Jestem tu dla ciebie kimś z rodziny! – Michael przestał już krzyczeć, ale Claire nadal słyszała gniew w jego głosie. – I ja ci nie pozwolę zgrywać bohatera. Nie teraz.

–Nie musiałbym go zgrywać, gdybyś był i mnie osłaniał. Tym razem Shane minął Michaela, wbiegł po schodach i zatrzasnął za sobą drzwi pokoju. Michael stał i patrzył za nim, aż wreszcie Claire podeszła do niego. Zamarła, kiedy na nią spojrział, przestraszona, że będzie się na nią złościł jeszcze bardziej niż na Shane'a. Przecież to przez nią...

–Chodź, usiądź – powiedział Michael. – Zaraz dam ci coś do jedzenia.

–Janie...

–Owszem, zjesz. Siadaj. Eve, przytrzymaj ją siłą, jeśli będzie trzeba. – Na chwilę wziął ją za rękę, uścisnął ją, a potem stanął z boku, żeby mogła usiąść na kanapie. Opadła na nią z westchnieniem ulgi i oparła czoło na dłoniach. Boże, co za beznadziejny dzień. A zaczął się tak... I jeszcze Shane... Ale...

–Rozumiesz, co zrobił Shane,

prawda? – spytała Eve, siadając na kanapie obok niej. – O co chodzi w tym układzie, który zawarł?

–Nie. – Było jej gorąco, czuła się podle i zdecydowanie nie miała ochoty na jedzenie. Ale nie wyglądało na to, że Michael przyjmie odpowiedź odmowną. – Nie mam pojęcia, co się dzieje.

–Shane umówił się z Brandonem na dwie sesje w zamian za to, że cię zostawi w spokoju.

–On... Co? – Claire uniosła wzrok, kompletnie oszołomiona.

Czyżby Shane był gejem? Nawet nie wzięła pod uwagę takiej możliwości.

–Dwie sesje. No, rozumiesz, ugryzienia. – Eve udała, że pokazuje kły. – Umowa jest taka, że Brandon będzie mógł go ugryźć dwa razy. Nie może go tylko zabić. Nie chodzi o pożywienie, raczej o przyjemność. I władzę. – Eve wygładziła kraciastą spódniczkę i zmarszczyła brwi, przyglądając się swoim krótkim, czarnym paznokciom. – Michael ma prawo się za tona niego złościć. Można kogoś nie zabić, co wcale nie

**znaczy, że się temu komuś nie
zrobi krzywdy. A Brandon ma
spore do świadczenie w
zawieraniu takich układów. Shane
go nie ma.**

**W jakiś sposób o tym wiedziała –
z tego jak zachowywał się Shane,
z tego jak Brandon ich
obserwował, z tego jak rozgniewał
się Michael. I nie chodzi tylko o
to, że Shane kazał się Brandonowi
wycofać, ani że dał mu jakąś
kretyńską obietnicę. Shane za jej
życie zaproponował własne, a
przynajmniej gotów był
zaryzykować.**

Claire aż sapnęła, a ze strachu dostała gęsiej skórki. Czuła się, jakby się wytarzała w igłach.

–Ale jeśli on zostanie ugryziony, to czy nie... Czy się nie...?

–Zamieni w wampira? – Eve pokręciła głową. – To tak nie działa, w przeciwnym razie Morganville już na pewno składało by się wyłącznie z nieumarłych. Przez całe życie nie widziałam ani nie słyszałam o przypadku, żeby ktoś zmienił się w wampira od ugryzienia. Te ssacze z okolicy są naprawdę stare. Nie że by Shane nie wyglądał absolutnie

**seksownie z ładną parą kłów,
ale... – Zaczęła bawić się fałdami
spódniczki. – Kurczę. To
idiotyzm. Dlaczego nie ja? To nie
znaczy, że mam na coś takiego
ochotę, już nie, ale... Facetom
jest trudniej.**

**–Trudniej? Dlaczego? Eve
wzruszyła ramionami, ale Claire
widziała, że po prostu unika
odpowiedzi na pytanie.**

**–Shane na pewno sobie z tym
nie poradzi. Facet nie umiał by
choćby oddać komuś ostatniego
corn doga, a Shane corn dogów i
tak nie lubi. On ma kompletnego**

świra na punkcie kontroli. – Jeszcze przez kilka sekund wierciła się niespokojnie, a potem dodała cicho: – A ja się o niego boję.

Kiedy Michael wrócił do pokoju, Eve poderwała się z miejsca i zaczęła udawać, że coś robi, aż Michael dał jej niezbyt subtelny sygnał, żeby sobie poszła. Zrobiła to pod jakimś pretekstem, którego Claire nawet nie dosłyszała i stukając butami poszła na górę do swojego pokoju.

Michael podsunął Claire

miseczkę.

–Chilli. Wybacz. Tylko to mamy. Pokiwała głową i wzięła łyżkę, bo w sumie do powiedzenia już zbyt wiele nie miała... I w tym samym momencie, w którym poczuła smak chilli na języku, dotarło do niej, że umiera z głodu. Przełknęła chilli prawie bez przeżuwania i jadła kolejną porcję, zanim się jeszcze zorientowała, co robi. Shane powinien zacząć handlować tym chilli.

Michael usiadł na skórzanym fotelu po jej lewej i wziął gitarę. Zaczął ją stroić, jakby scena z

**Shane'em nie miała miejsca.
Jadła, rzucając na niego co jakiś
czas okiem, a on pochylił się nad
instrumentem i zaczął z niego
wydobywać różne miękkie,
donośne dźwięki.**

**–Nie jesteście wściekły? – spytała
wreszcie, czy też raczej z trudem
wykrztusiła.**

**–Wściekły? – Nawet nie uniósł
głowy. – Wściekać to się można
wtedy, kiedy ktoś ci na drodze
pokaże środkowy palec. Nie. Ja
się boję. I próbuję wymyślić, co
zrobić.**

Na parę chwil przestała jeść, a potem stwierdziła, że krztuszenie się jedzeniem też jej w niczym nie pomoże.

–Shane jest w gorącej wodzie kąpany – stwierdził Michael. – To dobry facet, ale nie myśli. Powinienem był pomyśleć za niego, zanim zgodziłem się, żebyś tu zamieszkała.

Claire z trudem przełknęła. Jedzenie w jej ustach nagle nabrało kwaśnego posmaku, więc odłożyła łyżkę.

–Ja? Palce Michaela

zneruchomiały na strunach gitary.

–Wiesz o jego siostrze, prawda? Alyssa. To imię krzyczał Michael. To, które zabolalo Shane'a.

–Ona nie żyje.

–Shane to nie jest jakiś skomplikowany gość. Kiedy o kogoś dba, będzie o niego walczył. To proste. Alyssa... Alyssa była słodkim dzieciakiem. A on świetnie się sprawdzał jako opiekuńczy starszy brat. Poszedłby za nią w ogień. – Michael powoli pokręcił głową. – I

o mało nie poszedł. W każdym razie chodzi o to, że Alyssa byłaby teraz dokładnie w twoim wieku, a tu proszę, mamy ciebie i krzywdzą cię te same suki, które zabiły mu siostrę, żeby się na nim zemścić. No więc, tak. On robi wszystko, wszystko, żeby drugi raz nie musieć tego przeżywać. Nie jesteś może Alyssa, ale on cię lubi, a co więcej, nienawidzi Moniki Morrell. Do tego stopnia, że... – Michael jakby nie mógł się zmusić, żeby to zdanie dokończyć. Przez kilka sekund wpatrywał się gdzieś w przestrzeń, a potem podjął: – W

tym mieście zawieranie układów z wampirami może uchronić cię od śmierci, ale cię zniszczy.

Patrzyłem, jak to się działo z moją rodziną, jeszcze przed ich wyjazdem. Z rodzicami Eve też. Z jej siostrami. Jeśli Shane się z tego nie wyplącze, jego to zabije. Claire wstała.

–Nie będzie musiał się z tego wyplątywać – powiedziała. – Ja mu nie pozwolę tego zrobić.

–A jak zamierzasz go powstrzymać? Do diabła, sam nie umiem go powstrzymać, a przecież mnie słucha. Zazwyczaj.

**–Posłuchaj, Eve powiedziała...
Eve mówiła, że wampiry rządzą
tym miastem. Czy to prawda? Tak
serio.**

**–Tak. Odkąd ludzie pamiętają,
były tu. Jeśli tu mieszkasz,
musisz z nimi jakoś żyć. Jeśli
tego nie potrafisz, wtedy
wyjeżdżasz.**

**–Ale one przecież nie uganiają
się za ludźmi, żeby ich ot tak
gryźć.**

**–To by było niegrzeczne –
powiedział śmiertelnie poważnie.
– Zresztą wcale nie muszą.**

Wszyscy w mieście – wszyscy, którzy mieszkają tu na stałe – płacą podatek. Podatek krwi. Litr miesięcznie, oddawany w szpitalu.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

–Ja nie musiałam!

–Studenci nie muszą. Oni płacą podatek w nieco innej formie. – Patrzył ponuro, a ona z uczuciem mdlącego, okropnego przerażenia rozumiała, co za moment powie, zanim jeszcze ujął to w słowa. – Wampiry mają układ z uczelnią. Mogą sobie wyłuskać dwa procent studentów rocznie, nie

mniej, nie więcej. Kiedyś było więcej, ale chyba coś je wystraszyło. Kilka razy sprawa o mało nie trafiła do mediów. Stacje telewizyjne uwielbiają, kiedy znika jakaś studentka. Claire, o czym myślisz?

Odetchnęła głęboko.

–Jeśli wampiry mają to wszystko zaplanowane, to mają jakąś, rozumiesz, hierarchię. Prawda? To niemożliwe, żeby każdy robił swoje. Wykluczone, jeśli jest ich wiele. Ktoś tym musi zarządzać.

–Prawda. Brandon ma szefa. A

jego szef też pewnie ma szefa.

–Więc wystarczy zawrzeć układ z jego szefem – powiedziała. – I dać mu coś innego zamiast tych sesji z Shane'em.

–Wystarczy?

–Przecież czegoś muszą chcieć. Czegoś więcej niż to, co już mają. Musimy tylko odkryć, co to takiego.

Skrzypnęły schody. Michael obrócił się, Claire też. Na schodach stała Eve.

**–Nie słyszałem, jak schodziłaś –
powiedział Michael.**

**Wzruszyła ramionami i zeszła na
sam dół; była bez butów. Jej
czarno – białe rajstopy miały wzór
czaszek nawet na palcach nóg.**

**–Wiem, czego one chcą –
powiedziała. – Co nie znaczy, że
uda nam się to znaleźć.**

**Michael długo się w nią
wpatrywał. Eve nie odwróciła
wzroku, podeszła prosto do
niego, a Claire nagle poczuła się
tak, jakby była świadkiem jakiejś
bardzo osobistej sceny. Może**

chodziło o to, jak on na nią patrzył, a może o to, jak ona uśmiechała się do niego, ale Claire zaczęła się nerwowo wiercić i uważnie oglądać książki leżące na stoliku.

–Nie chcę, żebyś się do tego mieszała – powiedział Michael. Claire kątem oka zobaczyła, że bierze Eve za rękę.

–Shane już się w to wmieszał. Claire się wmieszała. Hej, nawet ty się w to wmieszałeś. – Eve wzruszyła ramionami. – Wiesz, jak nie cierpię, kiedy się mnie z czegoś wyklucza. Poza tym jeśli

**jest jakiś sposób, żeby dopiec
Brandonowi, to ja w to wchodzę.
Temu typkowi należy się cios
prosto w oko ładnie za ostrzonym
kołkiem.**

**Wciąż trzymali się za ręce. Claire
odchrząknęła i Michael pierwszy
się opamiętał.**

**–Ale co to jest? Czego one
chcą? Eve uśmiechnęła się
szeroko.**

**–Och, to ci się spodoba –
oznajmiła. – One szukają książki.**

A mnie się zdaje, że nikt inny nie

**mógłby mieć większych szans,
żeby ją namierzyć, książkowa
dziewczynko.**

**W Morganville obowiązywało
mnóstwo reguł, które Claire nawet
nie przyszłyby do głowy.
Krwiodawstwo było jedną z nich,
a ona zaczynała się zastanawiać,
jak Michaelowi udawało się
wymigać od płacenia tego
podatku. Bo przecież nie mógł,
prawda? Skoro nie opuszczał
domu?**

**Siedziała po turecku na podłodze
z dużym notesem otwartym na
czystej stronie, na której napisała**

**nagłówek: „Plusy dla wampirów”.
W kolumnie pod spodem zapisała:
„Oddawanie krwi, ochrona,
władza, układy”.**

**–Och, dopisz jeszcze godzinę
policyjną – powiedziała Eve.**

–A jest jakaś?

**–Oczywiście, że tak. Pomijając
uniwerek. Nie przejmują się tym,
że studenci będą się wałęsali po
nocach, bo... – Eve zaczął
naśladować ruch zatapiania kłów
w czyjejsz szyi. Claire z trudem
przełknęła ślinę i pokiwała głową.
– Ale miejscowi? Ich obowiązuje.**

–Ale w jaki sposób dla wampirów to plus?

–Nie muszą sobie zawracać głowy tym, kogo można ukąsić, a kogo nie. Jeśli jesteś poza domem, nadajesz się na kolację.

Dopisała godzinę policyjną. A potem przewróciła stronę i napisała: „Minusy dla wampirów”.

–Czego się boją? – spytała.

–Moim zdaniem jeszcze nie skończyliśmy z plusami – powiedział Michael. Przysiadł na podłodze obok obu dziewczyn –

no cóż, bliżej Eve, nie mogła nie zauważyć Claire. – Chyba jest ich jeszcze sporo do zapisania.

–Och, pozwól dziewczynie się cieszyć – powiedziała Eve.

–Nie jest aż tak źle. Oczywiście, nie lubią światła słonecznego... Claire zapisała to.

–I czosnku... srebra... hm, wody święconej...

–Jesteś pewna tych rzeczy? – spytał Michael. – Mnie się zawsze wydawało, że one często udają, tak na wszelki wypadek.

-Ale po co?

Claire odparła, nawet nie podnosząc wzroku:

-Bo w ten sposób łatwiej ukryć, co naprawdę im szkodzi. I tak to zapisuję, nawet jeżeli jest to niezgodne z prawdą.

-Ogień szkodzi im naprawdę – powiedział Michael. – Raz, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, widziałem, jak umierał wampir. Zabity z zemsty.

Eve wzięła głęboki oddech.

–Och, tak. Słyszałam o tym, Tom Sullivan. Claire zapytała, szeroko otwierając oczy:

–Wampir nazywał się...?

–Nie wampir – powiedział Michael. – Facet, który go zabił. Tommy Sullivan. Był taki trochę zakręcony, sporo pił, co nie jest tutaj niczym niezwykłym. Miał córkę. Umarła. Obwinił za to wampiry, więc jednego z nich oblał benzyną i podpalił, kiedy tamten siedział w restauracji.

–Widziałeś to? – spytała Claire. – Ile miałeś lat?

–W Morgamdle szybko się dorasta. Ale chodzi o to, że następnego wieczoru odbył się proces. Tommy nie miał szans. Przed świtem następnego dnia już nie żył. Ale... Ogień działa.

Tylko nie wolno dać się złapać. Claire zapisała „ogień”.

–A drewniany kołek?

–Widziałaś Brandona – powiedziała Eve. – Chcesz do niego podejść tak blisko, żeby móc mu go wbić? No właśnie, ja też nie.

-Ale czy to działa?

-Pewnie tak. Kiedy kupujesz drewno, musisz wypełnić specjalny formularz. Claire zapisała to sobie.

-Krzyże?

-Zdecydowanie.

-Dlaczego?

-Bo to podłe, pozbawione duszy, krwiopicze demony?

-To tak samo jak mój nauczyciel wuefu w szóstej klasie

podstawówki, a krzyża się nie bał.

–Bardzo śmieszne – parsknęła Eve tonem sugerującym, że jednak nie. – Bo tu nie ma prawie kościołów i o ile mi wiadomo, nie da się tu zdobyć krzyża, trzeba sobie je robić samemu. Poza tym kiedy one wszystkie dorastały – czy to nie zabawne, pomyśleć, że kiedyś dorastały? – religia nie była tylko czymś, czym się żyło w niedzielę. Tym się żyło w każdej minucie, codziennie, a Bóg zawsze był gotów nieco się rozerwać, gromiąc grzeszników.

–Nie mów tak – mruknął Michael.

– Boga to nam tu trochę jednak brakuje.

–Michael, bez obrazy dla Wielkiego Szefa, ale sam się od nas odsunął – stwierdziła Eve. – Wiesz, ile nocy przemodliłam się w łóżku? Dobry Boże, zabierz tych wszystkich złych ludzi? Tak, ale podziałało. – Michael już otwierał usta, żeby coś powiedzieć. – Tylko mi nie mów, że Bóg mnie kocha. Gdyby Bóg mnie kochał, wcisnąłby mi w rękę bilet autobusowy do Austin, żebym mogła raz na zawsze zwać z tego miasta.

Eve miała w głosie... No cóż, gniew. Claire postukała ołówkiem w notes, unikając kontaktu wzrokowego.

–Jak one powstrzymują ludzi przed wyjazdem? – spytała.

–Nie robią tego. Niektórzy wyjeżdżają. Na przykład Shane wyjechał – przypomniał Michael. – Moim zdaniem pytanie, które powinnaś teraz zadać, brzmi: Jak oni powstrzymują ludzi przed gadaniem. I tu właśnie zaczyna się coś dziwnego.

–Dopiero tu się robi dziwnie? –

mruknęła Claire. Eve się roześmiała.

–Ja sam tego nie wiem, bo nigdy stąd nie wyjeżdżałem, ale Shane mówi, że kiedy człowiek się znajdzie jakieś piętnaście kilometrów za miastem, zaczyna go okropnie boleć głowa. A potem po prostu... Zaczyna zapominać. Najpierw nie możesz sobie przypomnieć, jak nazywało się miasto, potem jak tu dojechać, a potem zapominasz, że tu są wampiry. Albo że mają władzę. Po prostu... Już dla ciebie nie istnieje. To wszystko wraca, jeśli wrócisz do miasta, ale kiedy

**wyjeżdżasz, nie możesz zacząć
rozpowiadać na prawo i lewo o
Morganville, bo po prostu niczego
nie będziesz pamiętać.**

**–Słyszałam plotki – odezwała się
Eve. – Jakimś ludziom coś się
przypomina, ale wtedy... – Zrobiła
ruch podrzynania gardła. –
Czyściciele.**

**Claire próbowała przypomnieć
sobie, co mogłoby spowodować
tego typu utratę pamięci. Może
jakiś leki? Albo... Jakiś rodzaj
miejscowego pola
energetycznego? Albo... No
dobra, nie miała zielonego**

pojęcia. Ale brzmiało to jak magia, a magia ją irytowała. Pomyślała, że wampiryzm, jak się nad tym głębiej zastanowić, to też pewnie magia i zirytowała się jeszcze bardziej. Magii nie ma. Nie powinno jej być. To po prostu... wykluczone. To obraza dla jej ścisłego umysłu.

–No więc, na czym stoimy? – spytał Michael. Zabrzmiało to jak całkiem rozsądne pytanie. Claire przewróciła kolejną stronę, zapisała „utrata pamięci po wyjeździe” i powiedziała:

–Nie jestem pewna. Jeśli mamy

opracować jakiś plan, to musimy przede wszystkim dowiedzieć się, ile się tylko da, żeby mieć pewność, że nasze podejście jest jak najwłaściwsze. Więc przestań gadać. Co jeszcze?

I tak to trwało godzinami. Zegar z powagą wybił nadejście godziny dziewiątej, potem dziesiątej i jedenastej. Dochodziła już prawie północ, a Claire zapisała większość stron notesu. Podniosła oczy na Michaela i Eve i spytała:

–Jeszcze coś? – Ale tym razem odpowiedzieli przeczącym ruchem

**głowy. – W takim razie
opowiedzcie mi o książce.**

**–Za wiele nie wiem – powiedziała
Eve. – Tyle że jakieś dziesięć lat
temu dali ogłoszenie, że jej
szukają. Słyszałam, że ludziom w
całym mieście kazali
przeszukiwać biblioteki,
antykwariaty, wszystkie miejsca,
gdzie mogłaby się zawieruszyć.
Ale najdziwniejsze jest to, że
wampiry w sumie nie są w stanie
jej przeczytać.**

**–Chcesz powiedzieć, że jest w
jakimś innym języku? Michael
uniósł brwi.**

–Nie myśl, że to aż takie łatwe. Znaczący każdy z tych bydlaków umie mówić przynajmniej dziesięćoma językami.

–Martwymi językami – dodała Eve. A kiedy na nią popatrzyli, wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – No co? No, dajcie spokój, to był żart!

–Może nie mogą jej przeczytać z tego samego powodu, dla którego ludzie nic nie pamiętają po wyjeździe z miasta – powiedziała powoli Claire. – Bo coś nie chce, żeby tak było.

–Za daleki ten skok, ale sędzia rosyjski dał ci właśnie dziewięć i pół za styl, więc wszystko okej – powiedziała Eve.

–Ważne jest to, że wiemy, jak ona wygląda.

–To znaczy? – Claire przyłożyła ołówek do papieru.

–To książka w brązowej skórzanej oprawie. Z jakimś symbolem na okładce.

–Jakim? – Bo jeśli chodzi o książki, „brązowa skórzana oprawa” niewiele im dawała. Eve

podwinęła wyżej rękaw obcisłej, przejrzystej czarnej bluzki i wyciągnęła ramię. Miała tam wytatuowany zwyczajnym niebieskim barwnikiem symbol, który nieco przypominał literę omega, ale wzbogacony o jakieś dodatkowe fale. Prosty, ale Claire nie mogła sobie przypomnieć, żeby coś takiego wcześniej widziała.

–Tego szukają. Wszyscy z chronionych rodzin dostają taki tatuaż, żebyśmy pamiętali, czego mamy szukać.

Claire przez kilka sekund

wpatrywała się w symbol, chcąc spytać, ile lat miała Eve, kiedy jej go wytatuowano, ale się nie odważyła. Starannie przerysowała symbol do notesu.

–I nikt tego nie znalazł. Jesteś całkowicie pewna, że książka jest wmieście?

–Oni chyba tak uważają. Ale założę się, że ich ludzie szukają jej po całym świecie. Zdaje się, że to dla nich dość ważne.

–Masz jakiś pomysł dlaczego?

–Nikt tego nie wie – powiedział

Michael. – Od małego o to pytałem, wierz mi. Nikt nie ma pojęcia. Nawet same wampiry.

–Jak mogą czegoś szukać i nawet nie wiedzieć po co?

–Ja nie twierdzę, że nikt nie wie, po co. Ale wampiry mają swój ą hierarchię, a te, z którymi zdarzyło mi się rozmawiać raczej nie należą do najważniejszych. Chodzi mi o to, że w żaden sposób nie możemy się tego dowiedzieć, więc szkoda marnować na to czas.

–Dobrze wiedzieć. – Claire

zapisała: „Treść nieznana” obok symbolu z okładki, a pod spodem: „Cenna!!!!”, i jeszcze to trzy razy grubo podkreśliła. – A więc, jeśli uda nam się znaleźć tę książkę, to możemy ją prehandlować, żeby zmusić Monice, żeby się ode mnie odczepiła i zadbać, żeby układ Shane'a został unieważniony.

Michael i Eve popatrzyli po sobie.

–Umknął ci fragment, gdzie była mowa, że wampiry przetrząsnęły całe Morganville, żeby ją znaleźć? – spytała Eve.

Claire westchnęła, wróciła do wcześniejszej strony i wskazała zrobioną przez siebie notatkę. Eve i Michael wyciągnęli szyje, żeby ją odczytać. „Wampiry nie mogą jej przeczytać”. Popatrzyli na nią, nie rozumiejąc.

–Będę musiała spędzić trochę czasu w bibliotece – powie działa Claire. – i będą nam potrzebne pewne rzeczy.

–Jakie? – Eve nadal nie chwyciła, ale Michael już chyba wiedział.

–Żeby sfalszować książkę? –

spytał. – Naprawdę uważasz, że to podziała? A co się stanie, twoim zdaniem, kiedy połapią się, że oszukiwaliśmy?

–Kiepski pomysł – powiedziała Eve. – Bardzo kiepski pomysł. Serio.

–Ludzie... – westchnęła Claire. – Jeśli będziemy ostrożni, oni nigdy nie zaczną podejrzewać, że mamy dość sprytu, żeby coś podobnego wykombinować. Nie mówiąc już o odwadze. Więc damy im fałszywkę, więcej i tak przecież nikt im nie dał. Może się i wkurzą, ale wkurzą się, że to ktoś książkę

**sfalszował. My ją tylko
znajdziemy.**

**Oboje patrzyli teraz na nią, jakby
przedtem nie widzieli jej na oczy.
Michael pokręcił głową.**

**–Kiepski pomysł – powiedział.
Być może. Ale i tak miała zamiar
go zrealizować.**

Rozdział 10

Była za bardzo nakręcona, żeby zasnąć, plecy ją bolały i nie mogła znieść myśli o tym, że choćby jedną noc trzeba będzie odczekać, zanim zacznie.

Brandon nie wyglądał na kogoś, kto się z zemstą będzie ociążał, a Shane... Shane nie jest facetem, który nie dotrzymuje umowy.

Jeśli jest taki głupi, że chce się dać ukąsić, to proszę bardzo, ale nie będzie się posługiwał mną jako wymówką, pomyślała.

Shane przez cały wieczór nie wyszedł ze swojego pokoju. Kiedy, ostrożnie, zaczęła podsłuchiwać pod jego drzwiami, nie doszedł zza nich żaden odgłos. Eve gestem pokazała słuchawki na uszach i podkręciła gałkę niewidzialnego stereo. Claire zrozumiała, sama też wiele godzin spędziła, usiłując rozwalić sobie bębenki uszu, uciekając przed światem.

Eve pożyczyła jej laptopa – starego, dużego, czarnego i rozklekotanego, z przyklepionym na górze symbolem zagrożenia biologicznego. Kiedy Claire go

włączyła i weszła do Internetu, na pulpicie pojawiła się tapeta; rysunek Ponurego Żniwiarza, który zamiast kosy miał w ręku znak drogowy z napisem „Morgamdle” i strzałką skierowaną w dół.

Claire otworzyła kilka folderów – z poczuciem winy, ale była ciekawa – i przekonała się, że pełne są wierszy. Eve lubiła śmierć, a przynajmniej lubiła o niej pisać. Kwieciste, romantyczne zwrotki o egzystencjalnych lękach, krwi i marmurze oświetlonym promieniami księżycy... A potem

Claire zerknęła na daty. wiersze powstały trzy lata temu. Ile Eve mogła mieć wtedy lat, piętnaście? Na pewno marzyła o wampirach, ale potem coś się zmieniło. Ani jednego nowego wiersza przez ostatnie trzy lata...

Eve podeszła do otwartych drzwi.

–Działa? – spytała. Claire drgnęła zawstydzona i pokazała jej uniesiony kciuk. – Okej, dzwoniłam do kuzynki z Illinois. Pozwoli nam skorzystać ze swojego konta PayPal, ale muszę jej wysłać gotówkę, najlepiej jutro.

Tu masz to konto. – Podała jej kartkę papieru. – Nie zabiją jej przez nas, prawda?

–Prawda. Zresztą nie będę kupowała wiele w jednym miejscu. Mnóstwo ludzi kupuje skórę, narzędzia i inne rzeczy. I papier. Jak stara ma być ta książka?

–Stara.

–Była spisana na pergaminie?

–A to jakiś papier?

–Pergamin to specjalnie spreparowana skóra zwierzęca,

której dawno temu używano do pisania i oprawy książek, tak jak dziś używa się papieru – wyjaśniła Claire.

–Och. No to pewnie coś takiego. Ona jest naprawdę stara.

Pergamin mógł stanowić problem. Można go było zdobyć, ale łatwo byłoby wytropić. Jednak nie po to człowiek jest nienormalnie bystry, żeby nie poradzić sobie z czymś takim... Och, jasne, musiała też wymyślić, jak wykorzystać kogoś innego do poszukiwania informacji. To zbyt niebezpieczne zostawiać ślady,

**które będą prowadziły prosto do
Domu Glassów... Claire zabrała
się do pracy. Nawet nie
zauważyła, kiedy Eve wyszła i
zamknęła za sobą drzwi.**

**Przez cztery dni Claire
zdobywała informacje. Całe cztery
dni. Eve donosiła jej zupę z
chlebem i kanapki, a Shane zajrzał
raz czy drugi powiedzieć, że
zwariowała i że chce, żeby się, do
diabła, nie wtrącała w jego
sprawy. Claire nie zwracała na to
uwagi. Kiedy coś ją pochłonęło,
tak już zwykle miała. Słyszała, co
do niej mówił i coś tam mu
odpowiadała, ale tak naprawdę**

nie słuchała. Podobnie jak jej rodzice Shane w końcu dawał za wygraną i wychodził.

Michael przyszedł do jej pokoju tuż przed świtem. To ją zaskoczyło na tyle, że na chwilę wróciła do rzeczywistości.

–Jak ci idzie? – zapytał.

–Misja Ratujmy Shane'a? Idzie – powiedziała. – Muszę wszystko robić okrężną drogą. Żadnych śladów. Nie martw się, nawet jeśli wampy się wkurzą, nie będą mogły nam udowodnić nic poza tym, że dostarczyliśmy im to,

czego naszym zdaniem szukali.

Michael minę miał zadowoloną, ale i zmartwioną. Sporo się martwił. Domyślała się, że – więzień własnego domu – tylko tyle mógł zrobić – walczyć ze wszystkim, co się przedostawało do środka, żeby im zrobić krzywdę, i martwić się o całą resztę. Frustrujące, doszła do wniosku.

–Kiedy Eve wychodzi do pracy?

–O czwartej.

–Ale to...

**–Wieczorna zmiana. Wiem.
Jednak w kawiarni jest w miarę
bezpieczna i moim zdaniem żaden
wamp nie jest na tyle głupi, żeby
pchać się pod ten jej cholerny
samochód. Zupełnie jakby
człowieka miała przejechać
ciężarówka. Kazałem jej obiecać,
że Oliver odprowadzi ją do
samochodu, a Shane zgarnie ją z
chodnika pod domem.**

Claire pokiwała głową.

–Jadę z nią.

–Do kawiarni? Po co?

**–Bo to anonimowe miejsce –
powiedziała. – Każdy student
siedzi tam z laptopem, a w całej
kawiarni jest bezprzewodowy
Internet. Jeśli będę ostrożna,
nigdy nie dojdą do tego, kto
sprawdzał, w jaki sposób fałszuje
się książki.**

**Obrzucił ją poirytowanym
spojrzeniem. Słodko z nim
wyglądał. Boże. Więc nadal to
zauważała.**

**–Nie podoba mi się myśl o Eve
samej tam wieczorem. Ale ty to
już na pewno nie pójdziesz.**

–Jeśli zrobię to stąd, narażę wszystkich na niebezpieczeństwo. Włącznie z Eve. Och, cios poniżej pasa. Zauważyła, jak zmieniły mu się oczy, ale jakoś się opanował.

–Więc chcesz mi powiedzieć, że mam ci pozwolić jechać tam, ryzykować życie, siedzieć w tej kawiarni z Brandonem i udawać, że tak będzie bezpieczniej? Claire. Z którejkolwiek strony spojrzeć, tak nie będzie bezpieczniej.

–Bezpieczniej niż gdyby wampiry miały zdecydować, że wszyscy w tym domu z premedytacją usiłują ich oszukać w sprawie rzeczy, na

której najbardziej im zależy – odparowała Claire. – Przecież to nie zabawa, prawda? Znaczący mogę przestać, jeśli chcesz, ale nie mamy nic innego, co moglibyśmy zaproponować w zamian za układ Shane'a. Nic nie jest aż tyle warte. Pozwoliłabym Brandonowi... No wiesz. Ale jakoś nie wydaje mi się...

–Po moim... – Michael urwał i się roześmiał. – Chciałem powiedzieć, że po moim trupie, no ale... Claire się skrzywiła.

–Nie – powiedział.

**–Nie jesteś moim ojcem –
zaczęła i... przypomniała sobie
coś. Shane'a w szpitalu, kiedy
była oszołomiona lekami.
Powiedział: „Dzwonili do twoich
rodziców”.**

**Pamiętała też wyraźnie słowo
„zdenerwowani”. O jasny gwint!**

**–Tata – powiedziała na głos. – O
nie... Muszę skorzystać z
telefonu. Mogę?**

**–Zadzwoń do rodziców? Jasne.
Za zamiejscową...**

–Tak, wiem. Płacę za nią. Dzięki.

Wzięła bezprzewodowy telefon i wybrała swój domowy numer. Po pięciu dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka: „Dzień dobry, dodzwonili się państwo do Les i Katharine Danversów i ich córki Claire. Prosimy zostawić wiadomość!”

To był rzeczowy głos jej mamy. Kiedy rozległ się brzęczyk, Claire na moment wpadła w panikę. Może po prostu pojechali po zakupy. Albo...

–Cześć mamó, cześć tato, to ja, Claire. Chciałam tylko, hm, się przywitać. Chyba powinnam była

do was zadzwonić wcześniej. Ten wypadek w laboratorium to nie było nic poważnego, naprawdę. Nie chcę, żebyście się o mnie martwili, wszystko jest w porządku. Naprawdę.

Michael opierał się o framugę drzwi i robił do niej śmieszne miny. W jakiś sposób wydało jej się, że to rola Shane'a. Pokazała mu język.

–Tylko... Tylko to chciałam wam powiedzieć. Kocham was. Na razie. Rozłączyła się.

–Powinnaś ich poprosić, żeby

**przyjechali i zabrali cię do domu –
stwierdził Michael.**

**–I zostawić was tu z tym
wszystkim? Macie kłopoty przeze
mnie. Shane ma kłopoty przeze
mnie. A teraz, kiedy Monica wie,
że wrócił...**

**–Och, wierz mi, wcale nie
lekceważę naszych kłopotów, ale i
tak możesz stąd wyjechać. A
nawet powinnaś. Będę próbował
przekonać Shane'a, żeby też
wyjechał. Eve... Eve nie wyjedzie,
a też byłoby lepiej.**

–Ale...

**Przecież zostałbyś tu sam,
pomyślała. Zupełnie sam. Michael
się stąd nie wydostanie. Nigdy.
Michael wyjrzał przez okno; niebo
powoli bladło i ciemny granat
jaśniał wraz ze świtem.**

**–Czas mi się kończy –
westchnął. – Obiecuj, że dziś
wieczorem nie pojedziesz z Eve.**

–Nie mogę.

–Claire.

**–Nie mogę – powtórzyła. –
Przepraszam.**

Ale nie miał czasu się z nią sprzeczać, chociaż widziała, że go korciło. Poszedł korytarzem; usłyszała jak drzwi jego pokoju zamykają się i zaczęła myśleć o tym, co widziała na dole, w salonie. Nie była pewna, jak by to zniosła, gdyby musiała coś takiego przechodzić codziennie – wyglądał wtedy, jakby bardzo go bolało. Domyślała się, że najgorsza jest wiedza, że gdyby żył, gdyby mógł chodzić po świecie w ciągu dnia, mógłby powstrzymać Shane'a przed tym, co się stało.

„Nie musiałbym zgrywać

bohatera, gdybyś był i mnie osłaniał!” Tak wrzasnął do niego Shane i owszem, to musiało go zabość bardziej niż umieranie.

Claire wróciła do pracy. Oczy ją piekły, mięśnie bolały, ale w środku, w jakimś sekretnym miejscu, czuła zadowolenie, że robi coś, co ochroni nie tylko ją, ale też i jej przyjaciół.

O ile się uda. Dziwna sprawa, ale po prostu wiedziała, że się uda. Wiedziała to. Stwierdziła, że naprawdę ma świra.

Claire obudziła się o wpół do

czwartej, z zapuchniętymi oczami, obolała, i z trudem wbiła się w świeży T – shirt i parę dżinsów, którym już bardzo przydałoby się pranie. Jeszcze jeden dzień, zdecydowała, a potem jakoś się zmierzy z pralką stojącą w piwnicy. Miała potwornie potargane włosy, chociaż położyła się spać na zaledwie trzy godziny, i musiała teraz wsadzić głowę pod kran i palcami przeczesać włosy w coś, co nie będzie wyglądało tak totalnie beznadziejnie.

Laptopa wsadziła do kurierskiej torby, a potem zbiegła na dół. Już

słyszała buty Eve zmierzającej w stronę drzwi.

–Zaczekaj! – zawołała i rzuciła się biegiem przez salon, słysząc trzask zamykanych frontowych drzwi. – Cholera...

Otworzyła drzwi, zanim Eve udało się zamknąć je na klucz. Eve zerknęła na nią z poczuciem winy. – Miałaś zamiar mnie zostawić – powiedziała Claire. – Mówiłam ci, że też bardzo chcę jechać! – Ale nie powinnaś. – Michael rozmawiał z tobą wczoraj wieczorem.

Eve westchnęła i zaczęła nerwowo stukać noskiem buta z czarnej, lakierowanej skóry.

–Przez chwilę, tak. Zanim poszedł spać.

–Nie potrzebuję, żeby wszyscy mnie ochraniali. Próbuję pomóc!

–Rozumiem – powiedziała Eve. – A jeśli się nie zgodzę i pojedę, to co zrobisz?

–Pójdę pieszo.

–Tego się właśnie bałam. – Eve wzruszyła ramionami. – Wsiadaj

do wozu. W Common Grounds było pełno studentów; czytali, gadali, popijali chai, foche i latte. Oraz, zauważyła Claire z ulgą, korzystali z laptopów. Chyba z dziesięć było włączonych naraz. Pokazała Eve uniesiony kciuk, zamówiła filiżankę herbaty i poszła szukać wygodnego kąta do pracy. Miejsca plecami do ściany.

Oliver sam przyniósł jej herbatę. Uśmiechnęła się do niego niepewnie i zmniejszyła okno przeglądarki, bo czytała o słynnych fałszerstwach. Śmiertelnie zdradliwe. Z naciskiem

na śmiertelnie. Nie żeby nie lubiła Olivera, ale raczej nie zamierzała ufać facetowi, który chyba mógł czasem rozkazywać wampirom.

–Cześć, Claire. Mogę się przysiąc?

–Jasne – odparła, zaskoczona. I nieco stropiona. Miał tyle lat, że mógłby być jej ojcem, nie wspominając już nawet tych hipisowskich odbić. Chociaż, sama będąc outsiderką, to ostatnie nawet rozumiała. – Hm, co słyhać?

–Duży dzisiaj ruch – stwierdził i

usiadł na krześle z westchnieniem wyraźnej ulgi. – Chciałem z tobą porozmawiać o Eve.

–Dobrze – zgodziła się.

–Niepokoję się o nią – powiedział Oliver. Nachylił się, opierając łokciami o stół, a ona szybko zamknęła laptopa i położyła na nim dłonie obronnym gestem. – Wydaje mi się, że coś ją rozprasza. To bardzo niebezpieczne i jestem pewien, że do tej pory już zrozumiałaś dlaczego.

–Chodzi o...?

–Shane'a? – spytał. – Myślałem, może chodzić właśnie o to. Chłopak narobił sobie poważnych kłopotów. Ale wierzę, że zrobił to z dobroci serca.

Puls jej przyspieszył, a w ustach zaschło. Ależ ona nie lubiła rozmawiać z ważnymi figurami. Michael to co innego. Michael był jak brat. Ale Oliver... To jeszcze co innego.

–Może mógłbym pomóc – zasugerował Oliver. – Gdybym miał coś, co im można dać na wymianę. Ale to nie takie proste.

**Czego takiego może Brandon
chcieć od Shane'a czy ciebie? To
znaczy w zamian za to, co
oczywiste. – Oliver zamyślił się i
postukał palcem o usta. – Jesteś
bardzo bystrą dziewczyną, Claire,
a przynajmniej tak o tobie mówi
Eve. W Morganville przydałoby
się parę bystrych dziewczyn.
Może udałoby nam się jakoś
zupełnie obejść Brandona i
dowiedzieć się, jak zawrzeć układ
z... z kimś innym.**

**Przecież dokładnie o czymś
takim już rozmawiali, tyle że bez
udziału Olivera. Claire spróbowała
zrobić minę jak najmniej**

zmieszaną i jak najniewinniejszą.

–Z kim? – spytała. To było całkiem rozsądne pytanie, Oliver uśmiechnął się, a jego ciemne oczy spojrzały na nią chłodno.

–Claire. Ty naprawdę spodziewasz się, że ja ci to powiem? Im więcej wiesz o tym mieście, tym mniej tu jesteś bezpieczna. Rozumiesz to? Ja musiałem stworzyć tu dla siebie bezpieczne miejsce, a udało mi się tylko dlatego, że dokładnie wiem, co robię i jak daleko mogę się posunąć. A ty... Obawiam się, że twój pierwszy błąd może się

okazać ostatnim.

Już nie było jej sucho w ustach, ale jakby zamieniła się w mumię. Usiłowała przełknąć ślinę, ale tylko sucho mlasnęła językiem o podniebienie. Szybko podniosła filiżankę i napiła się herbaty, nie czując jej smaku, ale zadowolona, że zwilżyła usta.

–Ja nie miałam zamiaru...

–Cicho – przerwał jej, i tym razem jego głos nie brzmiał już tak łagodnie. – Po co niby przyszłabyś tu dzisiaj, skoro wiesz, że zaraz po zmroku może

się pojawić Brandon? Chcesz zawrzeć z nim jakiś układ, żeby ochronić Shane'a. To przecież oczywiste. No cóż, wcale nie po to tu przyszła, ale próbowała udawać, że ją przejrzał. Musiało podzielać, bo Oliver rozparł się na krześle z o wiele bardziej wyluzowaną miną.

–Jesteś mądra – powiedział. – Shane też. Ale niech wam To nie uderzy do głów. Pozwól mi sobie pomóc.

Pokiwała głową, bojąc się, że głos jej zadrży albo, co gorsza, zdradzi, jak wielką poczuła ulgę.

–No to jesteście umówieni – powiedział Oliver. – Pozwól, że porozmawiam z Brandonem i paroma innymi, i zobaczę, co się da zrobić, żeby się tego problemu pozbyć.

–Dzięki – powiedziała słabym głosem. Oliver wstał i odszedł. Wyglądał zupełnie jak każdy chudy były hipis, który nie pogodził się z odejściem dawnych dobrych czasów. Nieszkodliwy. Być może nieskuteczny.

Nie mogła polegać na dorosłych. Nie w tej sprawie. Nie w Morganville. Otworzyła laptopa,

powiększyła okno przeglądarki i wróciła do pracy.

Czas jak zwykle pędził. Kiedy znów podniosła oczy, za oknami panowała ciemność, a tłum w kawiarni przestał zakuwać, a zaczął plotkować. Eve była zajęta przy barze i tak wesolutka, jak tylko wypada zdeklarowanej Gotce.

Ucichła jednak, kiedy Brandon zajął swoje zwykłe miejsce przy stoliku w najciemniejszym kącie. Oliver zaniósł mu coś do picia – Boże! Naprawdę miała nadzieję, że to nie krew! – i usiadł, żeby

przeprowadzić z nim jakąś gorączkową i cichą rozmowę. Claire próbowała udawać, że jej tam zupełnie nie było. Wymieniły z Eve parę spojrzeń za plecami klientów.

W czasie tego maratonu wywiadowczego Claire dowiedziała się, że złożenie książki to praca dla ekspertów, a nie szesnastolatek (a nawet prawie siedemnastolatek) z ambicjami. Coś mogła sklecić, ale ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu zrozumiała, że każdy, kto się zna na starodrukach, bez trudu

zauważyłby fałszerstwo, chyba że byłaby to podróbka doskonała. A podejrzewała, że jej umiejętnościom opracowania książek w skórę jeszcze wiele brakowało.

Wszystko zatem prowadziło ją do pola numer jeden: Shane zostanie ukąszony. Nie do przyjęcia.

Jakaś linijka tekstu na jednej z tych kilkunastu stron, które otworzyła, przykuła jej wzrok. „Prawie wszystko da się stworzyć dla potrzeb filmu, włącznie z reprodukcjami starych książek, bo

**taka reprodukcja musi oszukać
wyłącznie jeden zmysł: zmysł
wzroku...”**

**Nie miała czasu ani gotówki,
żeby zatrudnić jakąś
hollywoodzką wytwórnię
rekwizytów do zrobienia dla niej
książki, ale wpadła na pewien
pomysł.**

Naprawdę niezły pomysł.

**Albo bardzo zły, jeśli się nie
powiedzie.**

**„Prawie wszystko da się
stworzyć dla potrzeb filmu”.**

**Wcale nie potrzebowała książki.
Potrzebowała jej zdjęcia.**

**Kiedy nadeszła północ, a z
Common Grounds w mrok nocy
wyszedł już ostatni uzależniony
od kofeiny klient, Claire nabrała
przekonania, że plan da się
przeprowadzić i była już zbyt
zmęczona, żeby się przejmować,
że coś jednak może się nie udać.
Spakowała laptopa i podparła
głowę na rękę, obserwując, jak
Eve opłukuje filiżanki i szklanki,
ładuje naczynia do zmywarki i
gawędzi z Oliverem. Starannie
przy tym omijała wzrokiem ciemną
postać.**

Brandon nie wyszedł za żadną ewentualną chodzącą przekąską. Zamiast tego siedział w kącie, trzymał w rękach świeży kubek tego czegoś, co zwykł popijać i uśmiechał się tym okrutnym, dziwnym uśmieszkiem, zerkając to na Eve, to na Claire, to znów na Eve.

Oliver, wycierając filiżanki, bacznie się mu przyglądał.

–Brandon – odezwał się i zarzucił sobie ścierkę do naczyń na ramię, zaczynając wieszać filiżanki na stojakach. – Zamykamy.

– Nawet jeszcze nie poinformowałeś, że już nie przyjmujecie zamówień – parsknął Brandon i spojrzał z tym swoim uśmiechem na Olivera.

I bardzo szybko przestał się uśmiechać. A po chwili wstał i ruszył do wyjścia.

– Chwila – powiedział Oliver bardzo cicho. – Kubek.

Brandon spojrzał na niego z niedowierzaniem, a potem wziął do ręki kubek – kartonowy, jednorazowy – i wrzucił go do kosza na śmieci. Widocznie po

**raz pierwszy od wielu lat
posprzątał stolik po sobie,
domyśliła się Claire. O ile nie
pierwszy raz w ogóle. Ukryła
nerwowy uśmiech, bo uznała, że
ten facet, zwłaszcza jako wampir,
nie doceni jej poczucia humoru.**

**–Coś jeszcze? – spytał Brandon
lodowatym tonem. Ale nie tak,
jakby go interesowała odpowiedź.**

**–Owszem. Jeśli nie masz nic
przeciwko temu, nalegałbym, żeby
panie wyszły pierwsze.**

**Nawet w półmroku Claire
dostrzegła błysk ostrych zębów,**

kiedy Brandon w milczeniu otworzył usta – i pokazał kły. Popisywał się. Na Oliverze raczej nie zrobił wrażenia.

–Jeśli pozwolisz – powtórzył Oliver. Brandon wzruszył ramionami i oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, która pochłaniała światło, czarny trykotowy podkoszulek i ciemne dżinsy. Zabójczo się wystroił, pomyślała Claire i z miejsca tej myśli pożalowała.

–Zaczekam – zgodził się Brandon. – Ale stary, one nie

**muszą się mną przejmować.
Chłopak dobił targu. Dotrzymam
umowy.**

**–To mnie właśnie martwi –
powiedział Oliver. – Eve, Claire,
wracajcie do domu bezpiecznie.
Już. Eve trzasnęła drzwiczkami
zmywarki i ją włączyła, złapała
spod kontuaru swoją torbę, wzięła
Claire za rękę i pociągnęła ją w
stronę drzwi. Przełożyła tabliczkę
z „Otwarte” na „Zamknięte” i
otworzyła drzwi, przepuszczając
Claire przed sobą. Zamknęła drzwi
na klucz, a potem zagoniła Claire
do samochodu, który stał w kręgu
światła latarni. Ulica wydawała się**

wyludniona, tylko wiatr skręcał z kurzu i śmieci niewielkie wiry, a czerwone światła skrzyżowania migotały i drżały. Eve w rekordowym tempie otworzyła samochód, a kiedy znalazły się w środku, obie błyskawicznie zablokowały drzwi. Eve odpaliła Caddy'ego i odjechała spod kawiarni, i dopiero wtedy odetchnęła z lekką ulgą.

A potem gwałtownie zaczerpnęła powietrza, bo jakiś samochód wypadł zza rogu i minął je takim pędem, że stanowił tylko zamazaną czarną plamę, a potem przystanął przy krawężniku w

miejscu, z którego przed chwilą ruszyły.

–Co u diabła? – zdziwiła się Eve i nieco zwolniła. Claire obejrzała się za siebie.

–To limuzyna – stwierdziła. Nie wiedziała nawet, że w Morganville jest jakaś limuzyna, ale potem pomyślała o domach pogrzebowych i pogrzebach, i przeszedł ją zimny dreszcz. Z tego wszystkiego równie dobrze mogło wynikać, że w Morgamdlle będzie więcej limuzyn niż w jakimkolwiek innym mieście w Teksasie...

Ale to nie była część żałobnej procesji. Limuzyna była wielka, czarna i błyszcząca jak pancerz karalucha, a kiedy Caddy jechał powoli, Claire dostrzegła jeszcze kierowcę, który wysiadł i obszedł ją, żeby otworzyć tylne drzwi.

**–Kto to jest? – spytała Eve. –
Widzisz coś? Kierowca podał rękę
wysiadającej kobiecie. Niewysoka
– chyba niewiele wyższa od
Claire, jak wydało się jej samej.
Błada, z włosami, które
połyskiwały blondem albo siwizną
w poświacie ulicznych latarni.
Były już za daleko, żeby Claire
zdołała dostrzec wyraźnie, ale**

wydało jej się, że ta kobieta jest... smutna. Smutna i chłodna.

–Taka nie za wysoka... Białe włosy? I dość elegancka? Eve wzruszyła ramionami.

–Nikogo takiego nie spotkałam, no ale wampiry nie zadają się z maluczkimi. Trochę tak jak Hiltonowie nie robią zakupów w Wal – Mart.

Claire parsknęła. Kiedy Eve skręcała już za róg, dostrzegła, że kobieta stanęła przed wejściem do Common Grounds, a Oliver otwierał przed nią drzwi. Po

Brandonie ani śladu. Zastanowiła się, czy Oliver już pozwolił mu wyjść, czy nadal każe mu czekać w środku, żeby im dać fory.

–Jak Oliver to robi? – spytała. – Znaczy dlaczego one po prostu go nie...

–Zabiją? Chciałabym wiedzieć. Ma facet jaja – powiedziała Eve. Mijane latarnie oświetlały jej twarz jak stroboskopy. – Widziałaś, jak załatwił Brandona? Jak go wypunktował? Coś niewiarygodnego. Każdy inny przed świtem już by nie żył. A Oliver... Jemu uchodzi na sucho.

Claire jeszcze bardziej zaciekała się dlaczego. A przynajmniej w jaki sposób. Jeśli Oliverowi różne rzeczy mogły uchodzić na sucho, to może innym ludziom też? No ale z drugiej strony może ci inni, którzy tego próbowali, już zdążyli skończyć jako dawcy organów.

Claire znów obróciła się twarzą do kierunku jazdy, ale siedziała zatopiona w myślach, kiedy Eve gnała cichymi, pustymi ulicami w stronę domu. Jakiś policyjny samochód patrolował boczną uliczkę, ale w Morganville sprawiało to takie wrażenie, jakby

nie szukali przestępców, ale potencjalnych ofiar.

W pierwszej chwili pomyślała, że jest tak zmęczona, że coś jej się chyba przywidziało – to się zdarza, kiedy człowiek za mało śpi; widzi się duchy w lustrach i dziwne twarze w oknach – ale zobaczyła coś, co poruszało się niesamowicie szybko w świetle latarni. Coś bladego.

–Gonią nas – oznajmiła Eve ponuro. – Cholera.

–Brandon? – Claire usiłowała przyglądać się ulicy, ale Eve

jeszcze dodała gazu i przyspieszyła.

–Brandon nie. No ale z drugiej strony przecież nie musi brudzić sobie własnych kłów... Ze dwadzieścia metrów przed nimi ktoś zastąpił drogę cadillacowi.

Claire i Eve wrzasnęły, a Eve wdepnęła hamulec. Claire poleciała do przodu, przytrzymywana pasem bezpieczeństwa, który napiął się, a potem rąbnęła plecami o oparcie tak mocno, że po prostu wiedziała, że zemdleje z tego bólu, kiedy poparzonymi plecami otarła

się o siedzenie. Ale ból minął, stłumiony strachem, bo samochód z piskiem opon zahamował i zatrzymał się na ciemnej ulicy, na której stał wampir oparty teraz rękami o maskę. I pokazujący w szerokim uśmiechu o wiele za dużo zębów.

– Claire! – wrzasnęła Eve. – Nie patrz na niego! Nie patrz! Za późno. Claire już popatrzyła i poczuła, że z jej głową coś się dzieje. Strach znikł. Tak samo zdrowy rozsądek. Sięgnęła do klamki w drzwiach. Ale Eve wyprzedziła jej ruch i złapała ją za ramię.

–Nie! – krzyknęła i nie puszczała, jednocześnie wrzucając wsteczny bieg i z piskiem opon cofając samochód. Kolejny wampir wyszedł z mroku i zablokował ulicę. Ten był wysoki, brzydki i stary. I miał tyle samo błyszczących zębów. – O Boże... Claire nadal mocowała się z drzwiami. Eve mruknęła pod nosem coś, za co Claire bankowo dostałaby w domu szlaban, znów wdepnęła hamulec i powiedziała:

–Claire, kochana, to zaboli. – A potem pochyliła Claire do przodu i walnęła ją w oparzone miejsce. Mocno.

Claire zawyła tak, że zagłuszyłyby szczekanie psów w promieniu trzech hrabstw, o mało nie zemdląła i przestała próbować wydostać się z samochodu. Nawet te dwa wampiry przy samochodzie, które nagle znalazły się przy drzwiach, wzdrygnęły się i cofnęły o krok.

Eve dodała gazu. Claire, prawie mdlejąca z nieznośnego, palącego bólu, usłyszała odgłos przypominający skrobanie żelaznymi gwoździami po tablicy, ale potem wszystko ucichło, a one jechały przed siebie, pędząc przez noc.

– Claire? Claire? – Eve potrząsała ją za drugie ramię, za to, które nie sprawiało wrażenia, jakby znów wzięła kąpiel w kwasie. – O Boże, przepraszam cię! Tylko że... On chciał cię zmusić, żebyś otworzyła drzwi, a ja nie mogłam... Przepraszam!

Panika nadal krążyła jej w żyłach jak prąd elektryczny, ale Claire udało się pokiwać głową i zdobyć na słaby uśmiech. Rozumiała. Zawsze się zastanawiała, jakim cudem w filmach ktoś może być na tyle głupi, że otwiera drzwi czemuś złemu i przerażającemu, ale teraz już wiedziała. Wiedziała z

doświadczenia.

Czasami po prostu nie miewa się wyboru.

Eve w przerwach między z trudem łapanymi wdechami płakała ze złości.

–Nienawidzę tego – powiedziała i zaczęła raz po raz uderzać dłonią w kierownicę. – Nienawidzę tego miasta! Ich nienawidzę!

Claire rozumiała. Sama też zaczynała ich naprawdę nienawidzić.

Rozdział 11

Shane stał w drzwiach, gotów do działania, kiedy Eve z piskiem hamulców zatrzymała samochód. Jeśli nadal się wściekał, to mógł dać upust złości w porządnej bójce. Eve gorączkowym machaniem dała mu znać, żeby się nie ruszał spod domu, a potem rozejrzała się uważnie po ulicy.

–Widzisz coś? – spytała niespokojnie. Claire pokręciła głową, nadal półprzytomna. – Cholera. Cholera! Okej... Ale

wiesz co i jak, prawda? Zębami i pazurami. Biegnij!

Claire otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i rzuciła się biegiem w stronę domu. Słyszała, jak Eve zatraskuje drzwi auta, a potem jej kroki. Mam de ja vu, pomyślała. Teraz już tylko trzeba, żeby pojawił się Brandon i zaczął zachowywać jak totalny kretyn...

O mało nie staranowała Shane'a, wpadając z impetem do domu; zszedł jej z drogi w samą porę, usunął się tylko na tyle, żeby mogła go minąć, a potem złapał Eve i wciągnął ją do domu,

zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

–Musisz poszukać sobie lepszej pracy – powiedział. Eve grzbietem dłoni starła z twarzy resztki makijażu i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

–Ja przynajmniej mam pracę!

–Jaką? Zawodowej krwiodawczyni? Bo to się tak właśnie skończy, jeśli...

Claire obróciła się, wpadła na jakąś wampirzycę i krzyknęła tak głośno, jakby miała sobie płuca

wypluć.

No dobrze, to jednak nie był wampir. Zdołała to ustalić w ciągu następnych trzydziestu sekund, podczas których Shane zgiął się w pół ze śmiechu, rzekoma wampirzyca wrzasnęła i skuliła się ze strachu, a Eve powiedziała z bezbrzeżnym zdumieniem:

–Miranda! Kochanie, co ty tu, do diabła, robisz?

Wampirzyca, no, dziewczyna wyglądająca jak wampirzyca, poprawiła się w myślach Claire, bo teraz, kiedy puls jej odrobinę

zwolnić, zobaczyła, że to tylko makijaż i poza, a nie natura – powoli opuściła ręce, którymi się zasłoniła, zerknęła na Claire niepewnie zza czarnych rzęs i ułożyła rubinowoczerwone usta w „O”.

–Musiałam przyjść – wyjaśniła. Miała zaaferowany, przejęty głos.

–Och, Eve! Miałam taką okropną wizję! Była tam krew i śmierć, i to wszystko miało jakiś związek z tobą!

Na Eve nie zrobiło to żadnego wrażenia. Westchnęła, popatrzyła

na Shane'a i spytała:

–Ty ją wpuściłeś? Myślałam, że jej nie cierpisz!

–Nie mogłem jej zostawić na zewnątrz, prawda? Znaczący dziewczyna też ma tętnicę. A poza tym jest twoją przyjaciółką.

Sądząc ze spojrzenia, jakie mu rzuciła Eve, „przyjaciółka” to było określenie na wyrost.

Miranda uśmiechnęła się do Shane'a szalonym uśmiechem. No pięknie, pomyślała Claire zirytowana, zniesmaczona i nadal

usiłująca opanować skutki małej eksplozji nuklearnej własnego lęku. Dziewczyna była wysoka, miała długie, chude nogi, których prawie nie zasłaniała czarna skórzana minispódniczka, oraz mocny makijaż, ufarbowane na czarno włosy, obcięte nierówno. Jej nadgarstki i szyję zdobiły krzyże namalowane czarnym markerem.

Miranda nagle obejrzała się za siebie i wbiła wzrok w sufit. Przerażona zakryła usta dłońmi; ale nie rozmazała sobie szminki, jak zauważyła Claire.

Ten dom... – wyszeptała. – O rany. Tu jest... tak dziwnie. Nie czujecie tego?

–Mir, jeśli chciałaś mnie przed czymś ostrzec, mogłaś zadzwonić – powiedziała Eve i zaprowadziła ją do salonu. – Teraz musimy wykombinować, jak cię odstawić do domu. Naprawdę, czy ty nie masz rozumu? Powinnaś być rozsądniejsza.

Kiedy Miranda usiadła na kanapie, na jej karku Claire dostrzegła... siniaki. A w ich środku dwie świeże czerwone ranki. Eve też je zauważyła i

zamrugnęła, a potem popatrzyła na Shane'a i na Claire.

–Mir? – spytała łagodnie, przekrzywiając głowę dziewczyny nieco na bok. – Co ci się stało?

–Nic. Wszystko. Naprawdę musisz spróbować. Jest dokładnie tak, jak to sobie wymarzyłam, i przez sekundę widziałam, naprawdę widziałam...

Eve puściła ją jak oparzona.

–Pozwoliłaś się komuś ugryźć?

–Tylko Charlesowi – powiedziała

Miranda. – On mnie kocha. Ale Eve, wysłuchaj mnie, to poważna sprawa! Próbowалам dzwonić, ale nikogo nie było w domu, a ja miałam ten okropny sen...

–Wydawało mi się, że powiedziałaś, że to była wizja – odezwał się Shane. Wszedł za Claire do salonu i stanął obok niej.

Poczuła, że dzięki jego bliskości supel gniewu i napięcia w żołądku nieco się rozluźnia, chociaż Shane nawet na nianie spojrział. Tak, Claire, ale ci się poszczęściło. On cię traktuje jak

mebel. Może przydałoby ci się trochę seksownej szminki i kilka chusteczek higienicznych w staniku.

–Przestań, Shane, ona przeżyła piekło... – Eve najwyraźniej przypomniała sobie, że cokolwiek przeszła Miranda, Shane'a też to czeka, chyba że jakoś im się uda wywinąć z tego układu z Brandonem. – Hm, właśnie. Wizja. Mir, co widziałaś?

–Śmierć – powiedziała Miranda z satysfakcją, pochylając się naprzód i lekko kołysząc. – Och, on walczył, nie chciał tego,

odrzucił dar, ale... No i potem była krew. Mnóstwo krwi. I umarł... dokładnie... tu. – Wyciągnęła rękę i wskazała miejsce na podłodze zakryte chodnikiem.

Claire prawie stanęło serce i zrozumiała, że ona chyba mówiła o Michaelu.

–Czy to... Czy to Shane? Czy ty widziałaś przyszłość Shane'a? – spytała Eve. W głosie miała lęk, ale z drugiej strony wieczór miały przerażający. I trudno się było o Shane'a nie martwić.

**–Ona nie widzi przyszłości –
powiedział Shane obojętnym
tonem. – Ona po prostu wymyśla
ten szajs. Prawda, Mir?**

**Miranda nie odpowiedziała.
Wyciągnęła szyję i znów spojrzała
w sufit. Do Claire dotarło, że ona
patrzy dokładnie w tę stronę,
gdzie znajdował się ukryty pokój.
Czyżby Miranda wiedziała? Ale
skąd?**

**–Ten dom – powtórzyła. – Ten
dom jest taki dziwny. To niema
sensu, wiecie.**

Schody skrzypnęły i Claire

obejrzała się na Michaela, który schodził na dół jak zwykle na bosaka.

–Nie tylko to nie ma sensu – powiedział. – Eve, co u diabła ona tutaj robi?

–Mnie nie pytaj! To Shane ją wpuścił!

–Cześć, Michael – powiedziała Miranda nieobecny tonem. Nadal nie odrywała wzroku od sufitu. – A ta jest nowa. – Pomachała ręką w stronę Claire.

–Tak. To Claire. – Raczej trudno

powiedzieć, żeby się rzucił na pomoc, kiedy Claire wrzasnęła i teraz zastanawiała się dlaczego. Może wolał trzymać się z daleka od Mirandy; zaczynała rozumieć dlaczego. Mówić tu o dziwactwach... Zdawało się, że nawet Eve nie ma pojęcia, co z Miranda teraz począć.

Claire zrozumiała, że Michael nie słyszał opowieści Mirandy o swojej śmierci. Może zresztą tak było lepiej.

–Claire – szepnęła Miranda i nagle popatrzyła prosto na nią. Miała bladoniebieskie oczy,

**naprawdę dziwne. Wydawały się
przeszywać Claire na wskroś. –
Nie, to nie ona, nie ona. Coś
innego. W tym domu jest coś
dziwnego. Muszę postawić karty.**

**–Co u diabła? – spytał Shane.
Miranda złapała Eve za rękę i
zerwała się z miejsca, a potem
praktycznie zaciągnęła ją na
schody. – No teraz to już za wiele
tego dobrego. Eve?**

**–Hm... Wszystko w porządku! –
odkrzyknęła Eve, kiedy Miranda
prawie jej wykręcała rękę w
stawie. – Ona tylko chce postawić
tarota. Wszystko w porządku!**

Zaraz ją sprowadzę na dół! Jedna chwilka!

Shane, Michael i Claire popatrzyli po sobie, a potem Shane narysował palcem kółko na skroni i gwizdnął.

Michael pokiwał głową.

–Kiedyś nie było z nią aż tak źle – stwierdził.

–Pewnie to przez tego Charlesa – stwierdził ponuro Shane. – Powinienem był zgadnąć, że jeśli ktoś spiknie się z jakąś pijawką przez wieeelką miiiiłość – Shane

powiedział to z gryzącą ironią – to właśnie taka słodka idiotka jak Miranda. Powinienem był kazać jej wracać do domu. Pewnie zaliczyłaby kolejnego gryza.

–To tylko dzieciak, Shane – powiedział Michael. – Ale im prędzej się jej stąd pozbędziemy, tym lepiej się poczuję. Ona Eve trochę... denerwuje.

Eve? Ależ Eve wcale tak naprawdę nie wierzyła w te bzdury, prawda? Claire już nabrała przekonania, że chodzi wyłącznie o przebieranki, że pod spodem Eve jest normalną

**dziewczyną, a cały ten mundur
Gotki to tylko poza. Czy
naprawdę wierzyła w wizje,
szklane kule i karty do tarota?
Magia to przecież tylko źle pojęta
nauka, napomniała samą siebie.
Albo nawiedzona gadanina.**

Obaj chłopcy spojrzeli na Claire.

**–Co? – spytała. – Ach, przy
okazji, nic mi nie jest. Dzięki za
troskę. Gonili mnie jakieś
wampiry. Wszystko jak zwykle.**

**–Mówiłem, żebyś nie szła –
przypomniał Shane i wzruszył
ramionami. – No więc, kto namówi**

Mirandę, żeby sobie poszła?

Nadal patrzyli na nią i Claire wreszcie zrozumiała, że to zadanie zostało jej przydzielone. Może dlatego, że była nowa, że nie знаła Mirandy i że była dziewczyną. Michael był zbyt greczny, żeby kazać jej wyjść. Shane... Nie umiała stwierdzić, co Shane myśli o Mirandzie, poza tym, że chciał, żeby się wyniosła do diabła.

–Dobra – powiedziała Claire. – Pójdę.

–Bystra dziewczynka –

powiedział Shane do Michaela z powagą, kiedy zaczęła już wchodzić na górę.

–Tak – zgodził się Michael. – I za to ją lubię.

Wszystkie sypialnie były zamknięte, poza pokojem Eve, skąd drżące światło padało na błyszczący parkiet. Claire wyczuła węchem ostry zapach siarki z zapalek. Dziewczyny zapalały świece.

Och, naprawdę nie miała ochoty tego robić. Może by tak po prostu minąć sypialnię Eve, wejść do

swojego pokoju i zamknąć drzwi na klucz...?

Zajrzała przez uchylone drzwi z uśmiechem, który musiał być totalnie sztuczny. Eve krzątała się przy świecach – rany Julek, ależ ich tu miała, poustawiała je praktycznie wszędzie. Grube, wysokie i czarne; fioletowe; niebieskie. Żadnych pastelów. Łóżko miała posłane czarną satyną, a nad nim wisiała piracka flaga – z czaszką i piszczelami – wezgłowie zupełnie jak wydęty wiatrem żagiel. Wszędzie wisiały małe choinkowe lampki – nie, to jednak nie były lampki choinkowe. Raczej

na Halloween: dynie, duszki i czaszki. Wesole i niesamowite.

–Hej – powiedziała Eve, nie podnosząc oczu znad wysokiej czarnej świecy, która właśnie zapalała. – Wchodź, Claire. Chyba jeszcze nie poznałaś Mirandy jak należy.

Nie, jeśli nie liczyć wrzasków i chęci ucieczki. – Cześć – odezwała się z zakłopotaniem. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękami. Miranda chyba tego nie zauważyła, albo nic ją to nie obchodziło, a swoje ręce trzymała uniesione w górę i wykonywała

nimi gesty, jakby głaskała
jakiegoś niewidzialnego kota.
Dziwne. Im dłużej Claire patrzyła
na tę dziewczynę, tym młodsza jej
się wydawała – na pewno była
młodsza od Eve. A może nawet i
młodsza niż Claire. Może dla niej
to wszystko było zabawą...
Pomijając ugryzienie. To już była
śmiertelnie poważna sprawa.

–Hm... Eve? Czy ja mogę cię
prosić na słówko? – spytała
Claire. Eve pokiwała głową,
otworzyła pomalowaną na czarno
komodę i wyjęła z niej czarne
lakierowane pudełko. Kiedy je
otworzyła, ukazało się

krwistoczerwone wnętrze. Był tam pakunek owinięty czarnym jedwabiem, który po rozwinięciu przez Eve okazał się talią kart.

Kart do tarota.

Eve przez parę sekund trzymała je w dłoniach. A potem kilka razy przetasowała i podała Mirandzie.

–Zaraz wracam – powiedziała i wyszła do holu z Claire, zamykając za sobą drzwi. Zanim Claire zdążyła się odezwać choć słowem, Eve uniosła rękę. Unikała wzroku Claire. – Faceci cię nasłali? – A kiedy Claire pokiwała

głową, mruknęła: – Mięczaki, i jeden, i drugi. Dobra. Chcą się jej pozbyć, tak?

–Hm... Chyba tak. – Claire była zakłopotana. – Ona jest trochę... nawiedzona.

–Miranda... No tak, jest nawiedzona. Ale ma też coś w rodzaju daru – powiedziała Eve. – Dostrzega różne rzeczy. Wie różne rzeczy. Shane powinien to docenić. Ona mu powiedziała o pożarze, zanim... – Eve pokręciła głową. – Nieważne. Jeśli przyszła tu taki kawał drogi po ciemku, to coś się musiało stać. Powinnam

dowiedzieć się co.

–No ale... Nie możesz jej po prostu o to zapytać?

–Miranda ma zdolności parapsychiczne – wyjaśniła Eve. – To nie takie proste, ona tego tak po prostu nie powie. Trzeba z nią najpierw popracować.

–Ale... Przecież ona nie może tak naprawdę widzieć przyszłości, prawda? Chyba w to nie wierzysz? Bo jeśli wierzysz, pomyślała Claire, to jesteś bardziej szalona, niż mi się wydawało, kiedy cię poznałam.

Eve wreszcie spojrzała jej w oczy. Ze złością.

–Tak. Tak, rzeczywiście w to wierzę, i jak na taką bystrą dziewczynę jesteś niemądra, jeśli nie rozumiesz, że nauka nie jest nieomylna. Różne rzeczy się zdarzają. Rzeczy, których nie umie wyjaśnić fizyka ani matematyka, ani te inne gówna mierzone w laboratorium. Ludzie to nie tylko reguły i zasady, Claire. Są jak... iskry. Iskry czegoś pięknego i wielkiego. A niektóre z tych iskier płoną wyraźniej, jak Miranda. – Eve znów odwróciła wzrok, widać

było, że teraz poczuła się niezręcznie. Ale nie tak niezręcznie jak Claire, bo to przecież było... No, nieźle wariatkowo. – Po prostu zostawcie nas same na trochę. Nic złego się nie stanie.

Wróciła do pokoju i zamknęła drzwi. No, może odrobinę za mocno. Claire z trudem przełknęła ślinę, zrobiło jej się gorąco i pożałowała, że dała się chłopakom na to namówić. Powoli zeszła na dół. Michael i Shane siedzieli na kanapie i grali, a na stoliku przed nimi stały otwarte butelki piwa. Poszturchiwali się

łokciami, kiedy na ekranie ich samochody ścigały się na zakrętach.

–Nie całkiem legalne – powiedziała i usiadła na stopniach schodów. – Piwo. Nikt tu nie ma dwudziestu jeden lat.

Michael i Shane stuknęli się butelkami. Naprawdę, to już było infantylne.

–Za zbrodnię – wzniósł toast Shane i się napił. – To był prezent urodzinowy. Dwa sześciopaki. Wypiliśmy na razie tylko jeden, więc odpuść nam. Założę się, że

Morganville ma najwyższy odsetek alkoholików na stu mieszkańców na całym świecie.

Michael przerwał grę.

–Wychodzi już?

–Nie.

–Jeśli zacznie mi wmawiać, że poznam wysokiego przystojnego bruneta, to sam wyjdę – powiedział Shane. – Ta dziewczyna jest psychiczna i ja nie chcę być wredny, ale, litości. Ona naprawdę w te bzdury wierzy. I prawie przekonała do

nich Eve.

Żadne „prawie”, pomyślała Claire, ale nie miała zamiaru mówić tego głośno. Siedziała z chłopakami, próbowała się odprężyć. Nie myśleć o planach wyplątania Shane'a z umowy, które to plany wydawały się całkiem niezłe jeszcze w kawiarni, ale teraz już niekoniecznie. O koszmarnym bólu pleców. O rozpaczach w oczach Eve. Eve była przerażona. A Claire nie wiedziała, jak jej pomóc, bo sama też była wystraszona prawie śmiertelnie.

–Patrzyła prosto na sekretny

**pokój – odezwała się Claire. –
Kiedy stała tu na dole. Patrzyła
prosto w tamtą stronę.**

**Michael i Shane spojrzeli na
Claire jednocześnie. Dwie pary
oczu zaskoczone i pełne skruchy.
A potem obaj otrząsnęli się i
sięgnęli po piwo.**

**–Przypadek – powiedział
Michael.**

**–Totalny przypadek – zgodził się
Shane.**

**–Eve mówiła, że Miranda miała
coś w rodzaju wizji dotyczącej**

ciebie, Shane, kiedy...

–Tylko nie to! Posłuchaj, mówiła, że miała wizję płonącego domu, ale powiedziała to dopiero potem, a nawet gdyby to powiedziała wcześniej, akurat na wiele by się to zdało. – Shane zacisnął usta. Nacisnął przycisk, znów uruchamiając grę i telewizor ryknął, uniemożliwiając wszelką rozmowę.

Claire westchnęła.

–Idę do łóżka. Ale nie poszła. Była zmęczona, obolała i podenerwowana... A jednak jej

umysł wciąż wracał do różnych spraw... Wreszcie szturchnęła Shane'a, żeby się posunął na kanapie, usiadła koło niego, a on i Michael grali, i grali, i grali...

– Claire. Obudź się. – Głowę opierała na ramieniu Shane'a, a Michaela nigdzie nie było widać. Jej pierwszą myślą było: „O mój Boże, a jeśli się zaśliniłam?” A drugą, że nie miała pojęcia, że tak blisko niego siedziała i że tak się do niego przytuliła.

A trzecią, że chociaż część kanapy, gdzie przedtem siedział Michael, była wolna, Shane się nie

**odsunął. I spoglądał na nią
ciepłymi, przyjaznymi oczami.
Och, to było miłe.**

**Po chwili zawstydzila się i
odsunęła od Shane'a, który
poderwał się z kanapy. –
Powinnaś chyba iść spać –
zasugerował. – Jesteś
wykończona.**

**–Tak – zgodziła się. – Która
godzina?**

**–Trzecia rano. Michael poszedł
po coś do jedzenia. Jesteś
głodna?**

–Nie. Dzięki. – Wstała z kanapy i stała tam jak idiotka, bo nie miała ochoty wychodzić. – Kto wygrał?

–Za którym razem?

–Och. Zdaje się, że trochę już pospałam.

–Nie przejmuj się. Żadnym zombie nie daliśmy cię dopaść. – Teraz uśmiechał się łobuzersko. Claire poczuła miłe ciepło w całym ciele. – Jeśli nie chcesz jeszcze iść spać, pomóż mi skopać im tyłek.

Na stoliku przed Shane'em stała

nie jedna, ale trzy puste butelki po piwie. A kolejne trzy przed miejscem Michaela. Nic dziwnego, że Shane tak się do niej miło uśmiechał.

–To zależy – powiedziała. – A dostanę piwa?

–Do diabła, nie.

–Bo mam szesnaście lat? Daj spokój, Shane.

–Picie niszczy szare komórki, głuptasie. A poza tym jeśli dam ci piwa, dla mnie zostanie jedno mniej. – Shane postukał się

palcem w głowę. – Jeszcze umiem liczyć.

Potrzebowała piwa, żeby zostać z nim, bo bała się, że powie lub zrobi coś głupiego, a gdyby w grę wchodził alkohol, to przynajmniej mogłaby udawać, że to nie jej wina, prawda? Ale kiedy już otwierała usta, chcąc go jakoś przekonać, Michael wyszedł z kuchni z torbą różnokolorowych chrupek serowych. Shane złapał garść i wepchnął sobie do ust.

–Claire chce piwa – mruknął.

–Claire idzie spać – stwierdził

**Michael i rzucił się na kanapę. –
Suń się, człowieku. Aż tak bardzo
cię nie lubię.**

**–Jaki wredny. Wczoraj w nocy
inaczej mówiłeś.**

–Pocałuj mnie gdzieś.

–Napiałbym się jeszcze piwa.

**–Wypchaj się. To był mój prezent
urodzinowy, nie twój.**

**–Och, to było poniżej pasa.
Naprawdę jesteś wredny i zaraz
dam ci za to popalić.**

–Obiecanki cacanki. – Michael zerknął na Claire. – Jeszcze tu jesteś. Piwa nie dostaniesz. Nie sprowadzam nieletnich na złą drogę.

–Sam jesteś nieletni – wytknęła mu. – Przynajmniej, jeśli chodzi o picie piwa.

–A poza tym to co? Czy to nie idiotyzm, że jeśli kogoś zabiję, to jestem pełnoletni, ale nie jestem, jeśli mam ochotę na piwo? – zauważył Shane. – To jest porąbane.

–Człowieku, mówię ci, jesteś

bardzo ekonomicznym pijakiem. Trzy piwa? Moja dziewczyna z gimnazjum miała mocniejszą głowę.

–Twoja dziewczyna z gimnazjum... – Shane przerwał, nie dokończył zdania i mocno się zaczerwienił. Cokolwiek chciał powiedzieć, musiało to być dosadne. – Claire, wynocha mi stąd. Denerwujesz mnie.

–Dureń! – rzuciła i poszła na górę, zanim zdążył w nią rzucić poduszką. Trafiła w ścianę za jej plecami i spadła po schodach na sam dół. Claire roześmiała się, ale

ucichła, kiedy jakiś cień zastąpił jej drogę.

Eve. I Miranda z totalnie nawiedzoną miną.

–Miranda wychodzi! – zawołała Claire w stronę chłopaków. Co może nie było dobrym pomysłem, bo Eve miała zmartwioną minę, Shane był pijany, a pozwalanie, żeby zwariowana na punkcie wampirów i być może obdarzona zdolnościami parapsychicznymi dziewczyna wracała sama do domu było... Co najmniej kiepskim pomysłem.

**–Miranda nigdzie nie idzie –
oznajmiła Eve i zbiegła po
schodach. Miranda snuła się za
nią jak czarno – biały duch. –
Miranda zrobi z nami seans
spirytystyczny.**

**Usłyszała, że Michael mówi do
siebie przerażony:**

–O kurde.

Rozdział 12

Eve tak się uparła, że nawet Shane, po trzech piwach, nie potrafił jej odmówić. Michael nic nie mówił, tylko patrzył na Mirandę oczami, które były o wiele za przytomne jak na kogoś, kto wypił tyle samo co Shane. Kiedy Eve zbierała rzeczy ze stołu w salonie i postawiła na środku jedną czarną świecę, Claire zaczęła nerwowo wykręcać sobie ręce, usiłując zwrócić na siebie uwagę Michaela. A kiedy jej się udało, szepnęła bezgłośnie:

–Co robimy?

Wzruszył ramionami. Więc domyśliła się, że nic. No cóż, przecież poza Eve nikt w to naprawdę nie wierzył. Doszła do wniosku, że nic złego raczej się nie stanie.

**–Możemy zaczynać – powiedziała Eve i posadziła Mirandę a krześle u szczytu stołu.
– Shane, Michael, Claire, siadajcie.**

–To idiotyzm – mruknął Shane.

–Po prostu... proszę, zróbcie to,

dobrze? – Eve była spięta. Przestraszona. Naprawdę musiało ją zdenerwować to, czego dowiedziały się z tarota. – Zróbcie to dla mnie.

Michael usiadł jak najdalej od Mirandy. Claire usiadła obok niego, a Shane zajął krzesło naprzeciwko, tak że Eve i Claire siedziały przy Mirandzie, trzęsącej się tak, jakby za moment miała dostać jakiegoś ataku.

–Weźcie się za ręce – powiedziała Eve i złapała Mirandę za lewą dłoń, a potem Shane'a za prawą. Patrzyła na Claire twardo,

aż ta się ugięła, wzięła Mirandę za drugą ręką i ujęła też dłoń Michaela. Został już tylko Shane i Michael. Popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami.

–Niech im będzie – powiedział Michael i wziął Shane'a za Rękę.

–O Boże, chłopaki, homofobia wam dokucza, czy jak? Przecież nie chodzi o to, czy jesteście wystarczająco męscy, tylko czy...

–On nie żyje! Widzę go! Claire drgnęła, kiedy Miranda prawie to wyrzeszczała. Wszyscy siedzący wokół stołu zamarli.

Nawet Shane. A potem musieli zwalczyć nieodpartą ochotę na chichot – no, przynajmniej Claire musiała ją zwalczyć, ale widziała, że ramiona Shane'a też się trzęsą. Eve zagryzła wargę, a w jej oczach pojawiły się łzy.

–Ktoś umarł w tym domu! Widzę go. Widzę, jak jego ciało leży na podłodze... – Miranda jęknęła i zaczęła się rzucać na krzesło. – To nie koniec. To się nigdy nie skończy. Ten dom... Ten dom nie pozwoli, żeby się skończyło.

Claire nie mogła się powstrzymać, żeby nie spojrzeć

na Michaela, który wpatrywał się w Mirandę zmrużonymi, chłodnymi oczami. Ręką mocno ścisnął dłoń Claire. Kiedy zaczęła coś mówić, uścisnął ją jeszcze mocniej. Zrozumiała. Ma się zamknąć.

Ale Miranda zamknąć się nie chciała.

**–W tym domu jest duch!
Niespokojny duch!**

–Niespokojny duch? – powtórzył Shane pod nosem. – Czy o poprawne politycznie określenie na wkurzony? No wiecie, jak w

Nie umarłym Amerykaninie'?

Miranda otworzyła oczy i spojrzała na niego z urazą.

–Ktoś tu umarł – oświadczyła. – Dokładnie tu. W tym pokoju. Jego duch nawiedza to miejsce i jest silny.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Michael i Claire unikali patrzenia sobie w oczy, ale Claire czuła, że oddech zaczyna jej przyspieszać, a serce bić szybciej. Ona mówiła o Michaelu! Wiedziała! Jak to możliwe?

–Czy ten duch jest niebezpieczny? – spytała Eve z przejęciem. Claire o mało się nie zakrztusiła.

–Ja... nie umiem powiedzieć. To niewyraźne.

–Jasne. Umarlak, a chodzi, ale nie wiemy, czy to niebezpieczne, bo, zakłócenia obrazu. Coś jeszcze? – zjadliwie spytał Shane, a Claire znowu musiała zdusić histeryczny chichot.

Miranda skrzywiła się teraz nieładnie i z goryczą.

–Ogień! – powiedziała. – Widzę ogień. Widzę kogoś, kto w ogniu krzyczy... Shane wyrwał ręce Eve i Michaelowi, z łomotem odsunął krzesło i powiedział:

–Dobra, dosyć tego, wynoszę się stąd. Zapewnijcie sobie te psychiczne rozrywki, gdzie chcecie.

–Nie, zaraz! – krzyknęła Eve i złapała go za ramię. – Shane, zaczekaj, ona to też widziała w kartach, i... Wyrwał się.

–Ona widzi to, co chce! I podnieca się, jak jest w centrum

uwagi, w razie gdybyś nie zauważyła! Oraz daje się pukać wampirowi!

–Shane, proszę cię! Chociaż wysłuchaj!

–Już dość słyszałem. Dajcie mi znać, kiedy będziecie chcieli pobawić się stukającym stolikiem albo planszą do wywoływania duchów. To o wiele zabawniejsze. Możemy zaprosić paru dziesięciolatków, pokażą nam, o co w tym chodzi.

–Shane, dokąd idziesz?

–Do łóżka. Cześć. Claire nadal trzymała za rękę Michaela i Mirandę. Teraz ich puściła, odsunęła krzesło od stołu i poszła za Shane'em. Usłyszała, jak trzasnął drzwiami, zanim jeszcze weszła na górę, a potem pobiegła korytarzem i zaczęła walić w drzwi pięścią. Nikt nie odpowiedział, w środku nie słyszała żadnego ruchu.

A potem zauważyła, że obraz na ścianie wisi nieco krzywo i przesunęła go, gapiąc się na schowany pod spodem przycisk. Zrobiłby to? Oczywiście, że tak.

Na chwilę się zawahała, a potem nacisnęła przycisk. Drzwi w drewnianej boazerii korytarza kliknęły, wypuściły na zewnątrz powiew chłodnego powietrza, a ona szybko weszła do środka, zamknęła je za sobą i ruszyła po schodkach.

Shane leżał na sofie, stopy trzymał na rzeźbionej drewnianej poręczy, a jedną ręką zakrywał sobie oczy.

–Odejdź – parsknął. Claire usiadła na sofie obok niego, bo w jego głosie brakowało, no cóż, przekonania. Był cichy i jakby

złamany. – Mówię serio, Claire, odejść.

–Kiedy mnie po raz pierwszy widziałeś, płakałam – powie działa. – Nie masz się czego wstydzić.

–Ja nie płaczę – powiedział i odsunął ramię. Nie płakał. Oczy miał suche, płonące i gniewne. – Ja nie mogę znieść tego, że ona udaje, że wie. Ona się przyjaźniła z Lyssą. Gdyby wie działa, gdyby naprawdę wiedziała, powinna była bardziej się postarać.

Claire zagryzła wargę.

**–Chcesz powiedzieć, że ona...? –
Nie mogła dokończyć: „Chcesz
powiedzieć, że próbowała ci
powiedzieć?” A on pewnie nie
umiałby się przyznać, gdyby tak
było. Bo gdyby coś takiego
przyznał... to by znaczyło, że jego
siostra nie musiała umrzeć.**

**Nie, Claire nie mogła tego
powiedzieć. A on nie powinien
tego usłyszeć.**

**Zamiast tego wzięła go po prostu
za rękę. Popatrzył na ich złączone
dłonie, westchnął i zamknął oczy.**

–Jestem pijany i jestem wściekły

– powiedział. – Nie stanowią w tej chwili najlepszego towarzystwa. Rany, twoi rodzice chyba by nas wszystkich pozabijali, gdyby się tego wszystkiego dowiedzieli.

Nic nie powiedziała, bo mówił prawdę. I nie było to coś, o czym chciałyby myśleć. Chciała tylko siedzieć tam, w tym cichym pokoju, gdzie czas się zatrzymał, i być przy nim.

–Claire? – Głos miał już spokojniejszy. Nieco stłumiony sennością. – Nie rób tego więcej.

–Czego?

–Nie wychodź tak jak dziś wieczorem. Nie po zmroku.

–Nie będę, jeśli ty też nie będziesz. Uśmiechnął się, ale nie otworzył oczu.

–Żadnych randek? Co to ma być, dom Wielkiego Brata? A poza tym nie przyjechałem do Morganville, żeby się ukrywać.

Natychmiast się zaciekała.

–A po co tu wróciłeś?

–Przez Michaela. Mówiłem ci. Zadzwoił, więc przyjechałem. To

samo zrobiłby dla mnie. – Shane przestał się uśmiechać. Pewnie wspominał, jak Michael nie odbierał telefonu, jak nie przyjechał do szpitala. Jak go zawiódł.

–Chodzi o coś więcej – stwierdziła. – Inaczej do tej pory już byś się stąd zabrał.

–Być może – westchnął Shane. – Zostaw to, Claire. Nie musisz zgłębiać każdego sekretu w okolicy, wiesz? To niebezpieczne.

Pomyślała o Michaelu. O tym, jak patrzył na Mirandę nad stołem,

przy którym trwał seans.

–Prawda – zgodziła się. – To niebezpieczne.

Gadali przez kilka godzin, w sumie o niczym – na pewno nie o wampirach, nie o siostrach ginących w pożarze, ani o wizjach Mirandy. Shane poruszał wszystkie, zdaniem Claire, klasyczne tematy facetów: dyskutowali, czy Superman poradziłby sobie z Batmanem („klasycznym Batmanem czy wrednym Barmanem?”), o filmach, które lubili, filmach, których nie cierpieli. Claire

próbowała wypytywać go o książki. Klasyków raczej nie znał, no ale kto ich zna? Ona znała, ale przecież była wybrykiem natury. Lubił horrory. To też ich łączyło.

Wydawało się, że w tym niewielkim pokoju czas nie płynie. Rozmowa toczyła się jakby sama, aż wreszcie zaczęła zwalniać tempo, w miarę jak biegły minuty i godziny. Claire zrobiło się chłodno i sennie, więc ściągnęła pled z oparcia stojącego obok fotela, owinęła nim sobie ramiona i zaraz zasnęła, siedząc na podłodze, oparta plecami o sofę, na której leżał Shane.

Drgnęła i obudziła się, kiedy sofa skrzypnęła, i uświadomiła sobie, że Shane wstaje. Zamrugał, ziewnął, przeczesał palcami włosy (od czego nabrały mocno śmiesznego wyglądu), a potem zerknął na zegarek.

–O Boże, jak wcześnie – jęknął. – Do diabła. No cóż, przynajmniej pierwszy sobie zajmę łazienkę. Claire poderwała się na nogi.

–A która jest?

–Dziewiąta – odparł i znów ziewnął. Claire przechyliła się przez niego, nacisnęła ukryty

guzik, pędem minęła go w drodze do drzwi, ledwie pamiętając, żeby po drodze odłożyć pled. – Hej! Zająłem łazienkę! Serio mówię!

Łazienką się nie przejmowała tak jak tym, że zostanie przyłapana. Przecież spędziła całą noc z chłopakiem. Chłopakiem, który pił. Stwierdziła, że to wszystko mocno niezgodne z domowymi zasadami i Michael dostałby szału, gdyby się dowiedział. Ale może... Może Michael był zbyt wytrącony z równowagi tym, co opowiadała Miranda, żeby się przejmować. Bo przecież, musiała to przyznać, Miranda świetnie

wiedziała, co mówi.

Tyle że nie znała imienia.

W świetle dnia Michael wrócił do swojej niewidzialnej postaci, więc przynajmniej nie musiała się martwić tym, że na niego wpadnie... Musiała jednak zdecydować, co zrobi ze szkołą. To był najgorszy tydzień w jej studenckiej karierze i miała uczucie, że nie będzie lepiej, o ile sama nie zacznie działać. Shane zawarł pakt z diabłem; trzeba to wykorzystać, dopóki nie znajdzie jakiegoś sposobu, żeby można się było z niego wycofać. Monica i jej

przyjaciółki dadzą jej spokój – na pewno nie będą jej próbowały zabić. Nie było więc żadnego powodu, dla którego nie mogłaby się wybrać do biblioteki.

Złapała ciuchy i wpadła do łazienki w tej samej chwili, kiedy rozziewany Shane dopiero wyłaził z ukrytego pokoju.

–Ale ja sobie zaklepałem! – powiedział i zaczął pukać do drzwi. – Kurczę, dziewczyny nie potrafią przestrzegać reguł...

–Przepraszam, ale muszę się szykować! – W rekordowym

tempie zrzuciła wczorajsze ciuchy i wskoczyła pod prysznic. Te dżinsy naprawdę trzeba było uprać i została jej już tylko ostatnia czysta zmiana bielizny.

Claire szybko się umyła, z nadzieją, że wodoodporny plaster, który przyklejono jej na plecach, wytrzyma (wytrzymał). Nie minęło pięć minut, a przeczesywała wilgotne włosy i mijała Shane'a, bez tchu biegnąc po plecak i wpychając do niego książki.

–A gdzie ty się wybierasz, cholera? – zapytał w drzwiach. Już nie był zaspany. Zapięła

plecak, zarzuciła go na to ramię, które nie bolało, i obróciła się do niego bez słowa. Opierał się o framugę drzwi, ze skrzyżowanymi ramionami. – Nie, no ty chyba żartujesz. Co tobie jest, śmierci szukasz? Naprawdę znów chcesz zlecieć ze schodów lub zostać oblana kwasem?

–Zawarłeś układ. Nie będą mnie prześladować.

–Nie bądź głupia. Zdaj się na ocenę eksperta. Naprawdę myślisz, że one nie zdołają tego obejść? Podeszła do niego i spojrzała mu prosto w twarz.

Wydawał się niemożliwie wysoki. Był też potężny i stał jej na drodze. Ale jej było wszystko jedno.

–Zawarłeś układ, a ja idę do biblioteki – powiedziała. – Proszę cię, zejdź mi z drogi.

–Prosisz? Do diabła, dziewczyno, musisz nauczyć się wściekać albo... Pchnęła go. Głupi gest, on miał przecież dość siły, żeby w ogóle nie ruszyć się z miejsca, ale zaskoczenie podziałało na jej korzyść, więc stracił równowagę i cofnął się o kilka kroków. Natychmiast

wypadła na korytarz i pobięła przed siebie, z butami w ręku. Nie miała zamiaru dać mu kolejnej szansy na zatrzymanie jej.

–Hej! – Dogonił ją, złapał za ramię i obrócił w swoją stronę. – Myślałem, że mówiłaś, że nie...

–Po zmroku – przypomniała mu i obróciła się, żeby ruszyć na dół po schodach. On ją puścił... a ona się potknęła. Na przerażającą sekundę straciła równowagę, chwiejąc się na krawędzi schodów, a potem silne ręce Shane'a otoczyły jej ramiona i pomogły jej stanąć pewnie na

nogach.

Trzymał ją tak przez kilka chwil. Nie obracała się, bo gdyby to zrobiła, a on nadal by jej nie puszczał, to kto wie czy...

Nie wiedziała, do czego by doszło.

–Na razie – wykrztusiła i zeszła na dół tak szybko, jak tylko odważyła się na drżących nogach.

Poranek był gorący jak wewnątrz tostera i tylko nie pachniał smacznie jedzeniem; na ulicach pojawiło się kilka osób. Jakaś

kobieta pchała dziecinnie wózek i Claire przez sekundę, siadając na progu, żeby włożyć swoje zniszczone buty do biegania, zastanawiała się nad tym ze zdziwieniem. Mieć dzieci w takim mieście? Co ci ludzie sobie myślą? Ale pewnie wszędzie mają dzieci, niezależnie jak okropnie tam jest. A na szczupłym nadgarstku kobieta miała bransoletkę.

Więc dziecko było bezpieczne, przynajmniej do osiemnastego roku życia.

Claire zerknęła szybko na swój

**własny, goły nadgarstek,
zadygotała i wypchnęła te myśli z
głowy, kierując się w stronę
kampusu.**

**Teraz, kiedy zwracała na to
uwagę, widziała, że niemal każdy
mijany człowiek nosił coś na
nadgarstku – kobiety bransoletki,
mężczyźni zegarki na pasku. Nie
wiedziała, jak wyglądają symbole.
Musiała znaleźć ten ich alfabet,
może ktoś robił jakieś badania i
umieścił go w jakimś bezpiecznym
miejscu... Gdzieś, gdzie wampiry
by go nie szukały.**

Tak czy inaczej, zawsze

najbezpieczniej czuła się w bibliotece. Poszła tam od razu, rozglądając się przez ramię za Monicą, Giną, Jennifer czy każdym, kto by się nią choć trochę zainteresował. Ale nikt się nie interesował.

Biblioteka uniwersytecka była wielka. I pełna kurzu. Nawet bibliotekarze za kontuarem wyglądali, jakby od czasu jej ostatniej wizyty przybyło im po parę pajęczyn. Kolejny dowód, o ile jeszcze takiego potrzebowała, że TPU to przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, uczelnia dla imprezowiczów.

Sprawdziła rozkład regałów i przekonała się, że w Morganville królował system dziesiętny Deweya, co trochę ją zdziwiło, bo myślała, że wszystkie uczelnie przeszły już na system Biblioteki Kongresu. Przeszukała listę, chcąc znaleźć odpowiednie działy i przekonała się, że znajdują się w suterenie.

Super.

Ale kiedy już odchodziła od planu biblioteki, przekrzywiła głowę i jeszcze raz spojrzała na listę regałów. Było w niej coś dziwnego. Nie bardzo umiała

stwierdzić co...

Brakowało trzeciego piętra. Przynajmniej na liście, gdzie system pana Deweya przeskakiwał prosto z drugiego piętra na czwarte. Może tam są biura, pomyślała. Albo pomieszczenia magazynowe. Albo dział pocztowy. Albo... trumny.

To było jednak zdecydowanie dziwne.

Ruszyła po schodach do sutereny, ale potem przystanęła i spojrzała w górę. To była staroświecka klatka schodowa, z

masywnymi drewnianymi poręczami, zakręcającymi pod precyzyjnie prostymi kątami przez całą drogę aż pod dach.

A co u diabła, pomyślała. To przecież tylko parę pięter. Zawsze może udać, że się zgubiła.

Kiedy minęła parter, nie słyszała już ani nie widziała nikogo. Cicho tu, pomyślała niechętnie, jak w grobie. Próbowwała niepostrzeżenie wejść na górę i przestała trzymać się poręczy, kiedy zobaczyła, że zostawia na niej zdradliwe ślady spoconej dłoni. Minęła drewniane drzwi

pierwszego piętra, a potem drugiego. Nikogo nie zobaczyła przez czystą szklaną szybę drzwi.

Na trzecim piętrze w ogóle nie było drzwi. Claire przystanęła zaskoczona i dotknęła muru. Nie widziała, żadnych drzwi, żadnych sekretnych przejść. Po prostu lita ściana. Czy to możliwe, że trzeciego piętra zwyczajnie nie ma?

Poszła wyżej na czwarte, przeszła pomiędzy zakurzonymi regałami do drugiej klatki schodowej i zaczęła schodzić. Po tej stronie drzwi były, ale

zamknięte i nie było w nich szyby.

**Zdecydowanie żadne biura,
stwierdziła.**

**Ale trumien też nie można było
wykluczyć. Choroba, nie
podołała jej się, że ogarnia ją lęk
w bibliotece! Książki nie powinny
przerażać. One powinny...
pomagać.**

**Gdyby była jakąś
superbohaterką, na pewno
umiałaby ten zamek otworzyć
choćby paznokciem. Niestety,
superbohaterką nie była, a
paznokcie ogryzała.**

**Nie, superbohaterką z niej
żadna, ale za to miała inne zalety.
Była... zaradna.**

**Stała tam i wpatrując się w
zamek drzwi, zaczęła się lekko
uśmiechać.**

**–Nauka stosowana – powiedziała
i zbiegła na parter. Musiała
zajrzeć na chwilę do laboratorium
chemicznego.**

**Jej asystent był w swojej
pracowni.**

**–No cóż – stwierdził spokojnie –
jeśli naprawdę chcesz rozwalić**

jakiś zamek, to potrzebujesz czegoś porządnego, na przykład płynnego helu. Ale płynny hel jest trudny w transporcie.

–A freon? – spytała Claire.

–Nie, tego gazu nie dostaniesz bez specjalnego zezwolenia. Na rynku jest dostępny inny związek, który nie ochładza się tak mocno, ale jest bardziej przyjazny dla środowiska. Pewnie jednak nie dałby sobie rady z takim zadaniem.

–Płynny azot?

–Ten sam problem co z helem. Za dużo miejsca zajmuje. Claire westchnęła.

–Szkoda. To był fajny pomysł. Asystent się uśmiechnął.

–Owszem. Wiesz, mam przenośny pojemnik z płynnym azotem, który trzymam do demonstracji na zajęciach, ale trudno taki zdobyć. Jest dość drogi. Czegoś takiego nie znajdziesz byle gdzie. Przykro mi.

–Oszedł, zajęty jakimś doświadczeniem w ramach studiów podyplomowych i z

miejsca o niej zapomniał.

Przygryzła wargę, przez chwilę gapiała się na jego plecy, a potem powoli... bardzo powoli podeszła do drzwi prowadzących do pomieszczenia z odczynnikami. Były otwarte. Czerwone i żółte znaki nad drzwiami ostrzegały, że dostanie raka, udusi się albo zginie jakąś inną straszną śmiercią, jeśli otworzy te drzwi... Otworzyła.

Zaskrzypiały. Asystent musiał to usłyszeć i Claire na moment zastygła jak mysz na widok nadlatującego ptaka. Pełna poczucia winy.

Nie obejrzał się. Widać było, że specjalnie stoi plecami do niej.

Z drzeniem wypuściła wstrzymywany oddech, wsunęła się do środka i rozejrzała.

Pomieszczenie utrzymane było w porządku, wszystkie chemikalia opatrzone nalepkami i wiszącą nad nimi informacją o

bezpiecznym przechowywaniu.

Trzymał odczynniki w porządku alfabetycznym. Znalazła tabliczkę z napisem „płynny azot” i

zobaczyła pękaty, rzucający się w oczy zbiornik... A obok niego mniejszy, zupełnie jak duży termos, z paskiem do zawieszenia

na ramieniu. Złapała go, a potem przeczytała napis na tabliczce: „Stosować rękawice ochronne”. Rękawice też tam leżały. Wsunęła parę do plecaka, pojemnik przewiesiła przez ramię i jak najprędzej się stamtąd wyniosła.

Bibliotekarze nawet na nianie spojrzeli uważniej. Pomachała do nich ręką, uśmiechnęła się i poszła pomiędzy regałami aż do tylnej klatki schodowej.

Drzwi wyglądały tak samo jak przedtem. Wciągnęła rękawice, otworzyła pojemnik i przekonała się, że była tam jakaś szklana

pipeta, która pasowała do otworu w pojemniku. Zamocowała ją porządnie, a potem odkręciła zawór, wstrzymała oddech i zaczęła wlewać niesłychanie zimną substancję do zamka. Nie była pewna, ile ma jej użyć, ale lepiej za dużo niż za mało, uznała, więc wlewała, póki zamek z zewnątrz zupełnie nie pokrył się szronem. Wtedy zamknęła zawór i, pamiętając, żeby nie zdejmować rękawic, szarpnęła za gałkę drzwi.

Trzask! Zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu. Podskoczyła, rozejrzała się i zdała sobie sprawę, że gałka poruszyła się

pod jej ręką.

Otworzyła drzwi.

Teraz pozostało już tylko wejść do środka... Ale kiedy mogła już to zrobić, nagle przestało jej się wydawać, że to taki świetny pomysł.

Bo... trumny. Albo coś gorszego.

Claire odetchnęła kilka razy dla uspokojenia, otworzyła drzwi i ostrożnie zajrzała do środka.

Wyglądało to jak jakiś magazyn. Teczki z papierami. Stosy

**kartonów i drewnianych skrzyń.
Żadnych ludzi na widoku.
Świetnie, pomyślała. Może po
prostu włamałam się do
archiwum. Ale i tak na wszelki
wypadek schowała rękawice do
plecaka.**

**Kartony wydawały się nowe, ale
ich zawartość – kiedy rozsuptała
sznurek obwiązujący jeden z nich
– okazała się stara. Rozsypujące
się książki, źle przechowywane.
Stare listy i papiery w językach,
których nie umiała przeczytać.
Niektóre wyglądały jak
przodkowie angielszczyzny.
Zajrzała do następnego pudła. To**

samo. Pomieszczenie było wielkie i pełne takich pudeł.

Książka, pomyślała. Oni szukają książki. Każda znaleziona przez nich stara książka trafia tutaj i zostaje zbadana. Teraz, kiedy im się przyglądała, zauważyła, że część drewnianych skrzyń nosi niewielki czerwony znak „X” – czy to znaczy, że zawartość została sprawdzona? I jeszcze jakieś inicjały. Więc ktoś za to wszystko odpowiadał.

A to znaczy... że ktoś tutaj pracuje.

Zaledwie zdążyła sformułować tę myśl, kiedy dwie osoby wyszły z labiryntu pudeł na wprost niej. Nie spieszyły się i nie sprawiały wrażenia wystraszonych.

Wampiry. Nie wiedziała, skąd to wie – raczej nic nie wskazywało na to, że były wampirami – ale sposób w jaki się poruszały, lekko i pewnie, wrzeszczał do jej umysłu: drapieżnik!.

–No cóż – powiedziała niewysoka jasnowłosa dziewczyna. – Rzadko miewamy tu gości. – Pomijając bladość twarzy i błysk w oczach, wyglądała tak samo jak setki innych dziewczyn na Kwadracie.

Ubrana na różowo. W jakiś sposób ten kolor wydawał się nieodpowiedni dla wampirzycy.

**–Zabłądziłaś, kochanie? –
Mężczyzna był wyższy, miał ciemniejsze włosy i wyglądał naprawdę dziwnie... Jakby faktycznie nie żył. Zdała sobie sprawę, że to z powodu odcienia skóry. Był Murzynem. I jako wampir zbladł; nie tyle zbiełał, co przybrał kolor szarego popiołu. Miał na sobie fioletowy T – shirt TPU, szare spodnie i buty do biegania. Gdyby był człowiekiem, pomyślałaby, że jest stary – przynajmniej na tyle, żeby być tu**

profesorem.

Rozdzielili się i zaczęli ją zachodzić z obu boków.

–A do kogo ty należysz, malutka? – zamruczała różowa dziewczyna i zanim Claire zdołała uruchomić szare komórki, wzięła ją za lewą rękę i obejrzała goły nadgarstek. A potem po patrzyła na prawy. – Ojej, ty się naprawdę zgubiłaś, słoneczko. John, co z tym zrobimy?

–Hm – mruknął John i przyjacielskim gestem położył rękę na ramieniu Claire.

Wydawała się zimniejsza niż pojemnik z płynnym azotem, który miała przewieszony przez plecy.

–Powinniśmy usiąść i napić się dobrej kawy. Opowiemy ci o wszystkim, co tu robimy. Bo tego właśnie chciałaś się dowiedzieć, prawda? Dzieci takie jak ty są jednak okropnie ciekawskie. – Prowadził ją przed siebie, a Claire wiedziała, po prostu wiedziała, że każda próba wyrwania się skończy się bólem. I być może połamanymi kośćmi.

Różowa Dziewczyna nadal trzymała ją za drugi nadgarstek.

Chłodne palce przyciskała do miejsca, gdzie bił puls Claire. Muszę się z tego jakoś wyplątać i to szybko, pomyślała.

–Wiem, po co tu jesteście – oznajmiła. – Szukacie książki. Ale mnie się wydawało, że wampiry nie mogą jej przeczytać.

John przystanął i zerknął na swoją towarzyszkę, która w odpowiedzi uniosła blade brwi.

–Angela? – spytał.

–Nie możemy – powiedziała. – Jesteśmy tu tylko jako...

obserwatorzy. A ty masz sporą wiedzę jak na dziecko bez przy należności. Poniżej osiemnastki, prawda? Nie powinnaś być czasem pod czyjąś Ochroną? A twoja rodzina?

–Wydawała się szczerze zatroskana. To było dziwne.

— Jestem studentką – powiedziała Claire. – Dostałam się na studia wcześniej.

— Aha – powiedziała Angela. Minę miała, jakby czegoś żałowała. – No to chyba jesteś zdana sama na siebie. Szkoda,

naprawdę.

— Bo mnie zabijecie? – Claire usłyszała własny głos jak przez sen i przypomniała sobie to, co powiedziała jej Eve. Nie patrz im w oczy. Za późno. Oczy Angeli miały kolor bladego turkus, były bardzo ładne. Claire poczuła, że ogarnia ją bardzo przyjemne uczucie, jakie ogarnia człowieka, kiedy zaczyna zapadać w sen.

— Być może – przyznała Angela. – Ale najpierw powinnaś napić się herbaty.

— Kawy – powiedział John. –

Nadal lubię kofeinę.

— To psuje smak!

— Ale daje kopa. – John oblizał wargi.

— Dlaczego nie pozwolicie mi przejrzeć tych pudeł – spytała Claire, rozpaczliwie broniąc się przed tym czymś, na skraju czego się znalazła. Wampiry prowadziły ją przez labirynt pudeł i skrzyń, wszystkich oznaczonych czerwonymi iksami i inicjałami. – Przecież musicie korzystać przy tym z pomocy ludzi, prawda? Skoro nie możecie przeczytać tej

książki?

**–A co ci każe uważać, że ty ją
zdołasz odczytać, moja malutka?**

**– spytała Angela. – Miała taki
miękki akcent, niezupełnie
kalifornijski, niezupełnie z okolic
Środkowego Zachodu, nie do
określenia. Stary. Brzmiał staro. –
Czy uczysz się też języków?**

**— N – nie, ale znam symbol,
którego szukanie. Umiem go
rozpoznać.**

**–Angela wyciągnęła rękę i lekko
przesunęła paznokciami po
przedramieniu Claire od**

wewnętrznej strony. Zamyśliła się.

–Nie, nie mam tatuażu. Ale widywałam go. – Trzęsła się z przerażenia, ale jej szare komórki pracowały pełną parą, szukając wyjścia z sytuacji. – Umiem go rozpoznać. Wy nie, prawda? Wy go nawet nie potraficie narysować.

Angela lekko wbiła jej paznokcie w skórę, ostrzegawczo.

–Nie pyskuj, malutka. Z nas raczej nie powinnaś sobie kpić.

–I nie kpię. Nie widzicie go.

**Dlatego nie możecie go zna leżć.
Przecież to nie tak, że nie umiecie
czytać, prawda?**

**Angela i John znów wymienili
porozumiewawcze spojrzenia.
Claire z trudem przełknęła ślinę,
próbując wymyślić coś, co okaże
się dobrym argumentem przeciw
ugryzieniu jej (Może jeśli nie będę
chciała się napić ani kawy, ani
herbaty?) i udało się jej nawet
pomyśleć o tym, jak wkurzy się
Shane, jeśli ona da się zabić. Na
kampusie. W biały dzień.**

**Wampiry skręciły za rząd pudeł,
a tam, na wolnej przestrzeni,**

znalazły się drzwi, które nie prowadziły na żadną ze znanych jej klatek schodowych, drzwi windy z guzikiem z napisem „dół”, poobijane typowe szkolne biurko i krzesło, i...

–Profesor Wilson? – wyrwało jej się. Podniósł wzrok, mrugając za szklami okularów. Chodziła do niego na wykłady z klasycznej literatury angielskiej (we wtorki i czwartki o drugiej), i chociaż okropnie nudził, na swoim przedmiocie się znał. Miał taki wyblakły wygląd – rzednące siwe włosy, bladoszare oczy – i skłonność do ubierania się w

kolory, które go jeszcze bardziej odbarwiały. Dzisiaj włożył białą koszulę i szarą marynarkę.

–Ach, ty jesteś... – Ze dwa czy trzy razy strzelił palcami.

–Na moim wstępie do Szekspira...

–Klasyczna angielska.

–A, racja, właśnie. Czasem zmieniają nazwę, żeby ogłupić studentów i namówić do odbycia kursu jeszcze raz. Neuberg, tak?

– W oczach miał przerażenie. – Zaraz, zostałeś tu wyznaczona do

pomocy, tak?

–Ja... – Olśniło ją. Może niezłym pomysłem będzie za pomnieć teraz o mylnych pierwszych wrażeniach. – Owszem. Przez... panią Samson. – Pani Samson trzęsła całym instytutem literatury angielskiej. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt nie kwestionował jej władzy. Jeśli chodzi o wymówki, ta była wyjątkowo słaba, ale lepszej nie miała. – Szukałam pana.

–I drzwi były otwarte? – spytał John, zerkając na nią. Claire nie odrywała wzroku od profesora

Wilsona, który raczej nie mógł jej zahipnotyzować tak, żeby nie mogła kłamać.

–Tak – powiedziała pewnie. – Były otwarte. – Jedyna dobra rzecz, że przynajmniej pojemnik, który miała zawieszony na plecach wyglądał jak coś, co może nosić student uniwersytetu, termos z zupą czy z kawą, czy coś takiego. I raczej nie wyglądał jak sprzęt do otwierania zamkniętych zamków. Do tej pory płynny azot już wyparował w powietrzu i wszystkie ślady musiały zniknąć.

Taką miała nadzieję.

–No cóż – mruknął Wilson i spojrzał na nią, marszcząc brwi. – Lepiej siadaj i bierz się do roboty, Neuberg. Mamy mnóstwo do zrobienia. Wiesz, czego szukamy?

–Tak, panie profesorze. – John puścił jej ramię. Po sekundzie niechętnego ociągania, Angela też ją puściła, a Claire weszła za biurko, przysunęła sobie drewniane krzesło i ostrożnie postawiła plecak i pojemnik z azotem na podłodze.

–Kawy? – spytał John z nadzieją.

–Nie, dziękuję – odparła grzecznie i wzięła do ręki pierwszą książkę ze stosu.

Praca była nawet ciekawa, co ją zaskoczyło, a im dłużej przebywała w towarzystwie wampirów, tym mniej ją przerażały. Angela ciągle się wierciła, bez przerwy stukiała nogą, niespokojnie splatała włosy w warkocz albo ustawiała prosto stosy książek. Wydawało się, że wampiry mają za zadanie tylko ich obserwować; kiedy profesor Wilson i Claire kończyli przeglądać kolejną górę książek, wampiry zabierały ją, chowały do

pudeł i przynosiły następny stos do sprawdzenia.

**–A skąd to się tu wzięło? –
zdziwiła się na głos Claire i
kichnęła, otwierając książkę z
napisem: „Księgi wieczyste
hrabstwa Atascosa”, wypełnione
starym, schludnym charakterem
pisma. Nazwy, daty, pomiary. Nic
takiego, czego by szukali.**

**–Zewsząd – powiedział profesor
Wilson i zamknął przeszukiwaną
książkę. – Z antykwariatów. Z
księgarni. Od dilerów
księgarskich. Na całym świecie
mają swoją sieć i wszystko trafia**

tutaj na inspekcję. Jeśli nie jest tym, czego szukają, zostaje odesłane z powrotem. Słyszałem, że nawet na tym zarabiają. – Odchrząknął i spojrzał na książkę, którą skończył przeglądać. – John? To pierwodruk Lewisa Carrolla. Chyba trzeba to odłożyć na bok.

John posłusznie wziął książkę i położył ją na stos, gdzie najwyraźniej składano książki „rzadkie i cenne”.

–Jak długo pan profesor się tym zajmuje? – spytała. Miał zmęczoną minę.

–Siedem lat – odparł. – Cztery godziny dziennie. Ktoś nie długo przyjdzie, żeby nas zmienić. Nas, czyli uda jej się jakoś stąd wyjść. No cóż, to miło. Miała nadzieję, że zdoła przynajmniej wsunąć profesorowi jakąś karteczkę, coś takiego jak: „Jeśli znajdziecie moje ciało, to zostałam zabita przez różową lalkę w bibliotece”, ale miała wrażenie, że brzmiałoby to nieco przesadnie, zupełnie jak tekst z jednej z tych gier planszowych, które tak lubili jej rodzice.

–Nie gadać w klasie – powiedział John i się roześmiał. A przy tym

**pokazał kły. Były dłuższe niż u
Brandona i wyglądały jakoś tak
bardziej przerażająco. Claire z
trudem przełknęła ślinę i skupiła
się na książce przed sobą. Na
okładce było napisane: *Rodzime
zboża Nowego Świata*. Cała
książka o zbożach. Rany. Ciekawa
była, jak profesor Wilson zdołał tu
przez te siedem lat nie zwariować.
„Kukurydza należy do rodziny
traw i występuje naturalnie na
obu kontynentach Ameryki...”
Przejrzała książkę. Jeszcze więcej
informacji o kukurydzy. Nie miała
pojęcia, że aż tyle da się napisać
o jednej roślinie.**

Obok niej profesor Wilson cicho zaklął pod nosem, a ona uniosła głowę zaskoczona. Twarz mu zbladła, pomijając dwie czerwone plamy wysoko na policzkach. Szybko udał, że się uśmiecha i uniół palec z czerwoną kreską.

–Zaciąłem się papierem – powiedział. Jego głos był wysoki i spięty, i Claire poszła za jego wzrokiem. Angela i John wyciągnęli szyje, obserwując palec profesora z dziwną koncentracją. – To nic, to nic takiego. – Pogrzebał w kieszeni, wyjął z niej chusteczkę i owinął nią zakrwawiony palec. Próbując

się tym zająć, strącił przegładaną książkę z biurka na podłogę.

Claire odruchowo pochyliła się, żeby ją podnieść, ale Wilson przysunął ją nogą w swoją stronę i usunął spoza zasięgu jej rąk. A potem pochylił się i w półmroku pod biurkiem... podmienił książki.

Claire patrzyła na to z otwartymi ustami. Co on, do diabła, ćwiczył? Zanim zrobiła coś głupiego, co mogłoby ich zdradzić, w pomieszczeniu rozległ się dzwonek windy, a potem szuranie otwieranych drzwi.

–Ach – powiedział profesor

Wilson z wyraźną ulgą. – No to czas się zbierać. – Wyciągnął rękę, podniósł ukrytą książkę i wsunął ją do skórzanej aktówki z taką wprawą, że Claire nie miała pewności, czy jej się to wszystko nie przywidziało. – Neuberg, idziemy.

–Ona nie idzie – powiedział John i uśmiechnął się pogodnie. – Zostanie jeszcze po lekcjach.

–Ale... – Claire zagryzła wargi i rozpaczliwie poszukała wzrokiem oczu profesora, który zmarszczył brwi i zaczął prze – stępować z nogi na nogę. – Panie profesorze,

nie mogę iść z panem? Bardzo proszę?

–Oczywiście, że możesz – powiedział. – Chodź, mówiłem już. Panie Hargrove, jeśli coś panu nie odpowiada, proszę to przedyskutować z zarządem. Ja mam teraz zajęcia.

Być może udałoby mu się, gdyby Angela nie miała tak ostrego wzroku albo nie była taka podejrzliwa. Zatrzymała go wpół drogi do windy, otworzyła aktówkę i wyjęła książkę, którą tam schował. Przejrzała ją w milczeniu, a potem podała ją

Johnowi, który zrobił to samo.

Oboje spojrzeli na profesora spokojnymi, chłodnymi, dziwnie zadowolonymi oczami.

–No cóż – powiedziała spokojnie Angela. – Ja tam nie wiem, ale wygląda mi to na jawne naruszenie zasad, profesorze. Wynoszenie książek z biblioteki przed ich uprzednim spisaniem. Wstyd, wstyd.

Powoli otworzyła książkę na pierwszej stronie i przeczytała: – „To były zarazem najlepsze i najgorsze czasy...” – a potem

przejrzała uważnie książkę, zatrzymując się tu czy tam, żeby odczytać jakąś linijkę tekstu. Dla Claire brzmiało to zupełnie jak trzeba. Ale drgnęła, kiedy Angela podsunęła książkę pod jej nos. – Czytaj – powiedziała wampirzyca.

–Hm... Od którego miejsca?

–Wszystko jedno. Claire drżącym głosem przeczytała parę zdań ze strony 225.

–*Opowieść o dwóch miastach* – powiedział John. – Niech zgadnę, panie profesorze... Pierwsze wydanie?

**–W idealnym stanie –
powiedziała Angela i wyłuskała
książkę z drżących palców Claire.
– Zdaje się, że pan profesor
uzbierał sobie niezły fundusz
emerytalny, okradając nas z
należnych nam zysków.**

**–Hm – powiedział John. – A nie
wyglądał na aż tak głupie go.
Wszystkie te stopnie naukowe...**

**–Oni są bystrzy tylko na
papierze. Ale tak naprawdę nie
wiadomo, co mają w głowach,
dopóki się takiej głowy nie
rozłupie. – Oboje rozmawiali ze
sobą, jakby nawet go przy tym nie**

było.

Błada skóra profesora Wilsona zaczęła się lekko błyszczyć od potu.

**–Chwila słabości – powiedział. –
Przepraszam z całego serca. To się już nigdy nie powtórzy,
przysięgam.**

**–Przeprosiny przyjęte –
powiedziała Angela i skoczyła w
jego stronę. Pchnęła go dłonią w
klatkę piersiową i obaliła na
ziemię. – A tak przy okazji, wierzę
panu.**

Złapała go za nadgarstek, podniosła jego rękę do ust, zerwała z niej złoty zegarek na pasku i rzuciła na podłogę. Kiedy na nią spadł, przerażone oczy Claire zarejestrowały symbol na cyferblacie zegarka. Trójkąt. Delta?

Ocknęła się z szoku, słysząc krzyk profesora. Dorośli mężczyźni nie powinni tak krzyczeć. Tak po prostu nie wolno. Ze strachu wpadła w gniew. Upuściła na ziemię torbę z książkami, błyskawicznie ściągnęła z ramienia pojemnik i zerwała zakrętkę.

A potem poliała płynnym azotem plecy Angeli. Kiedy John zwrócił się w jej stronę, szczerząc kły, resztą azotu oblała mu twarz, celując w oczy. Wilson zerwał się na nogi, a Angela padła na ziemię i zaczęła się rzucać, wrzeszcząc niemiłosiernie. John próbował złapać profesora, ale mu się nie udało. Wilson porwał swój ą aktówkę, a ona torbę z książkami, rzucili się biegiem do windy. Jakiś bardzo zdziwiony profesor – ktoś, kogo nie umiała rozpoznać – stał tam z otwartymi ustami; Wilson wrzasnął do niego, żeby mu zszedł z drogi i nacisnął guzik

„dół” tak gwałtownie, że Claire wystraszyła się, że się zepsuje albo zatnie.

Drzwi zamknęły się i winda zaczęła zjeżdżać. Claire usiłowała uspokoić oddech, ale nie mogła; czuła, że zaraz zacznie hiperwentylować. Mimo to czuła się lepiej niż profesor. Wyglądał okropnie, twarz miał tak samo szarą jak włosy i oddychał płytkimi haustami, z trudem.

–O Boże – powiedział. – Niedobrze to wyszło. A potem powoli osunął się po ścianie windy, aż usiadł, bezładnie

rozkładając nogi na boki.

–Panie profesorze? – Claire przykucnęła i pochyliła się nad nim.

**–Serce – wysapał, a potem się zakrztusił. Rozluźniła mu krawat. Chyba nic to nie dało. –
Posłuchaj. Mój dom. Regał na książki. Czarna okładka. Idź.**

–Panie profesorze, spokojnie, wszystko będzie dobrze...

–Nie. Nie mogę pozwolić, żeby ją dostali. Regał. Czarna... Oczy szeroko mu się otworzyły, plecy

wygięły w łuk, usłyszała, że wyrwało mu się jakieś straszne rżenie, a potem...

Potem po prostu umarł. Nie było w tym nic dramatycznego, żadnych wielkich mów, muzyki wzbierającej falą, żeby wiedziała, jak ma się poczuć. On po prostu... odszedł i chociaż przycisnęła drżące palce do jego szyi, wiedziała, że nic nie wyczuje, bo coś się stało. Zrobił się jak gumowa lalka, nie jak żywy człowiek.

Drzwi windy się otworzyły. Claire złapała oddech, chwyciła swoje

książki i pusty srebrzysty pojemnik, a potem rzuciła się biegiem przez korytarz o ścianach z pustaków aż do samego końca, gdzie drzwi ewakuacyjne wypuściły ją na jasne, słoneczne popołudnie.

Stała tam kilka długich sekund, trzęsąc się, z trudem chwytając powietrze i płacząc, a potem spróbowała pomyśleć, dokąd ma pójść. Angela i John myśleli, że nazywa się Neuberg, i bardzo dobrze – nieco gorzej dla tej Neuberg, o ile faktycznie istniała – ale koniec końców dowiedzą się, kim naprawdę jest. Musiała

dotrzeć do domu, zanim to się stanie.

Regał na książki. Czarna okładka.

Profesor Wilson pracował w tamtym pomieszczeniu od siedmiu lat, przeglądał książki. Pewnie wynosił te, które wydawały mu się coś warte na czarnym rynku.

A co, jeśli...?

Nie. To niemożliwe.

Ale... Co, jeśli tak? Jeśli rok czy

pięć lat temu profesor Wilson rzeczywiście znalazł książkę, którą wampiry tak bardzo chciały odzyskać i zdecydował się schować ją na czarną godzinę? Przecież ona w sumie planowała zrobić dokładnie to samo, tyle że dla niej ta czarna godzina już nadeszła.

Potrzebowała jego adresu. Miała niedaleko do wydziału humanistycznego i pobiegła tam tak szybko, jak tylko się dało, zanim ból nogi i pleców zmusił ją, żeby zwolniła kroku. Pokonała dwa piętra i znalazła się w części biurowej, gdzie minęła zamknięty

pokój profesora Wilsona i zatrzymała się przy zawalonym papierami biurku stojącym na otwartej przestrzeni na skrzyżowaniu korytarzy. Na tabliczce na biurku było napisane: „Vivian Samson”, ale wszyscy nazywali ją po prostu Smoczycą. Kobieta siedząca za biurkiem zasłużyła sobie na tę ksywkę. Była stara, gruba i słynęła z paskudnego charakteru. W żadnym z budynków uniwersyteckich nie pozwalano palić, ale Smoczycą miała w rogu biurka przepelnioną popielniczkę i z kącika jej pomalowanych

**czerveną szminką ust zwisał
żarzący się papieros. Włosy
nosiła uczesane „w kask”,
zupełnie jak w starych filmach. Na
biurku stał komputer, ale nie był
włączony, i sądząc po tych
długich na pięć centymetrów,
czerwonych szponach, Smoczyca
pisać na klawiaturze raczej nie
umiała.**

**Zignorowała Claire i nadal
czytała czasopismo, które miała
otwarte przed sobą.**

**–Przepraszam? – zagadnęła
Claire. Była spocona po biegu w
upale i wciąż robiło jej się**

niedobrze po przejściach w bibliotece. Smoczyką przewróciła stronę pisma. – Chciałam tylko...

–Mam przerwę. – Dłoń o czerwonych pazurach wyjęła papierosa z czerwonych ust i przeniosła nad popielniczkę, żeby strzepnąć nadmiar popiołu. – Nie powinno mnie tu dzisiaj nawet być. Cholerni podyplomowi. Wróć za pół godziny.

–Ale...

–Żadnych ale. Mam przerwę. Sio mi stąd.

–Ale profesor Wilson wysłał mnie, żebym przyniosła coś z jego domu, tylko nie podał mi adresu. Bardzo proszę...

Głośno zamknęła czytane pismo.

–Och, na litość boską, kark mu skręcę, kiedy się tu pokaże. Trzymaj. – Wyrwała jakąś karteczkę z uchwytu na wizytówki i rzuciła Claire, piorunując ją wzrokiem. – Jeśli jesteś jakąś wariatką, mnie nic do tego. Powiedz Jego Wysokości, że jeśli chce bzykać dziewczuszki przed licencjatem, to niech, do cholery, od tej pory pamięta, że sam ma im

podawać swój własny cholerny adres. Dotarło?

–Dotarło – powiedziała Claire bardzo grzecznie. Bzykać dziewczuszki przed licencjatem... Nie, o tym nie będzie myślała. W ogóle. – Dziękuję pani.

Smoczyca wydmuchała strużkę dymu z obu nozdrzy i uniosła brwi wyskubane w coś, co brwi już tylko nieznacznie przypomniało.

–Jaka dobrze wychowana. No, zmykaj stąd, zanim sobie przypomnę, że w ogóle dzisiaj nie powinnam pracować. Claire

**zwała, ściskając w spoczonej dłoni
wizytówkę.**

Rozdział 13

Wiesz co? – powiedział Shane dwadzieścia minut później. – Czułbym się o wiele lepiej w tym związku, gdybyś nie uważała, że jestem facetem, do którego możesz się zwracać, ile razy chcesz się gdzieś włamać.

Stali na werandzie na tyłach domu profesora, a Claire zaglądała przez zakurzoną szybę do równie zakurzonego salonu. Poczowała się nieco winna w sprawie tego włamania – ale faktycznie do niego zadzwoniła – i

dopiero po chwili serce jej zabiło szybciej, bo usłyszała w myślach, że on przecież powiedział „w tym związku”.

Nie śmiała na niego spojrzeć. Przecież nie mogło mu właśnie o to chodzić. Bo to oznaczało, no wiecie, przyjaźń czy jeszcze coś. A on traktował ją jak dziecko. Jak swoją siostrę. On nie... Przecież to niemożliwe...

Jeśli jednak możliwe?

Nie mogła uwierzyć, że myśli o tym teraz, stojąc na progu domu zmarłego człowieka. Wspomnienie

bezwładnego ciała profesora Wilsona pomogło jej dojść do siebie i wreszcie udało jej się odsunąć od okna i spojrzeć Shane'owi w oczy bez dygotania jak jakiś przestraszony wróbelek.

–Eve nie mogłam poprosić – stwierdziła rozsądnie. – Jest w pracy.

–Racja. Popatrz, co to? – Shane wskazał palcem. Obróciła się na pięcie i spojrzała. Za jej plecami rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a kiedy znów się obróciła, Shane otwierał tylne drzwi. – Proszę. Teraz możesz powiedzieć,

**że nie wiedziałaś, że ja to zrobię.
Uwolnić się od zarzutów.**

No cóż, raczej nie. Nadal miała metalowy pojemnik. Zastanawiała się, czy wampiry już wiedzą, co to jest i czy ktoś wpadł na pomysł przepytania asystenta z laboratorium chemicznego. Miała nadzieję, że nie. Był miły, i na swój sposób dzielny, ale nie łudziła się. Wydałby ją w mgnieniu oka. W Morgamdle nie zostało zbyt wielu bohaterów.

Jeden z ostatnich egzemplarzy obejrzał się za siebie w drzwiach i powiedział:

–Wchodzisz czy nie, mała? Dzień mija. Przeszła próg domu profesora Wilsona.

Dziwne to było, naprawdę – widziała, że musiał tu być zaledwie parę godzin temu, że żył swoim życiem, a teraz dom wyglądał tak, jakby na niego czekał. Może zresztą nie tyle dziwne, co smutne. Weszli przez kuchnię, stała tam na suszarce do naczyń miseczka po płatkach, szklanka i filiżanka do kawy. Profesor zjadł przynajmniej śniadanie. Kiedy dotknęła ściereczki leżącej pod suszarką, okazała się jeszcze wilgotna.

–Czego szukamy? – spytał Shane.

–Regałów z książkami – odparła.

–No to znalazłem. – Jego głos zabrzmiał dziwnie. Poszła za nim do przyległego pokoju – salonu – i poczuła, że zaczyna upadać na duchu. Dlaczego o tym nie pomyślała? Przecież to był profesor. Oczywiście, że miał tysiące książek... I stały tam, od podłogi po sufit, na wszystkich ścianach pokoju. Stłoczone. Miejscami ustawione w stosy na podłodze. Poustawiane na stołach. Wydawało jej się, że to

raj dla mola książkowego, ale to...

**–Mamy dwie godziny –
powiedział Shane. – Potem
spadamy. Nie chcę ryzykować
pojawiania się z tobą na ulicy po
zmierchu.**

**Nie mogąc wydobyć słowa,
pokiwała głową i podeszła do
najbliższego rzędu regałów.**

**–Powiedział, że to czarna
okładka. Może to coś pomoże.**

**Ale nie pomogło. Zaczęła
wyciągać wszystkie oprawione na
czarno książki i układać je na**

stole. Shane zajął się tym samym. Zanim spotkali się między regałami, minęła godzina, a stos książek urósł do olbrzymich rozmiarów.

**–Czego my szukamy, do diabła?
– spytał, wpatrując się w książki. Uznała, że odpowiedź: „Nie wiem”, raczej nie wzbudzi jego entuzjazmu.**

–Wiesz, jak wygląda tatuaż na ramieniu Eve?

Shane zachował się, jakby dźgnęła go widelcem w tyłek.

–Szukamy książki? Tutaj?

**–Ja... – Poddawa się. – Nie wiem.
Być może. Warto spróbować.**

On tylko pokręcił głową, a jego mina stanowiła połączenie: „Jesteś szalona” i „Jesteś niesamowita”. Ale to raczej nie był komplement. Podesunęła sobie krzesło i zaczęła przeglądać książki jedna po drugiej.

–Nic... nic... nic.

–Claire. – Shane odezwał się zdławionym głosem. Podał jej książkę oprawną w czarną skórę.

– Zerknij na to.

Ona była zbyt nowa. Szukali przecież starej księgi. A to była... To była Biblia. Z krzyżem na okładce.

–Zajrzyj do środka – powiedział. Otworzyła książkę. Pierwszych parę obrzeżonych złotem stron niczym się nie wyróżniało i zawierało te same znajome słowa, wśród których wy rosła i w które nadal wierzyła. Eve mówiła, że w Morganville zostało parę kościołów? Może odprawiają tam nabożeństwa. Będzie musiała sprawdzić.

W połowie Księgi Wyjścia zobaczyła, że stronice są wycięte w środku, i że w Biblii schowana jest niewielka książeczka. Stara. Bardzo stara. Oprawiona w poplamioną wodą, przybrudzoną skórę, na której wyryty był symbol.

Ten symbol.

Claire wyjęła książeczkę z Biblii i otworzyła ją.

–No i? – spytał Shane po paru sekundach. – Co ty na to?

–To... – przełknęła z trudem. –

To po łacinie.

–No i? Co tam jest napisane?

–Ja nie znam łaciny!

–Żartujesz chyba. Myślałem, że każdy geniusz zna łacinę. Czy to nie jest międzynarodowy język jajogłowych?

Podniosła jakąś książkę, nawet na niego nie patrząc i rzuciła w niego. Uchylił się. Książka wylądowała na podłodze. Claire przerzucała strony niewielkiego tomiku. Zapisany był wyblakłym, zrudziałym atramentem, pięknym

charakterem pisma, jakim pisało się setki lat temu.

A ona faktycznie trzymała tę książkę w rękach.

I pomyśleć, że chciała coś takiego po prostu sfalszować.

–Lepiej się zbierajmy – powiedział Shane. – Serio. Nie chcę tu być, kiedy przyjadą gliny.

–Myślisz, że przyjadą?

–No cóż, jeśli drogi profesor Wilson kopnął w kalendarz po tym, jak obrobił wampiry, to

owszem. Moim zdaniem przyślą paru gliniarzy, żeby zinwentaryzowali straty. Więc lepiej stąd pryskajmy.

Włożyła tomik z powrotem do Biblii i zaczęła wciskać do plecaka, ale przerwała, zdesperowana. Za dużo rzeczy. – Potrzebna nam jeszcze jedna torba – powiedziała. – Jakaś niewielka.

Shane przyniósł z kuchni jakąś plastikową torbę, wrzucił do niej Biblię i pogonił Claire do wyjścia. Obejrzała się po raz ostatni na salon profesora Wilsona. Na

kominku tykał zegar i wszystko czekało na właściciela mieszkania.

Miała rację. To było smutne.

–Teraz się spiesz – powiedział Shane. – Martwić się będziesz później. Idealne motto dla Morgamdle.

Kiedy dotarli do domu, do zmroku zostało im jeszcze jakieś pół godziny, ale kiedy skręcili za róg na Lot Street, gdzie gotycka bryła Domu Glassów przytłaczała okoliczne, nowsze, otaczające go domy, wzrok Claire natychmiast padł na niebieskiego SUV – a

stojącego przy krawężniku.

Wyglądał znajomo...

–O mój Boże – jęknęła i stanęła jak wryta.

–Słuchaj, zatrzymywanie się to kiepski pomysł. Chodź, Claire...

**–To samochód moich rodziców!
– Znowu jęknęła. – Moi rodzice tu są! O mój Boże! – Ostatnie słowa to był pisk i chyba zawróciłyby i rzuciła się do ucieczki, gdyby Shane nie złapał jej za T – shirt i nie przytrzymał.**

–Lepiej mieć to z głowy –

**powiedział. – Jeśli aż tu cię wy
tropili, to nie odjadą bez
przywitania.**

**–Puszczaj! – Puścił. Obciągnęła
podkoszulek i spiorunowała go
wzrokiem, a on złożył jej
przesadny ukłon.**

**–Panie przodem – powiedział. –
Będę pilnował tyłów.**

**Przynajmniej chwilowo nieco
bardziej obawiała się o to, co
miała przed sobą. Kiedy z
wahaniem otworzyła drzwi domu,
usłyszała niespokojny głos Eve.**

–Jestem pewna, że za moment wróci. Poszła, wiecie państwo, na zajęcia, i...

–Młoda damo, mojej córki nie ma na zajęciach. Sprawdziłem. Nie pojawiła się na żadnych zajęciach przez cały dzień. A teraz, zechcesz powiedzieć mi, gdzie ona jest, czy mam dzwonić na policję?

Tata był wkurzony. Claire przełknęła ślinę, zwalczyła chęć wycofania się, zamknięcia za sobą drzwi i ucieczki – głównie dlatego, że Shane stał tuż za nią i za dobrze się tym wszystkim bawił,

żeby dać jej uciec – i poszła w stronę tych głosów. Na razie to tylko Eve i tata. A gdzie...

–Claire! – Wszędzie by rozpoznała ten okrzyk ulgi. Zanim zdążyła powiedzieć: „Cześć, mamó”, zatonęła w jej uścisku i fali perfum L'Oreal. Zapach perfum okazał się trwalszy niż uścisk, bo matka odsunęła ją od siebie na odległość ramienia i zaczęła nią potrząsać jak szmacianą laleczką.

–Claire, gdzieś ty się podziewała? I co ty robisz tutaj?!

-Mamo...

-Tak się o ciebie martwiliśmy po tym okropnym wypadku, ale Les dopiero dzisiaj mógł wziąć wolne w pracy...

-Mamo, nic takiego się nie stało...

-I po prostu musieliśmy przyjechać tu i zobaczyć się z tobą, ale twój pokój w akademiku jest pusty. Nie chodziłaś na zajęcia... Claire, co się z tobą stało? W głowie mi się nie mieści, że możesz się tak zachowywać!

–Niby jak? – spytała z westchnieniem. – Mamo, możesz przestać mną trząść? Zaczyna mi się kręcić w głowie.

Mama puściła ją. Nie była specjalnie wysoka – zaledwie parę centymetrów wyższa od Claire, nawet w butach na niewielkim obcasie – ale tata, który patrzył spode łba na Shane'a, był równie jak on wysoki i ze dwa razy od niego szerszy.

–To on? – spytał tata. – To przez niego wpadłaś w te kłopoty?

–To nie ja – powiedział Shane. –

Ja tylko tak wyglądam.

–Zamknij się! – syknęła Claire. Wyraźnie słyszała, że jego zdaniem to wszystko było bardzo śmieszne. Ale nie dla niej. – Shane to tylko kolega, tato. Jak Eve.

–Eve? – Rodzice spojrzeli po sobie z osłupieniem. – Chcesz powiedzieć, że... – jak jeden mąż obrzucili przerażonymi spojrzeniami Eve, która stała ze splecionymi dłońmi i niewinną, potulną miną, ale oczywiście miała na sobie ciuchy gotyckiej primabaleriny – czarną tiulową

spódniczkę i czerwony atłasowy top. Uśmiechała się słodko, ale obraz psuła nieco jej krwista szminka (czyżby pożyczyła ją od Mirandy?) i kolczyki w kształcie czaszek.

Mama odezwała się słabym głosem:

–Claire, kiedyś miewałaś takie sympatyczne przyjaciółki. Co się stało z Elizabeth?

–Studiuje na Texas AM, mamo.

–To jeszcze nie powód do zerwania przyjaźni. Matczyna

logika. Claire stwierdziła, że Shane miał rację – z tego się nie wywinie. Równie dobrze może od razu skoczyć na główkę; rekiny i tak ją dopadną, nieważne co zrobi.

–Mamo, Eve i Shane są moimi współlokatorami. Tutaj. W tym domu.

Cisza. Mama i tata zamarli.

–Les? – odezwała się mama. – Czy ona powiedziała, że tu mieszka?

–Młoda damo, ty tu nie

**mieszkaś – oświadczył tata. –
Mieszkaś w akademiku.**

**–Już nie. Mieszkam tutaj, bo tak
zdecydowałam.**

**–To wbrew przepisom! Przepisy
mówią, że musisz mieszkać w
kampusie, Claire. Nie możesz tak
po prostu,...**

**Za oknami zapadała noc,
skradała się szybka jak płatny
zabójca.**

**–Mogę – powiedziała Claire. –
Zrobiłam to. I ja tam nie wrócę.**

–No cóż, ja nie płacę ciężkiej kasy za to, żebyś bawiła się w squat w jakiejś starej ruderze z bandą... – Tacie zabrakło słów, żeby oddać jak kiepską miał opinię o Eve i Shanie. – Przyjaciele!

Czy oni się w ogóle gdzieś uczą?

–Jestem obecnie między dwoma magisterkami – wyrwał się Shane.

–Zamknij się! – Claire już prawie płakała.

–Dobrze, dość tego. Claire, zbieraj swoje rzeczy. Jedziesz z

nami. Z twarzy Shane'a zniknęło rozbawienie.

–Nie, ona nie pojedzie – oświadczył. – Nie w nocy. Przykro mi, ale nie.

Tata poczerwieniał na twarzy i jeszcze bardziej się rozgniewał. Wymierzył w Claire wskazujący palec.

–Dlatego tu jesteś? Bo pod tym dachem mieszkają starsi od ciebie chłopcy?

–Och, Claire – westchnęła mama. – Jesteś na to za młoda. Ty...

–Shane – podsunął Shane.

–Shane. Jestem pewna, że bardzo miły z ciebie chłopiec – w głosie mamy nieco brakło przekonania – ale musisz zrozumieć, że Claire to niezwykle zdolna dziewczyna, a do tego bardzo młoda.

–To jeszcze dziecko! – przerwał tata. – Ona ma szesnaście lat! A jeśli ośmieliłeś się ją wykorzystać...

–Tato! – Claire pomyślała, że sama ma twarz pewnie tak samo czerwoną jak on, tyle że z

**zupełnie innego powodu. –
Wystarczy już! Shane to mój
bardzo dobry przyjaciel! Nie rób
mi wstydu!**

**–Ja tobie robię wstyd? Claire, a
jak twoim zdaniem my się
czujemy?! – ryknął tata. W ciszy,
która zapadła, Claire usłyszała
łagodny głos Michaela ze szczytu
schodów:**

**–Może jednak powinniśmy
wszyscy usiąść.**

**Nie wszyscy usiedli. Shane i Eve
zwiali do kuchni, skąd Claire
dobiegł brzęk naczyń i garnków, i**

gorączkowe szepty. Ona sama siedziała jak na gwoździach na kanapie, po obu stronach buforowana przez rodziców i patrzyła ze smutkiem na Michaela, który usiadł w fotelu. Wydawał się spokojny i opanowany, no ale przecież taki już był. Mamo, tato, to jest Michael, on nie żyje... Tak, to by na pewno pomogło.

–Nazywam się Michael Glass – przedstawił się i wyciągnął rękę do taty Claire, witając się z nim jak równy z równym. Tata zaskoczony ujął jego dłoń i uścisnął. – Naszą pozostałą dwójkę współlokatorów już

państwo poznali. Eve Rosser i Shane Collins. Proszę pana, ja wiem, że państwo się o Claire niepokoją. To zrozumiałe. Po raz pierwszy radzi sobie samodzielnie, a jest młodsza niż większość studentów. Nie dziwię się, że się państwo o nią martwią.

Tata zbity z tropu zrobił mimo wszystko upartą minę.

–Ale kim ty jesteś, panie Michael Glass?

–Właścicielem tego domu powiedział Michael. Wynająłem pokój pana córce.

–Ile masz lat?

**–Trochę ponad osiemnaście.
Podobnie jak Eve i Shane. Znamy się od dawna i, szczerze mówiąc, nie bardzo nawet chcieliśmy sprowadzać do domu kolejnego lokatora, ale... Michael wzruszył ramionami. – Mieliliśmy jedną wolną sypialnię, a łatwiej się dzieli koszty na czworo. Długo się zastanawiałem, zanim pozwoliłem Claire tu zamieszkać. Dyskutowaliśmy wspólnie na ten temat. Claire zamrugła oczami. Dyskutowali? Naprawdę?**

–Moja córka jest nieletnia –

powiedział tata. – Nie podoba mi się to wszystko. Wcale a wcale.

–Proszę pana, ja to rozumiem. Sam nie byłem tym wszystkim za bardzo uszczęśliwiony. Rozumie pan, sam jej pobyt tutaj jest dla nas zagrożeniem. – Michael nie musiał wdawać się w szczegóły; Claire widziała, że tata łapał, w czym rzecz. – Ale ona nas potrzebowała i nie mogliśmy jej wyrzucić.

–Chcesz powiedzieć, że nie mogliście sobie odmówić jej pieniędzy – powiedział tata i zmarszczył brwi. Za całą

odpowiedź, Michael wstał, podszedł do drewnianej szkatułki stojącej na półce i wyjął z niej kopertę. Podał ją tacie.

–Tyle mi zapłaciła – powiedział. To cała suma. Zatrzymałem ją, w razie gdyby chciała się wyprowadzić. Tu nie chodzi o pieniądze, proszę pana. Chodziło o bezpieczeństwo Claire.

Michael spojrział na nią przez pokój, a ona przygryzła wargę. Miała nadzieję, rozpaczliwą nadzieję, że uda się tego jakoś uniknąć, ale teraz widziała już, że się nie da. Nieznacznie skinęła

głową i oparła się o poduszki kanapy, usiłując się skulić, jeszcze zmaleć.

– Claire mieszkała w żeńskim akademiku – wtrąciła mama. Wyciągnęła rękę i roztargnionym ruchem pogładziła ją po włosach, tak samo jak wtedy, kiedy Claire była jeszcze malutka.

Claire jakoś to zniosła. W sumie, w głębi duszy zrobiło jej się przyjemnie, tak troszkę, i musiała zwalczyć ochotę, żeby oprzeć się o mamę i dać przytulić. Poczuć bezpiecznie. – Przecież była tam bezpieczna, prawda? Ta Monica

powiedziała...

**–Rozmawialiście z Monica? –
spytała ostro Claire i szeroko
otwartymi oczami spojrzała na
matkę. Mama nieco zmarszczyła
brwi, spojrzała z troską.**

**–Tak, oczywiście. Próbowałam
się dowiedzieć, gdzie cię znajdę, i
Monica okazała się bardzo
pomocna.**

**–No, domyślałam się – mruknęła
Claire. Myśl, że Monica tam stała i
uśmiechała się do jej matki,
pewnie z bardzo nie winną i
słodką miną, przyprawiała ją o**

mdłości.

**–Powiedziała, że tu jesteś –
dokończyła mama, nadal
marszcząc brwi. – Claire,
kochanie, dlaczego
wyprowadziłaś się z akademika?
Przecież wiem, że nie jesteś
niemądrą dziewczyną. Nie
zrobiłabyś tego, gdybyś nie miała
jakiegoś powodu.**

**–Miała powód. Znęcano się nad
nią – wtrącił się Michael.**

**–Znęcano? – powtórzyła mama
takim tonem, jakby nie rozumiała
tego słowa.**

–Z tego co mówiła Claire, zaczęło się od drobiazgów. Wszystkim dziewczynom z pierwszego roku obrywa się od starszych koleżanek. Niemile, ale nie niebezpieczne. Ale potem naraziła się nie tej dziewczynie co trzeba i zaczęła obrywać.

–Obrywać? – Tym razem to tata usiłował się jakoś po łapać.

**–Kiedy tu przyszła, była tak posiniaczona, że wyglądała jak mapa drogowa – wyjaśnił Michael.
– Szczerze mówiąc, miałem ochotę dzwonić na policję. Ale zaprotestowała. Nie mogłem**

**jednak pozwolić jej tam wrócić.
One nie tylko się nad nią
znęcały... Moim zdaniem groziło
jej śmiertelne niebezpieczeństwo.**

**Dłoń mamy zamarła na włosach
Claire. Wyrwał jej się cichy jęk.**

**–Nie było tak źle – wtrąciła
szybko Claire. – Znaczący
posłuchajcie, nic sobie przecież
nie złamałam. Przez jakiś czas
miałam skręconą kostkę i podbite
oko, ale...**

–Podbite oko?!

–Sińce już zniknęły. Widzisz? –

Zamrugnęła. Mama przyjrzała się uważnie jej twarzy z niepokojem. – Naprawdę, już po wszystkim. Koniec. Teraz już wszystko jest dobrze.

Nie – powiedział Michael. – Nie jest. Ale Claire radzi sobie z tym wszystkim, a my się nią opiekujemy. A zwłaszcza Shane. On... Miał kiedyś młodszą siostrę i teraz bardzo dba o to, żeby Claire nic się nie stało. Ale chodzi o coś więcej. Moim zdaniem Claire umie o siebie zadbać. A przecież tego właśnie powinna się nauczyć, zgodzą się państwo? Michael pochylił się naprzód,

lekką splatając dłonie, łokcie opierając na kolanach. W świetle lampy jego włosy połyskiwały czystym złotem, oczy miał błękitne jak anioł. Jeśli ktoś kiedyś wyglądał jak człowiek godny zaufania, to właśnie Michael Glass.

Oczywiście, nie żył i tak dalej, a Claire musiała ugryźć się w język, żeby tego nie palnąć. Mama i tata się zastanawiali. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć... Coś ważnego. Coś, co nie pozwoli im złapać jej za ucho i zabrać do domu siłą.

–Nie mogę wyjechać – odezwała się. Powiedziała to prosto z serca, przekonana do każdego słowa. I chociaż raz jej głosnie drżał. – Mamo, tato, ja wiem, że się o mnie boicie i... Ja was przecież kocham. Ale muszę tu zostać. Michael nie powiedział wam tego, ale oni naprawdę się tu za mną wstawili i ja muszę tu zostać, póki nie zyskam pewności, że nie będą mieli przeze mnie kłopotów. Właśnie to muszę zrobić, rozumiecie? Mogę to zrobić. Muszę.

–Claire – odezwała się mama cichym, zdławionym głosem.

–Ty masz szesnaście lat! Jesteś jeszcze dzieckiem!

–Nie – powiedziała po prostu. – Mam szesnaście i pół roku i się nie poddam. Nigdy się nie poddam. Wiecie o tym.

Wiedzieli. Claire przez całe życie walczyła z przeciwnościami losu, i oboje jej rodzice o tym wiedzieli. Znali jej upór. Co więcej, wiedzieli, jakie to wszystko dla niej ważne.

–Nie podoba mi się to – powiedział tata, ale głos miał teraz niezadowolony, a nie wściekły. – Nie podoba mi się, że mieszkasz

razem ze starszymi od siebie chłopcami. Poza kampusem. I chcę, żeby te osoby, które cię krzywdzą, przestały to robić.

–A więc ja muszę je powstrzymać – powiedziała Claire.

–To mój problem. A poza tym w akademiku są inne dziewczyny, które obrywają, więc nie chodzi tu wyłącznie o mnie. Muszę to zrobić też i dla nich.

Michael lekko uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Mama otarła oczy chusteczką. Eve pojawiła się w drzwiach owinięta wielkim

fartuchem z rysunkiem czerwonych ust i napisem buziak dla kucharza. Zerknęła na wszystkich niepewnie i uśmiechnęła się do rodziców Claire nieśmiało.

–Obiad gotowy! – powiedziała.

–Och, nie możemy sprawiać wam kłopotu – powiedziała mama.

–Jasne, że możemy – tata był innego zdania. – Umieram z głodu. Czy to chilli?

Obiad wypadł nieco niezręcznie. Tata mruczał coś

niezobowiązującego o smaku chilli. Shane przez cały czas wyglądał, jakby z trudem powstrzymywał śmiech. Eve była tak podenerwowana, że Claire wydawało się, że za moment wyfrunie z krzesła, a Michael... Tylko Michael zachował spokój. Jak dorośli. Claire jeszcze nigdy w życiu nie czuła się bardziej dzieckiem niż przy tym wielkim stole.

–A więc, Michael – zagaiła mama, skubiąc swoje chilli. – Czym się zajmujesz? Nawiedzaniem domu, w którym umarł, pomyślała Claire i zagryzła wargę. Szybko napiła

się coli.

–Jestem muzykiem – odparł.

–Och, naprawdę? – Mama się rozjaśniła. – A na czym grasz? Uwielbiam klasykę. Teraz już i Michaelowi zrobiło się głupio. Shane odkaszlnął w serwetkę i zaczął pić colę, żeby pozbyć się czkawki, której dostał ze śmiechu.

–Na pianinie i na gitarze – odparł Michael. – Ale przede wszystkim na gitarze. Akustycznej i elektrycznej.

–Hm – mruknął tata. – Jak ci

idzie? Ramiona Shane'a drżały.

– Sam nie wiem – powiedział Michael. – Dużo ćwiczę. – Jest bardzo dobry! – wtrąciła Eve, błyskając rozjaśniony mi oczami. – Naprawdę, Michael, powinieneś dać spokój z tą swoją skromnością. Jesteś naprawdę świetny. To tylko kwestia czasu, zanim osiągniesz coś naprawdę wielkiego i sam też o tym wiesz!

Spojrzenie Michaela było... puste. Bez wyrazu. Ale Claire pomyślała, że i tak nie do końca jest w stanie ukryć jego ból.

–Kiedyś – powiedział i wzruszył ramionami. – Shane, dzięki za obiad. Dobre żarcie.

–Tak – powiedziała Eve. – Niezłe.

–Ostre – dodał tata, jakby to była jakaś wada. Claire przecież doskonale wiedziała, że zwykle dolewał tabasco do połowy tego, co jadł. – Mogę sobie wziąć dokładkę?

Eve poderwała się od stołu jak oparzona.

–Zaraz przyniosę! – Ale tata siedział przy stole najbliżej

kuchni, a teraz już zdążył wstać i ruszyć w tamtą stronę.

Michael i Shane wymienili spojrzenia. Claire zmarszczyła brwi, próbując domyślić się, czym się tak obaj przejęli.

Siedzieli w milczeniu, słysząc otwieranie drzwi lodówki, brzęk butelek, a potem zamykanie drzwi. Tata Claire wrócił, trzymając w ręce schłodzoną puszkę coli.

A w drugiej ręce trzymał piwo. Usiadł przy stole i wzrokiem spiorunował Michaela.

–Zechcesz mi może wyjaśnić, co robi piwo w lodówce w domu, gdzie mieszka szesnastolatka? – zapytał. – Nie wspominając już o tym, że nikt z was nie ma tyle lat, żeby je pić legalnie!

No cóż, to by było na tyle, pomyślała Claire. Są takie dni, kiedy po prostu nie może wyjść na twoje.

Dali jej dwa dni, a i to tylko dlatego, że tata zgodził się, żeby poszła do administracji i pozałatwiała papiery potrzebne do przeniesienia. Michael starał się, jak mógł, ale nawet jego anielska

uroda i całkowita szczerłość tym razem nie wystarczyły. Shane w jakimś momencie przestał się świetnie bawić i zaczął wrzeszczeć. Eve poszła do swojego pokoju.

Claire płakała. Głośno. Ze złości.

Była tak wściekła, że prawie przestało ją obchodzić, że mama i tata zamierzali wyjechać z Morganville w nocy, bezbronni i niczego nieświadomi. Ale Michael zajął się tym, opowiadając im o złodziejach samochodów, którzy w okolicy kradli SUV – y. Tylko tyle udało się zrobić, zresztą to i

tak było już więcej, niż Claire się spodziewała.

Tata patrzył na nią tak, jakby go rozczarowała.

Jeszcze nigdy, przenigdy ich nie rozczarowała i była teraz totalnie wkurzona, bo sobie na to nie zasłużyła, zupełnie nie zasłużyła.

Michael i Shane stali w drzwiach, patrząc, jak jej rodzice po ciemku szybko wsiadają do SUV – a. Shane, jak widziała, trzymał w ręku spory, ręcznie wyrzeźbiony krzyżyk i gotów był rzucić się na ratunek mimo wściekłości. Ale nie

musiał. Mama i tata zapakowali się do samochodu i odjechali, a Michael zamknął i zarygłował drzwi, a potem obrócił się i spojrzał na Claire.

–Przepraszam – powiedział. – Mogło być lepiej.

–Tak sądzisz? – prychnęła. Oczywiście miała zapuchnięte i była tak wściekła, że czuła, że może za moment rozlecieć się na kawałki. – Ja nie wyjadę! Mowy nie ma!

–Claire... – Michael położył ręce na jej ramionach. – Dopóki nie skończysz osiemnastu lat, nie

**masz prawa tak mówić,
rozumiesz? Ja wiem, że masz już
prawie siedemnaście, i że jesteś
bystrzejsza niż dziewięćdziesiąt
procent ludzi na tym świecie...**

**–I o sto procent mądrzejsza niż
wszyscy inni w tym domu –
wtrącił Shane.**

**–...ale to nic nie znaczy. Będzie
znaczyło, ale na razie jeszcze nie
znaczy. Musisz zrobić to, co ci
każą. Jeśli uprzesz się i zaczniesz
z nimi walczyć, zrobi się
nieciekawie i, Claire, nas na to nie
stać. Ja sobie nie mogę na to
pozwolić. Rozumiesz?**

–Poszukał wzrokiem jej oczu, a ona musiała pokiwać głową.

–Przepraszam cię. Wierz mi, nie chciałem, żeby to się tak po toczyło, ale przynajmniej wydostaniesz się z Morganville. Będziesz bezpieczna.

Przytulił ją. Poczowała, że na sekundę traci oddech, a potem odsunął się i odszedł. Popatrzyła na Shane'a.

–No, ja cię nie będę ścisnął – powiedział. Stał blisko niej, tak blisko, że musiała wysoko zadrzeć głowę, żeby mu spojrzeć

w oczy. I przez kilka długich sekund nic nie mówili, tylko... on na nią patrzył. Słyszała, że w salonie Eve rozmawia z Michaeliem, ale tutaj, w holu, było cicho. Słyszała, jak szybko bije jej własne serce i zastanawiała się, czy on też to słyszy.

–Claire... – odezwał się wreszcie.

–Wiem – powiedziała. – Mam szesnaście lat. Już to słyszałam. Otoczył ją ramionami. Ale nie tak jak Michael – nie wiedziała, na czym polega ta różnica, ale ją czuła. To nie był zwykły uścisk. Teraz zrobiło się... Zrobiło się

dobrze.

Bo się nie powstrzymywał, to o to chodziło. A ona odprężyła się i przytuliła do niego, z lekkim westchnieniem, prawie pomrukując z ulgi. Oparł brodę na jej głowie. Czowała się przy nim taka mała, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Nie miała wrażenia, że jest przez to słabsza.

–Będę za tobą tęsknił – szepnął, a ona odsunęła się nieco, żeby unieść głowę i znów na niego spojrzeć.

–Naprawdę?

–Tak. – Pomyślała, naprawdę pomyślała, że on ją pocałuje, ale właśnie wtedy usłyszała wołanie Eve: – Shane! – A on drgnął, odsunął się, i znów miała przed sobą dobrze znanego, nieco bezczelnego Shane'a. – Dzięki tobie zrobiło się u nas ciekawie.

Odszedł korytarzem, a ją ogarnęła furia. Faceci. Dlaczego oni zawsze są tacy durni?

Jak zwykle nocą stary dom skrzypiał, wiatr wył za oknami, o które uderzały gałęzie. Claire nie mogła zasnąć. Nie mogła się pogodzić z myślą, że w tym

pokoju, w tym ślicznym pokoju, spędzi jeszcze zaledwie dwie noce, a potem zostanie stąd wywieziona do domu, upokorzona i pokonana. Teraz rodzice nigdzie jej nie puszczą. Będzie musiała odczekać całe półtora roku, a to znaczyło, że od nowa będzie się musiała ubiegać o przyjęcie na studia i zaczynać wszystko od początku...

Pomyślała, że przynajmniej teraz to już bez znaczenia, czy będzie opuszczała zajęcia i uderzyła w poduszkę, chcąc nadać jej wygodniejszy kształt. Kilka razy.

Gdyby spała, choćby lekko, nie dosłyszałyby leciutkiego pukania do drzwi, ale była wciąż nakręcona, więc wyslizgnęła się z łóżka, przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

To był Shane. Stał na korytarzu i widziała, że chciał wejść do środka, ale nie śmiał. Tak niepewnego siebie jeszcze go nie widziała. Miał na sobie luźny T – shirt i spodnie od dresu, był na bosaka, a ona poczuła, że ogarniają... Coś. Na pewno to miał na sobie, kiedy spał. Albo... jeszcze mniej.

Naprawdę powinna przestać o tym myśleć!

Jedną sekundę później dotarło do niej, że ma na sobie tylko cienki, za duży T – shirt – jeden ze starych T – shirtów Michaela – który sięga tylko do połowy ud. Bez przesady można by powiedzieć, że była na wpół goła.

–Cześć – wydusiła.

–Cześć – odparł Shane. – Obudziłem cię?

–Nie. Nie mogłam zasnąć. – Była dotkliwie świadoma łóżka za

**plecami, z rozkopaną pościelą. –
Hm, chcesz... wejść?**

**–Lepiej nie – powiedział cicho. –
Claire, ja... – Pokręcił głową,
miękkie włosy musnęły mu twarz.
– Nawet i tu nie powinienem stać.**

**Ale wcale nie zbierał się do
odejścia.**

**–No cóż – stwierdziła. – Ja idę
usiąść. Jeśli chcesz tu stać, nie
ma sprawy. Podeszła do łóżka i
usiadła, zwracając uwagę, jak to
robi. Nogi złączone, skromnie, jak
wypada.**

Palcami nóg ledwie sięgała dywanu. Była podekscytowana.

Opuściła wzrok na ręce, na ogryzione paznokcie i zaczęła nerwowo oskubywać skórki. Shane zrobił dwa kroki w głąb pokoju.

– Nie chcę, żebyś przez następne dwa dni wychodziła z do mu – oznajmił. Nie takich słów się spodziewała. Zupełnie nie takich. – Twój ojciec już myśli, że pozwalamy ci się upijać, a potem urządzamy orgie w holu. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to odesłać cię do domu ze znakami

**po ukąszeniu wampira na szyi.
Albo w trumnie. – Zniżył głos. –
Nie zniósłbym tego. Naprawdę.
Wiesz o tym, prawda?**

**Nadal nie podnosiła wzroku.
Podszedł o krok i zobaczyła jego
bose stopy i spodnie od dresu.**

–Claire. Musisz mi to obiecać.

**–Nie mogę – powiedziała. – Nie
jestem małym dzieckiem. I nie
jestem twoją siostrą. Ujął jej
podbródek.**

**Cały świat zastygł. Claire
wydawało się, że nawet jej serce**

przestało bić. Usta miał ciepłe, miękkie i słodkie, a ich dotyk oszołomił ją i przestraszył, sprawił, że poczuła się niezręcznie. Ja jeszcze nigdy... Nikt mnie nigdy... Ja na pewno robię to źle... Nienawidziła samej siebie, nienawidziła tego, że nie wie, jak odwzajemnić jego pocałunek, wiedziała, że będzie ją porównywał z tymi wszystkimi innymi dziewczynami, z tymi, które całowały się z nim lepiej.

Shane oderwał usta od jej warg. Serce biło jej tak szybko, że miała wrażenie, iż w jej piersi trzepocze się ptak. Była zarumieniona,

zrobiło jej się gorąco, tak gorąco...

Shane przycisnął czoło do jej czoła i westchnął. Jego oddech owionął jej twarz i tym razem to ona go pocałowała, zawierzając instynktowi, pozwalając Shane'owi podnieść się na nogi. Ręce mieli złączone, spleli palce, a Claire oblewały fale gorąca.

Tym razem, kiedy przerwali dla zaczerpnięcia tchu, odsunął się od niej. Twarz miał zarumienioną, oczy mu promieniały. Claire czuła swoje usta, obrzmiałe, ciepłe, cudownie i wspaniale wilgotne.

Och, pomyślała. Chyba zapomniałam, że trzeba używać języka. Stosowanie teorii w praktyce okazało się trudne, kiedy jej mózgowi groziło krótkie śpięcie.

–To... To się nie powinno było zdarzyć – wydusił Shane.

–Pewnie nie – przyznała. – Ale za dwa dni wyjeżdżam. Głupio byłoby, gdybym cię ani razu nie pocałowała.

Nie była pewna, kto teraz pocałował kogo. Może to było odchylenie grawitacji, wybuch

supernowej. Tak to odczuwała. Tym razem ujął nimi jej twarz w dłonie, głaskał jej włosy, szyję aż po ramiona...

Westchnęła z ustami przy jego ustach, a on jęknął. Jęknął. Nie miała pojęcia, że w taki sposób może odczuć jakieś doznanie, że może przelecieć po jej skórze i nerwach jak uderzenie pioruna.

Jego dłonie zatrzymały się na jej talii.

Kiedy zetknęły się ich języki, pełne wahania i wilgotne, kolana się pod nią ugięły. Jakby

kręgosłup zagrzechotał, składając się z niepołączonych kosteczek. Shane prawą ręką objął jaw talii, mocno do siebie tuląc, a lewą gładził japo głowie.

To już było prawdziwe całowanie! Poważne całowanie. Nie jakiś tam pocałunek na pożegnanie, nie pocałunek przed wyjazdem, to był pocałunek pod tytułem: „Witaj, moja seksowna” i, o rany, ona nigdy nawet nie podejrzewała, że to może być tak...

Kiedy Shane ją puścił, oszołomiona usiadła na łóżku i

pomyślała, że jeśli on się teraz do niej przysunie, to ona się położy i...

Shane zrobił dwa wielkie kroki w tył, a potem obrócił się i wyszedł na korytarz. Odwrócił się od niej. Jak we śnie czy w transie patrzyła, jak porusza się gwałtownie jego klatka piersiowa, kiedy usiłował uspokoić oddech.

–Okej – odezwał się wreszcie i odwrócił do niej. Ale nadal stał na korytarzu. – Okej, to już naprawdę nie powinno się zdarzyć. I nie będziemy o tym rozmawiali, dobrze? Nigdy?

–Dobrze – powiedziała. Czuła się tak, jakby z koniuszków jej palców promieniowało światło. Jakby się wylewało czubkami palców nóg. Czuła się wypełniona jasnością, jakby promieniowała światłem słońca. – Nic się nie stało.

Otworzył usta, a potem je zamknął. Zamknął też oczy.

–Claire...

–Rozumiem.

–Zamknij drzwi – powiedział. Wstała i zaczęła zamykać drzwi. Jeszcze ostatnie spojrzenie na

niego przez szparę, a potem drzwi się domknęły, a ona przekręciła klucz.

Usłyszała po drugiej stronie stuk. Shane osunął się na drzwi, po prostu to wiedziała.

–No to przepadłem – mruknął. Poszła do łóżka i leżała, pełna światła, aż do rana.

Rozdział 14

W poniedziałek rano nigdzie nie było Shane'a, ale wstała przecież bardzo wcześnie – tuż po tym, jak Michael zamienił się w mgłę. Wzięła prysznic i na śniadanie wyjęła z szafki w kuchni gotową grzankę, pozmywała naczynia, które leżały w zlewie po wczorajszym katastrofalnym obiedzie z rodzicami – czy czasem nie miał tego zrobić Michael? – i opróżniła swój plecak, żeby włożyć do niego metalowy pojemnik (chciała go zwrócić do laboratorium chemicznego i w ten

sposób kradzież zamienić w pożyczkę) i Biblię z jej sekretem.

A potem pomyślała: Przecież to nic nie da, oni mi japo prostu ukradną, i wyjęła Biblię. Odłożyła ją na regał z książkami, wstawiając między dziesiąty tom *Encyklopedii świata* a jakąś powieść, o której nigdy nie słyszała. A potem wyszła z domu, zamknęła drzwi na klucz i ruszyła w stronę uczelni.

W laboratorium chemicznym panował spory ruch, kiedy dotarła tam w przerwie między zajęciami i bez najmniejszych kłopotów udało

jej się wślizgnąć do pokoju z odczynnikami i odłożyć pojemnik na miejsce, po starannym wytarciu odcisków palców ze wszystkiego, co jej przyszło na myśl. Spełniwszy ten moralny obowiązek poszła szybko do administracji odebrać papiery z uczelni. Nikt się specjalnie nie dziwił. Pewnie sporo tu mieli przypadków rezygnacji ze studiów. Albo zaginięć.

Było południe, kiedy weszła do Common Grounds. Eve dopiero przyszła do pracy, zaspana i rozziwiana. Zdziwiła się na widok Claire, która zamówiła filiżankę

herbaty. – Myślałam, że masz nie wychodzić z domu – powiedziała. – Michael i Shane mówili...

–Muszę pogadać z Oliverem – powiedziała Claire.

–Jest na zapleczu. – Eve wskazała ręką. – Claire? Czy stało się coś złego?

–Nie – uspokoiła ją. – Moim zdaniem nareszcie stanie się coś dobrego.

Drzwi z napisem „biuro” były zamknięte. Zapukała, usłyszała, jak ciepłym głosem Oliver

zaprasza ją do środka. Weszła. Siedział przy małym biurczku w niewielkim pokoju, przed sobą miał włączony komputer. Uśmiechnął się do niej, wstał i uścisnął jej rękę.

– Claire – powiedział. – Dobrze widzieć, że jesteś bezpieczna. Słyszałem, że były jakieś... kłopoty. Oliver miał na sobie farbowaną w nieregularne plamy koszulkę Grateful Dead i džinsy z wyblakłymi łatami na kolanach – nie tyle ze względu na modę, co zużycie materiału, stwierdziła. Twarz miał zmęczoną i zatroskaną; nagle pomyślała, że

coś w nim przypomina jej Michaela. Poza tym że pojawiał się tu w dzień i w nocy, oczywiście, więc nie mógł być duchem. Prawda?

–Brandon jest bardzo niezadowolony – oznajmił. – Boję się, że dojdzie do odwetu. Brandon lubi zadawać cios w plecy, nie walczy otwarcie, więc lepiej uważaj też na swoich przyjaciół. Oczywiście, włącznie z Eve. Prosiłem ją, żeby była szczególnie ostrożna.

Pokiwiała głową, żołądek podszedł jej do gardła.

–Hm... A jeśli mam coś na wymianę? Oliver rozparł się na krześle.

–Na wymianę za co? I komu ją chcesz zaproponować?

–To... coś ważnego. Nie chcę mówić nic konkretniejszego.

–Obawiam się, że będziesz musiała, jeśli chcesz, żebym działał w twoim imieniu jako ktoś w rodzaju pośrednika. Nie mogę proponować nikomu kupna, nie wiedząc, czym handluję.

Zdała sobie sprawę, że nadal

trzyma w rękach filiżankę z herbatą, więc podeszła i postawiła ją na rogu biurka.

–Hm... Wolałabym to zrobić osobiście. Ale nie wiem, do kogo pójść. Pewnie do kogoś, kto wydaje polecenia Brandonowi. A może nawet jeszcze wyżej.

–Społeczność wampirów jest zhierarchizowana – zgodził się Oliver. – Brandon nie stoi na szczycie hierarchii. Wiesz, są dwa odłamy. Brandon należy do jednego – tej ciemniejszej strony, można by chyba powiedzieć. Zależy od punktu widzenia.

Oczywiście, z punktu widzenia człowieka, żaden z tych odłamów nie jest niewinny jak lilia. – Wzruszył ramionami. – Mogę ci pomóc, jeśli mi pozwolisz. Wierz mi, nie chcesz sama szukać kontaktu z tymi osobnikami. A ja nie jestem pewien, czy oni pozwolą ci na to.

Zagryzła wargę, myśląc o tym, co Michael powiedział o zawieraniu paktów w Morgamdle. Nie miała w tym doświadczenia, sama to wiedziała. I nie знаła obowiązujących zasad.

Oliver je znał, inaczej już od

dawna by nie żył. Poza tym był szefem Eve, a ona go lubiła. No i przecież przynajmniej dwa razy udało mu się powstrzymać Brandona przed zaatakowaniem jej. To o czymś świadczyło.

–Dobrze – zgodziła się. – Mam książkę. Siwe brwi Olivera opadły i utworzyły jedną prostą linię.

–Książkę?

–Wiesz którą. Tę książkę.

–Claire – powiedział powoli. – Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. Bo nie wolno ci się w tej

sprawie pomylić i absolutnie nie wolno skłamać. Blefowanie sprawi tylko, że i ty, i wszyscy twoi przyjaciele zginiecie. Żadnej litości. Byli tacy, którzy próbowali. Dostarczali fałszywki, albo udawali, że mają książkę, a potem uciekali. Wszyscy zginęli. Co do jednego. Rozumiesz?

Znów z trudem, odruchowo, przełknęła. W ustach jej zaschło. Usiłowała sobie przypomnieć, jak czuła się w nocy, kiedy było jej ciepło i promieniowała światłem, ale ten dzień okazał się chłodny i przerażający. I Shane'a tu nie było.

**–Tak – szepnęła. – Rozumiem.
Ale jaja mam i nie wydaje mi się,
żeby to była fałszywka. I
chciałabym ją wymienić.**

**Oliver nawet nie mrugnął okiem.
Próbowała odwrócić wzrok, ale
było w nim coś takiego, coś
twardego i nieustępliwego, że aż
poczuła lęk.**

**–Dobrze – odezwał się. – Ale
sama tego nie przeprowadzisz.
Jesteś za młoda i bezbronna.
Zajmę się tym w twoim imieniu,
ale potrzebuję dowodu.**

–Jakiego dowodu?

–Muszę zobaczyć książkę. Zrobić zdjęcia przynajmniej okładki i jednej ze stron, żeby dowieść, że jest prawdziwa.

–Myślałam, że wampiry nie mogą jej odczytać.

–Nie mogą, przynajmniej według legend. Chodzi o symbol. Jak symbole Ochrony, ma on właściwości, których istoty ludzkie nie mogą pojąć. W tym przypadku zmysły wampirów. Tylko ludzie są w stanie przeczytać słowa, które są w środku, ale fotografia zlikwiduje zamęt wywoływany przez symbol i

wampir będzie mógł zobaczyć, jak ten symbol wygląda. Cudowna rzecz ta technologia. – Zerknął na zegarek. – Mam dziś po południu spotkanie, którego nie mogę odwołać. Przyjdę do was do domu dziś wieczorem, jeśli można. Chciałbym przy okazji porozmawiać z Shane'em i Eve. I z tym trzecim twoim przyjacielem, tym, który tu nigdy nie przychodzi. Michael, tak? Michael Glassem.

Złapała się na tym, że kiwa głową. Była nieco przestraszona i nie bardzo rozumiała dlaczego. Przecież wszystko jest w

porządku, prawda? Oliver to jeden z tych dobrych.

I nie miała pojęcia, do kogo innego mogłaby się zwrócić, nie w Morganville. Do Brandona? Jasne. To dopiero znakomity pomysł.

–Dziś wieczorem – powtórzyła. – Dobrze. Wstała i wyszła, czując że jest jej zimno. Eve spojrzała na nią, zmarszczyła brwi i próbowała pójść za nią, ale przy kawiarnianym barze tłoczyli się ludzie, a Claire szybko ruszyła do drzwi i uciekła, zanim Eve zdążyła do niej podejść. Nie chciała tym z

nią rozmawiać. Była jakoś dziwnie pewna, że właśnie popełniła okropny błąd, ale sama nie rozumiała dlaczego i jaki.

Tak bardzo się na tym skupiła, zatopiona we własnych myślach i uśpiona jasnym słońcem, nie wspominając już o obecności ludzi na ulicy, że zupełnie zapomniała o niebezpieczeństwach grożących w Morganville wieczorami.

Pierwszym ostrzeżeniem, jakie do niej dotarło, był cichy pomruk silnika samochodu, a zaraz potem straciła równowagę i wpadła na rozgrzany lakier bocznych drzwi

furgonetki, które rozsunęły się na bok.

Ktoś ją z jednej strony popchnął, z drugiej pociągnął i nawet nie zdążyła pisnąć, a już znalazła się we wnętrzu furgonetki, gdzie parę osób przygniotło ją ciałami, a drzwi furgonetki zatrzasnęły się, odcinając słońce. Kiedy furgonetka przyspieszyła, Claire poturlała się po wyłożonej wykładziną podłodze, a potem usłyszała wesołe okrzyki i śmiech.

Dziewczęcy śmiech.

Któraś dziewczyna przyklękała na

jej piersi, utrudniając oddychanie; usiłowała się wykręcić i zrzucić ją z siebie, ale się nie udało. Kiedy mruganiem odgoniła wreszcie gwiazdy, które latały jej przed oczami, zobaczyła, że to Giną, perfekcyjnie umalowana i modnie ubrana, pomijając ten chory błysk w spojrzeniu. Monica przyklęła obok niej, uśmiechając się nieznacznym, okrutnym uśmieszkiem. Jennifer prowadziła. W furgonetce były też jeszcze dwie inne dziewczyny; zapamiętała je z konfrontacji w piwnicy akademika. Najwyraźniej Monica nadal prowadziła

rekrutację, a te dwie zdały egzamin do Szkoły Zaawansowanych Psycholi.

–Złaż ze mnie! – krzyknęła Claire i spróbowała uderzyć Ginę, ale Monica złapała ją za ręce i szarpnęła, przytrzymując nad jej głową, boleśnie i mocno. – Suko jedna, złaż!

Monica uderzyła ją w brzuch i Claire do reszty straciła oddech. Z wysiłkiem chwyciła powietrze. Ciężar Giny bardzo jej to utrudniał. Czy w ten sposób można kogoś zabić? Przyduszając go? Możliwe, że

kiedy ofiara jest nieduża... Tak jak ona...

Furgonetka nadal jechała przed siebie, zabierając ją coraz dalej od bezpiecznych miejsc.

–Naprawdę ostro mnie wkurzyłaś, rybko – powiedziała Monica. – Ja takich rzeczy nie zapominam. Ani mój facet.

–Brandon? – wyrzęziła Claire. – Jezu, mogłabyś sobie zna leżć takiego, który przynajmniej ma ikrę. Za to znów oberwała i tym razem zabolalo ją na tyle mocno, że zaczęła płakać, wściekła i

bezradna. Gina położyła dłoń na jej szyi i zaczęła naciskać. Nie dość mocno, żeby ją zabić, ale na tyle, żeby bolało i jeszcze bardziej utrudniało chwytnie haustów cennego powietrza.

Gdyby chciały, mogłyby to tak ciągnąć godzinami. Ale Claire pomyślała, że pewnie mają w planach o wiele więcej atrakcji.

No i oczywiście Monica sięgnęła do kieszeni i wyjęła zapalniczkę, na gaz, z wysokim jasnym płomieniem. Podsunęła ją pod sam nos Claire.

**–Zrobimy sobie grilla –
powiedziała. – Pieczone dziwadło.
Jeśli przeżyjesz, będziesz
oszpecona. Ale nie powinnaś się
tym przejmować, bo
prawdopodobnie jednak nie
przeżyjesz.**

**Claire wrzasnęła resztą sił, jakie
jej zostały. Ten wrzask zaskoczył
Monice i przestraszył prowadzącą
Jennifer, która obejrzała się za
siebie, skręcając przy tym
kierownicę.**

Błąd.

Furgonetka zatoczyła się w

prawo i uderzyła w coś. Claire poleciała przed siebie, z Giną siedzącą na niej jak na latającym dywanie, walnęła w fotele, a Monica i Giną potoczyły się bezładnie, kiedy furgonetka wpadła w poślizg i się zatrzymała.

Claire rzuciła się do drzwi. Wypadła na zewnątrz. Furgonetka walnęła w tył innego samochodu, zaparkowanego na poboczu, i włączył się alarm. Kręciło jej się w głowie, o mało nie upadła, ale usłyszała, że Monica coś wrzeszczy za jej plecami. To kazało jej się pozbierać i to szybko. Rzuciła się do biegu.

Ta część miasta była niemal zupełnie wyludniona – sklepy były pozamykane, na ulicach zaledwie kilku przechodniów.

Z których nikt nie chciał nawet na nią spojrzeć.

–Pomocy! – krzyknęła i zaczęła machać rękami. – Pomocy! Proszę... Wszyscy szli przed siebie, zupełnie jakby była niewidzialna. Przez chwilę szlochała z przerażenia, ale potem skręciła biegiem za róg i zatrzymała się jak wryta.

Kościół! Przez cały czas pobytu

w Morganville nie widziała jeszcze ani jednego a tu sobie stał. Nie był zbyt duży, ot, skromny biały budynek z niewielką wieżyczką. Nie było na nim krzyża, ale to na pewno był kościół.

Przebiegła przez ulicę, wbiegła po schodach i z impetem uderzyła w drzwi. I odbiła się od nich. Były zamknięte. – Nie – krzyknęła i zaczęła szarpać za te drzwi – Nie, proszę nie!

Tabliczka na drzwiach informowała, że kościół jest otwarty od zachodu do północy.

Co u diabła...?

Bała się za wiele domyślać. Zeskoczyła ze schodów, obiegła budynek aż na tyły. Tam, obok pojemnika na śmieci, znalazła tyle drzwi ze szklanym okienkiem. Też były zamknięte. Rozejrzała się wokoło, znalazła kawałek drewna i zamierzała się nim jak kijem bejsbolowym.

Trzask!

Podrapała sobie ramię sięgając do środka przez wybitą szybę w stronę zamka, ale udało jej się go dosięgnąć, a potem zatrzasnęła

drzwi za sobą. Przekręciła zamek w drzwiach, rozejrzała się wokoło gorączkowo i znalazła kawałek czarnej tablicy informacyjnej, która zasłoniła otwór po szybie. Miała nadzieje, że na pierwszy rzut oka nie da się wybitego okna zauważyć.

Cofnęła się do środka, spocona, obolała i zmęczona po biegu i weszła do kaplicy. Bo to na pewno była kaplica, a abstrakcyjnymi witrażami w oknach i długimi rzędami błyszczących drewnianych ławek, ale nie było tam żadnych krzyży, żadnego krucyfiksu, ani jednego

religijnego symbolu. Typowy kościół unitariański, zdecydowała.

Przynajmniej był pusty.

Claire opadła na ławkę gdzieś pośrodku świątyni, a potem wyciągnęła się na wyściełanym czerwonym aksamitem siedzeniu. Serce waliło jej szybko, bardzo szybko, i nadal była przerażona.

Nikt nie wiedział, gdzie jest. Ale jeśli spróbuje stąd wyjść, to Monica może...

One chciały spalić mnie żywcem.

Zadygotała, otarła łzy z policzków i próbowała myśleć, wymyślić coś, co mogła zrobić, żeby się z tego wyplątać. Może tu był jakiś telefon. Może zadzwoniłaby do Eve albo Shane'a? Zdecydowała, że do obojga. Do Eve, ze względu na samochód, a do Shane'a jako wiernego ochroniarza. Biedny Shane. Miał rację – naprawdę powinna przestać wydzwaniać do niego za każdym razem, kiedy potrzebny jej był ktoś silny. W pewien sposób wydało jej się, że to nie fair.

Claire zamarła i nie mogła złapać

tchu, bo usłyszała w kaplicy jakiś cichy odgłos. Jakby szelest materiału. Lekki szelest, jakby jakaś zasłona zaszepotała, poruszona powietrzem z klimatyzatora. Prawda? A może...

–Witaj – odezwała się bardzo blada kobieta, przechylając się nad oparciem ławki i patrząc na nią. – Jak sądzę, masz na imię Claire.

Dopiero po dłuższej chwili Claire rozpoznała tę kobietę. Wiedziała, że już ją gdzieś widziała, wprawdzie tylko przez ułamek sekundy, ale to była ona,

wampirzyca, która przyjechała limuzyną do Common Grounds po zamknięciu kawiarni.

Ale co robiła w kościele?

Claire powoli usiadła, niezdolna oderwać oczu od lekko uśmiechniętej kobiety. Miękkie, przefiltrowane przez szkło witraży światło nadawało jej twarzy złotawy blask.

–Śledziłam cię – powiedziała kobieta. – Chociaż, prawdę mówiąc, i tak sama dość lubię ten kościół. Bardzo tu spokojnie, nie sądzisz? Miejsce uświęcone. I

takie, które oferuje znajdującym się w środku osobom pewną... ochronę przed zagrożeniem.

Claire oblizwała wargi i poczuła słony smak łez.

–Chce pani powiedzieć, że mnie tutaj nie zabije. Uśmiech się nie zmienił, a może nawet zrobił nieco szerszy.

–Dokładnie to miałam na myśli, kochanie. Oczywiście, to samo dotyczy mojej straży. Zapewniam cię, są tu obecni. Nigdy nie jestem sama. To jeden z minusów pozycji, jaką zajmuję.

–Uśmiechnęła się i elegancko, nieznacznie pochyliła głowę. Wszystko w niej emanowało elegancją, od korony jedwabistych złotych włosów po jej ubranie. Claire nie zwracała szczególnej uwagi na modę, ale ten strój wyglądał jak ze starych zdjęć z czasów młodości jej matki. A może i babki.

–Nazywam się Amelie – ciągnęła kobieta. – W pewnym sensie już mnie znasz, chociaż być może nie jesteś tego świadoma. Proszę, dziecko, nie rób takiej przerażonej miny. Zapewniam cię szczerze, że nic złego cię z mojej strony nie

spotka. Zawsze udzielałam bardzo wyraźnego ostrzeżenia, zanim posunę się do przemocy.

Claire nie miała pojęcia, jak ma przestać wyglądać na osobę przerażoną, ale przynajmniej splotła ręce na kolanach, żeby powstrzymać ich drżenie. Amelie westchnęła.

–Jesteś w tym mieście od bardzo niedawna – powiedziała – ale rzadko mi się zdarza, obserwować, żeby ktoś w tak krótkim czasie zdążył wsadzić kij w tak wiele mrowisk. Najpierw Monica, potem Brandon, a teraz

słyszę, że zwracasz się po radę do mojego drogiego Olivera... I widzę, jak uciekasz jak szalona moimi ulicami... No cóż, ciekawisz mnie. Często o tobie myślę, Claire. O tym, kim jesteś. Dlaczego tu jesteś.

–Ja... jestem nikim – powiedziała Claire. – I wyjeżdżam z miasta. Rodzice zabierają mnie z uczelni. – Nagle stwierdziła, że to bardzo dobry pomysł. Nie tyle ucieczka, co wycofanie się na bezpieczniejsze pozycje.

–Rzeczywiście? No cóż, zobaczymy. – Amelie wzruszyła

**ramionami gestem, który nadał jej
wygląd lekko cudzoziemski. –
Wiesz, kim jestem?**

–Kimś ważnym.

**–Owszem. Kimś bardzo ważnym.
– Oczy Amelie spoglądały
stanowczo w półmroku,
pozbawione zdecydowanego
koloru. Może szare? Albo
niebieskie? Ale to nie barwa
nadawała jej spojrzeniu siłę. –
Jestem najstarszym wampirem na
świecie, moja droga. W pewnym
sensie jedynym wampirem, który
się liczy. – Powiedziała to bez
poczucia dumy. – Chociaż inni**

**mogą mieć odmienną opinię
oczywiście. Ale jeśli, to ogromnie
się mylą. Niebezpiecznie się mylą.**

–Ja... Nie rozumiem.

**–Nie, nie oczekuje, że
zrozumiesz – Amelie nachyliła się
i położyła smukłe, eleganckie,
białe dłonie na drewnianej ławce
przed sobą, a potem oparła na
nich spiczasta brodę. – W jakiś
sposób wmieszalaś się w nasze
poszukiwania książki. Jak
rozumiem, wiesz, o jaka książkę
chodzi.**

–Ja... Hm, owszem – Mowy nie

ma, żeby przyznała się, co trzyma w domu. Już raz ten błąd popełniła – To znaczy, wiem o wszystkich...

–Wampirach – podsunęła uprzejmie Amelie – To żaden sekret, moja droga.

–Wiem, że wampiry jej szukają.

–I tak się przypadkiem złożyło, że wpadłaś na nasze działania w bibliotece, gdzie przeszukujemy tom za tomem, żeby ją odnaleźć.

Claire zamrugnęła oczami.

-Ta książka należy do pani?

-W pewnym sensie. Powiedzmy, że należy do mnie tak samo jak do wszystkich, którzy obecnie żyją.

Ściśle rzecz biorąc, ja też żyje. Kiedyś mówiło się „nieumarły”, rozumiesz, ale czyż wszystkie żyjące istoty nie są nieumarłe? Nie lubię braku precyzji... Zdaje się, że to nas łączy, młoda damo. – Amelie lekko przechyliła głowę na bok. Cienie zadrżała, bo przypomniał jej się pewien przyrodniczy film. O modliszce obserwującej swój przyszły posiłek. – Wampir to także zużyte

**słowo. Chyba zalecę uczelni
wynalezienie nowego określenia,
bardziej – jak to się teraz mówi? –
przyjaznego dla użytkownika na
określenie tego. Czym jesteśmy.**

**–Ja... Czego pani ode mnie
chce? Spytała bez ogródek Claire.
A potem dodała idiotycznie:**

**...przepraszam. Bo wiedziała, że
odezwała się niegrzecznie, a
choć prerażali ją ta
wampirzyca, nie była wobec niej
niegrzeczna ani przez chwilę.**

**–Nie ma za co. Jesteś w dużym
stresie. Wybaczę ci chwilowy brak**

manier. Chcę od ciebie prawdy, dziecko. Chcę wiedzieć, czego się dowiedziałaś o książce.

–Ja... Hm, niczego.

Długa chwila milczenia. Claire usłyszała, że ktoś szarpał za frontowe drzwi kościoła.

–Szkoda – powiedziała Amelie spokojnie. – Miałam na dzieję, że będę w stanie ci pomóc. Okazuje się, że jednak nie.

–Hm... Jak to? To już wszystko?

–Tak. Obawiam się, że tak. –

Amelie znów się wyprostowała, ręce składając na kolanach. – Możesz wrócić tą samą drogą, którą przyszłaś. Życzę ci powodzenia, moja droga. Będziesz go potrzebowała. Niestety, życie śmiertelnika jest bardzo kruche i bardzo krótkie. Twoje może się okazać krótsze niż innych.

–Ale...

–Nie mogę ci pomóc, jeśli nie masz mi nic do zaoferowania. Życiem w Morganville rządzą pewne reguły. Nie mogę ot tak adoptować bezdomnych istot

tylko dlatego, że są ujmujące.

Żegnaj, mała Claire. Idź z Bogiem.

Claire nie miała pojęcia, jak rozumieć słowo „ujmujące”, ale ogólny przekaz do niej dotarł. Jeśli wcześniej otworzyły się przed nią jakieś drzwi – nieważne, czy prowadzące do dobrego, czy złego – to teraz znów się zatrzasnęły. Wstała, zastanawiając się, co ma powiedzieć i zdecydowała, że najlepiej będzie może nie mówić nic...

...i wtedy usłyszała, że tylne drzwi kościoła otwierają się z trzaskiem.

–O cholera – szepnęła. Amelie spojrzała na nią z dezaprobatą. – Przepraszam.

–Jesteśmy w domu modlitwy – spokojnie stwierdziła wampirzyca. – Naprawdę, czy twojego pokolenia nikt nie uczy, jak należy się zachowywać?

Claire schowała się za ławkę. Usłyszała czyjeś szybkie kroki, a potem głos Moniki. – Bardzo panią przepraszam! Nie

wiedziałam, że pani tu jest...

–Ale jestem – odezwała się chłodno Amelie. – Morrell, prawda? Wiecznie mi się mylą te wasze nazwiska.

–Monica Morrell.

–Jak miło. – Głos Amelie już nie był chłodny tylko wręcz lodowaty. – Monico Morrell, będę musiała prosić, żebyś stąd wyszła. To nie miejsce dla ciebie. To miejsce jest objęte moją pieczęcią. Znasz zasady.

–Przepraszam. Nie pomyślałam...

**–Częsty przypadek, jak
mniemam. Proszę odejść.**

**–Ale... Tu jest taka dziewczyna...
Czy ona...?**

**Głos Amelie przypominał szron
osiadający na zamarznętej
szybie.**

–Zadajesz mi pytania?!

**–Nie! Nie, przepraszam bardzo,
to się nie powtórzy.**

**Przepraszam... – Głos Moniki
cichnął. Wycofywała się
przejściem między ławkami. Claire
nie ruszała się z miejsca.**

O mało nie krzyknęła, kiedy Amelie znów zagórowała nad ławką i spojrzała w jej stronę. Nie usłyszała żadnego ruchu. Zupełnie żadnego.

–Sugeruję, żebyś poszła prosto do domu, mała Claire – powiedziała Amelie. – Sama bym cię tam zabrała, ale w ten sposób dałabym do zrozumienia więcej, niż w tej chwili mogę sobie pozwolić. Biegnij. Biegnij do domu. Już, śpiesz się. I... Jeśli okłamałaś mnie w sprawie książki, to pamiętaj, że wielu ludzi może pożądać tak wartościowego przedmiotu, i to z wielu powodów.

Upewnij się, czego chcą, zanim im ją przekażesz.

Claire powoli odsunęła dłonie, którymi osłaniała głowę i wsunęła się na siedzenie ławki, spoglądając wampirzycy w twarz. Nadal się bała, ale Amelie nie wydawała się... No cóż... zwyczajnie zła. Po prostu zimna. Zimna jak lód. I wiekowa.

–Co takiego w niej jest? – zapytała Claire. – W tej książce? Uśmiech Amelie był blady jak stary, wyblakły jedwab.

–Życie – powiedziała. – I śmierć.

Więcej powiedzieć ci nie mogę. To by było niewłaściwe. – Uśmiech zniknął, został tylko przejmujący chłód. – Sądzę, że teraz już naprawdę powinnaś pójść.

Claire poderwała się i szybko ruszyła przed siebie, co krok oglądając się przez ramię. Zobaczyła, że pojawiają się inne wampiry, wcześniej ich nie zauważyła, ani jednego. Poznała Johna, tego z biblioteki. Wyszczrzył do niej zęby, bynajmniej nie przyjaźnie. Jedno oko miał zasnute bielmem. Rzuciła się biegiem.

Gdziekolwiek poszła Monica i jej kumpele, nie poszły w tę samą stronę co Claire – a Claire całą drogę na Lot Street przebyła biegiem. Kiedy skręcała za róg, w płucach ją paliło i o mało nie rozplakała się z radości na widok wielkiego starego domu.

I Shane'a siedzącego na stopniach werandy.

Wstał bez jednego słowa, a ona rzuciła się w jego stronę; porwał ją w objęcia i przez kilka chwil mocno tulił do siebie, a potem odsunął na odległość ramienia, żeby sprawdzić, czy nic jej nie

jest.

**–Ja wiem – powiedziała. –
Mówiłeś, żebym nie wychodziła.
Przepraszam. Pokiwał głową z
ponurą miną.**

**–Do środka. Kiedy już znalazła
się w domu, za bezpiecznie
zamkniętymi drzwiami, od razu
wypaplała mu całą historię. O
Monice, furgonetce, zapalniczce,
kościelce, wampirzycy. Nie zadawał
jej żadnych pytań. Nawet okiem
nie mrugnął. Skończyły jej się
słowa, a on nadal patrzył na nią
spojrzeniem pozbawionym
wyrazu.**

–Mam nadzieję, że lubisz swój pokój – powiedział wreszcie. – Bo mam zamiar cię w nim zamknąć i nie wypuszczę, do póki rodzice nie przyjadą, żeby cię wsadzić do samochodu.

–Shane... Daj spokój. Nie ściemniaj mi tu, Claire. Zostaniesz przy życiu, żebym nie wiem co musiał zrobić. – W jego głosie brzmiała ledwo hamowana furia. – I jeszcze jedno. Musisz mi powiedzieć o Michaelu.

–Co?

–Mówię serio, Claire. Mów, ale

już. Bo nigdzie nie mogę go znaleźć, i wiesz co? Ja go nigdy nie mogę znaleźć w ciągu dnia. Cholera! Poczulaś to? – Poczula. Po jej skórze przesunęła się fala chłodu. Michael usiłował jej coś przekazać. Pewnie: „Do diabła, nic mu nie mów”. – Nie poradzimy sobie z tym wszystkim, jeśli nie będziemy trzymać się razem. – Jabłko Adama podskoczyło Shane'owi, kiedy przelykał ślinę. – Czy on... No wiesz. Czy jest jednym z nich? Bo muszę to wiedzieć.

–Nie – powiedziała. – Nie, nie jest. Shane zamknął oczy i oparł

się rękoma i głową o ścianę.

–Dzięki ci Boże. Wariowałem już. Myślałem... No wiesz, być nocnym markiem to jedno, ale Michael... Ja... Ja myślałem, że...

–Czekaj – powiedziała Claire i głęboko odetchnęła. Znow przejął ją chłód; Michael usiłował ją powstrzymać. Zignorowała to. – Przestań, Michael. On powinien to wiedzieć.

Shane oderwał ręce od ściany i obejrzał się w jej stronę, marszcząc brwi.

**–Michaela tu nie ma.
Sprawdzałem. Przeszukałem ten cholerny dom od piwnicy po dach.**

–Owszem, jest tu. To chłodne miejsce. – Wyciągnęła rękę i pomachała nią przez smugę lodowatego powietrza. – Jak rozumiem, stoi dokładnie... Tu. – Spojrzała na zegarek. – Pojawi się mniej więcej za dwie godziny, po zachodzie słońca. Wtedy go zobaczysz.

–O czym ty, do diabła, mówisz?

–O Michaelu. On jest duchem.

**–Och, daj spokój! Bzdura!
Przecież facet siedzi z nami przy
obiedzie!**

**Wzruszyła ramionami, uniosła
ręce w górę, a potem ruszyła do
odejścia.**

**–Sam pytałeś. I super. To teraz
wiesz. A tak przy okazji, to dzięki,
nic mi się nie stało.**

**–Jak to, jest duchem? – Shane
dogonił ją i zastąpił jej drogę. –
Daj spokój. Duch? Przecież on
jest tak samo prawdziwy jak ja!**

–Czasami – zgodziła się z nim. –

Zapytaj go. A jeszcze lepiej, obserwuj o świcie. A potem powiedz mi, czym jest, bo ja umiem go określić tylko jako ducha. Chodzi o to, że on nie może opuścić tego domu, Shane. Nie może nam pomóc. Jest tu uwięziony, a w ciągu dnia nie może się nawet z nami porozumieć. Tylko tak... dryfuje.

– Znow pomachała ręką przez falę chłodniejszego powietrza. – Przestań, Michael. Wiem, że jesteś wkurzony. Ale on ma prawo wiedzieć.

– Claire! – Shane złapał ją za ramiona i potrząsnął. – Ty

rozmawiasz z powietrzem!

–Nieważne. Puszczaj. Muszę coś zrobić.

–Co zrobić?

–Spakować się! – Wyrwała mu się i poszła na górę, wbiegając po dwa stopnie naraz. Shane zawsze trzaskał drzwiami swojego pokoju, kiedy był wściekły. Teraz ona tego spróbowała. Pomogło.

Zimne powietrze podążyło za nią.

–Cholera, Michael, wynoś się z mojego pokoju, perwercie! – Czy

człowiek może być perwertem po śmierci? Pewnie tak, jeśli ma przez połowę czasu normalne ciało. – Przysięgam, że zaraz zacznę się rozbierać!

Zimne powietrze uparcie tam tkwiło aż do chwili, kiedy uniosła T – shirt do stanika, a wtedy zniknął.

–Tchórz – rzuciła i zaczęła chodzić po pokoju z kąta w kąt. Zmartwiona i dość mocno przestraszona. Shane zaczął dobijać się do drzwi, ale ona wyciągnęła się na łóżku, nakryła twarz poduszką i udawała, że go

nie słyszy.

Przyszedeł zmierzch, granatową gazą zasnuwając niebo; patrzyła, jak słońce na wpół kryje się za horyzontem, a wtedy otworzyła drzwi i zamaszystym krokiem wyszła ze swojego pokoju. Shane właśnie wychodził z sypialni Michaela. Nadal szukał kogoś, kogo znaleźć nie mógł. A przynajmniej nie w taki sposób, jak to sobie wyobrażał.

–Michael! – wrzasnęła Claire ze swojego końca korytarza i poczuła, że zimne powietrze otula ją jak lodowaty koc. Shane obrócił

się na pięcie, a ona poczuła, że zaczyna się zbierać ta mgła, gęsta i ciężka, a potem to zobaczyła, niewyraźny szary kształt w powietrzu...

Drzwi Eve otworzyły się na oścież.

–Co tu się wyprawia, do licha? – wrzasnęła. – Moglibyście obniżyć poziom hałasu chociaż do lotniskowego?

...A wtedy Michael... Po prostu się pojawił. Dokładnie w środku między nimi trojgiem. Z szarej mgły wyłoniła się obdarzona

ciałem postać. Eve wrzasnęła. Michael upadł, podpierając się dłońmi i kolanami, a potem przekręcił się na bok i popatrzył w sufit.

–Cholera! – sapnął i został tam na ziemi, walcząc o oddech. Oczywiście miał przerażone, a Claire zrozumiała, że dla niego codziennie to wygląda tak samo. I co noc też. Nic bardziej przerażającego nie mogła sobie wyobrazić.

Claire spojrzała na Shane'a. Zastygł bez ruchu, z otwartymi ustami, wyglądał jak karykatura

samego siebie. Eve, w swoich drzwiach, też.

Claire podeszła do Michaela i wyciągnęła do niego rękę, mówiąc:

–No cóż, to chyba teraz mamy jasność. Rzucił jej wściekłe spojrzenie, a potem przyjął rękę i pozwolił sobie pomóc wstać. Zatoczył się i oparł o ścianę, kręcąc głową, kiedy Claire chciała go podtrzymać.

–Za moment – powiedział. – To dużo człowieka kosztuje. – Duch! Jesteś duchem, o którym mówiła

**Miranda! O mój Boże, Michael,
jesteś duchem! Ty draniu!**

–zapiszczała Eve.

**Pokiwał głową, nadal
koncentrując się na oddechu. Eve
odzyskała kontrolę nad głosem:**

**–O Boże, w życiu nie widziałam
czegoś równie fantastycznego!
Shane był... blady. Blady i
wstrząśnięty i... – ale
niespodzianka! – wkurzony.
Michael spojrzał mu w oczy i tych
dwóch patrzyło na siebie przez
długą chwilę, zanim Shane się
odezwał:**

–To dlatego prosileś, żebyśmy wrócił.

–Ja... – Michael odkaszlnął. Kiedy tym razem osłabł, Eve otoczyła go ramionami. Najpierw się zdziwił, ale chyba zrobiło mu się przyjemnie. – Nie tylko dlatego...

**–Rozumiem – powiedział Shane.
– Rozumiem, człowieku, naprawdę. Co się stało, do cholery, kiedy mnie tu nie było?**

Michael tylko pokręcił głową.

–Później. Claire zrozumiała, że

tak naprawdę Shane nie był wcale wkurzony. Odwrócił się i zbiegł po schodach na dół, zanim zdążyła coś powiedzieć, ale dostrzegła wyraz jego oczu. Zrozumiała.

On stracił Alysę. I teraz wydaje mu się, że Michaela też. Naprawdę nie wiedziała, jak musiał się czuć, mogła sobie to tylko wyobrażać, bo ona sama – rozumiała to – wychowała się pod kloszem. Nigdy nikogo nie straciła, wszyscy dziadkowie żyli. Żałoba była czymś oglądanym w telewizji, w kinie, czymś, o czym czytała w książkach.

Nie miała pojęcia, co mu powiedzieć. Myślała, że Shane się tym nie przejmie, tak jak nie przejmował się chyba niczym, ale...

– Claire – poprosił Michael. – Nie pozwól mu wyjść. Pokiwała głową i zostawiła Eve z Michaelem. Oboje wyglądali zadziwiająco swobodnie, jak na tę całą sytuację „żywy – mar – twy – ale – nie – do – końca”. Pomyślała sobie, że jeśli duch już musi mieć dziewczynę, to cóż, na lepszą niż Eve nie mógłby chyba trafić.

Shane stał na dole. Po prostu...

stał. Nie zwracał uwagi ani na nią, ani na nic innego. Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć jego ramienia, ale właśnie wtedy do drzwi frontowych ktoś zastukał.

–Przysięgam, jeśli to Miranda... – zgrzytnął zębami Shane. Ręce zacisnął w pięści.

–Nie, moim zdaniem to ktoś do mnie – powiedziała Claire, ominęła go i podbiegła do drzwi. Najpierw wyjrzała przez wizjer i rzeczywiście, na progu stał Oliver z dość niewyraźną miną. Przypuszczała, że miał po temu powody... Jezu, łażenie

gdziekolwiek w Morganville po zmierzchu było zupełnie jak noszenie na plecach tabliczki z napisem „Zjedz mnie”.

Zwolniła zamek i szeroko otworzyła drzwi.

–Mam mało czasu – powiedział. – Gdzie oni są? Shane i Eve?

–W środku. – Otworzyła drzwi szerzej, co jest przecieź uniwersalnym znakiem zaproszenia do wejścia. On jednak nie wszedł. Zamiast tego uniósł głowę i pomachał przed sobą ręką, dość dziwnie

marszcząc brwi. – Oliver?

–Obawiam się, że musisz mnie do środka zaprosić – powie dział.

– Mam wrażenie, że ten dom jest obłożony jakąś specyficzną Ochroną. Nie mogę wejść, jeśli mnie sama nie zaprosisz.

–Och. Przepraszam. – Już miała zaprosić go do środka, kiedy dotarło do niej, że może to jednak nie jest najlepszy pomysł, tak po prostu zapraszać do Domu Glassów kogoś, kogo nie za prosił sam właściciel. Zwłaszcza że miała tu mieszkać jeszcze tylko jeden dzień.

–Hm, możesz poczekać jedną sekundę?

–Nie, Claire, naprawdę nie mogę – powiedział Oliver nie cierpliwie. Nadal miał na sobie te same hipisowskie ciuchy co w Common Grounds, ale z jakiegoś powodu wyglądał... Inaczej. Dziwniej. – Proszę, zaproś mnie do środka. Nie mam czasu, że by czekać.

–Aleja...

–Claire, ja nie zdołam ci pomóc, jeśli mi nie zaufasz! A teraz szybko, zanim będzie za późno, zaproś mnie!

–Nie! – rozległ się za nią absolutnie przerażający krzyk, a ona odskoczyła na bok i zakryła sobie usta dłońmi, żeby po wstrzymać własny krzyk. To nie Shane rzucił się w jej stronę, to był Michael. Za nim stali Shane i Eve. – Claire, wracaj!

Michael miał minę anioła zemsty, a z aniołami zemsty nikt się nie wyklóca. Claire czmychnęła do środka, nadal zakrywając dłońmi usta, a Michael wyminął ją i podszedł prosto do progu. Na sam skraj swojego terytorium.

Oliver zrobił rozczarowaną minę,

ale widziała, że nie był zdziwiony.

–Ach, Michael. Dobrze cię znów zobaczyć. Widzę, że da jesz sobie radę.

Michael nic nie odpowiedział, ale ze swojego miejsca obok niego Claire dostrzegła spojrzenie, jakim obrzucił Olivera i aż się przeraziła. Nie sądziła, że Michael byłby zdolny aż tak się rozgniewać.

–Czego tu szukasz? – zapytał cierpko. Oliver westchnął.

–Wiem, że mi nie uwierzysz – powiedział – ale, prawdę mówiąc,

**mam na myśli najlepiej pojęte
dobro twojej młodej przyjaciółki.**

Michael roześmiał się gorzko.

–Jasne, założę się.

**–No i twojego kumpla Shane'a...
– Oliver oderwał na moment
wzrok od Michaela i spojrział na
Shane'a, a potem na Eve.**

**–I oczywiście mojej kochanej,
słodkiej Eve. Taka dobra
pracownica.**

**Michael obejrzał się powoli na
Eve, której oczy rozszerzył strach**

**albo, myślała Claire,
oszołomienie.**

**–Znacie się? – zdziwiła się Eve. –
Ale... Michael, mówiłeś, że nie
znasz Olivera... No i...**

**–Nie znałem go – powiedział
Michael i znów spojrział w stronę
drzwi – aż do chwili, kiedy mnie
zabił. Formalnie nikt nas sobie
nigdy nie przedstawił.**

**–Tak – powiedział Oliver i
wzruszył ramionami. – Przykro mi
z tego powodu. Nie było w tym nic
osobistego, po prostu pewnego
rodzaju eksperyment, który się**

nie powiódł. Ale cieszę się, że przetrwałeś, nawet jeśli nie do końca w takiej formie, na jaką liczyłem.

Michael wydał z siebie odgłos, którego Claire nie chciałaby już nigdy więcej słyszeć u nikogo, żywego czy martwego. Tym razem to Eve zakryła dłońmi usta, a potem szybko je od ust odjęła i wrzasnęła:

–O mój Boże! Oliver!

–O mojej moralności możemy podyskutować później – powiedział. – Na razie trzeba,

żebyście mnie wpuścili do domu i to jak najszybciej.

–Chyba żartujesz – parsknął Michael. – Moim zdaniem jedna martwa osoba w tym domu zupełnie wystarczy. Nie wpuszczę cię tu, żebyś pozabijał resztę.

Oliver przez długą chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

–Miałem nadzieję, że uda się tego jakoś uniknąć – powiedział wreszcie. – Wiesz, twoja mała Claire to naprawdę cudowne dziecko. Twierdzi, że znalazła książkę. Moim zdaniem czeka ją w

**Morganville całkiem obiecująca
kariera... O ile przetrwa tę noc.**

**Michael wyglądał, jakby robiło
mu się niedobrze. Zerknął na
Claire, a potem odwrócił wzrok.**

**–Nieważne. Odejdź. Nikt cię do
środka nie zaprosi.**

**–Nie? – Oliver uśmiechnął się
szeroko i leniwie wyszczerzył kły.
Claire jeszcze nigdy nie widziała
czegoś równie przerażającego jak
to, i jak ta szczerłość w jego
oczach. – Moim zdaniem ktoś
zaprosi. Wcześniej czy później.**

–Powiedziałbym, że po moim trupie, ale chyba to już nieaktualne – rzucił Michael. – Dzięki za wizytę. A teraz spieprzaj, stary.

Zaczął zamykać drzwi. Oliver uniósł rękę – nie tak, jakby chciał powstrzymać go siłą, tylko dla ostrzeżenia, i schował kły, a jego twarz znów stała się sympatyczna i godna zaufania. To, pomyślała Claire, największa zdrada w tym wszystkim.

–Zaczekaj. Czy oni rozumieją, po co tu są, Michael? Dlaczego zaryzykowałeś zdradzenie im

swoich sekretów? – Michael nie czekał. Zamykał Oliverowi drzwi przed nosem.

–Shane, posłuchaj mnie! Michael potrzebował tu kogoś żywego, żeby uruchomić Ochronę domu! Myślisz, że jesteś dla niego ważny, ale to nieprawda! Jesteście dla niego tylko rękoma i nogami! Bijącymi sercami! On się w niczym nie różni ode mnie!

–Poza tym, że nie wysysa niczyjej krwi, ty bydlaku! – wrzasnął Shane, a drzwi wreszcie się zatrzasnęły. Michael drżącymi palcami zasunął zasuwę. –

Chryste, człowieku. Dlaczego nam nie powiedziałaś?

–Ja... O czym? – spytał Michael, nie patrząc mu w twarz. Claire widziała, że był blady. Przestraszony.

–O wszystkim, cholera! Michael, jak do tego doszło? Jak zostałeś...? – Shane wykonał gest na tyle ogólny, że mógł oznaczać wszystko. – Czy on, no wiesz, próbował zrobić z ciebie wampa?

–Tak mi się wydaje. Nie udało mu się. Tylko tyle mi wiadomo. – Michael z trudem przełknął ślinę i

spojrzał na przyjaciela.

–Co do Ochrony, miał rację. Dom jej nie zapewnia, jeśli nikt żywy w nim nie mieszka. Ja nie do końca się liczę. Ja... teraz jestem jego częścią. Potrzebowałam cię.

–No i dobrze, stary. To mnie nie rusza. Rusza mnie to, że dałeś się wypić jakiejś cholernej pijawie, kiedy tylko na chwilę zniknąłem...

–On nie może być wampirem – odezwała się nagle Eve.

–Nie może. To mój szef! A poza tym... pracuje w ciągu dnia! Jak

to w ogóle możliwe?

–Zapytaj go – powiedział Michael. – Następnym razem, kiedy będziesz w pracy.

–Och, jasne, jakbym nie zamierzała tej pracy z miejsca rzucić! – Eve stanęła obok Michaela i objęła go ramionami.

Odwzajemnił uścisk, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Jakby tak się cały czas obejmowali, i Claire pomyślała, że może tak i jest, tylko ona o tym nie wiedziała. Michael pogłaskał Eve po włosach. – Boże. Tak

strasznie mi przykro.

**–To nie twoja wina – powiedział.
– To niczyja wina, wy łącznie jego.**

–Jak to się...?

**–Miałem występ w Common
Grounds. Nie wiedziałem, że on
jest właścicielem. Załatwiałem to z
facetem, który miał na imię
Chad...**

**–No tak. Chad nie żyje –
powiedziała Eve.**

**–Ciekawe jak umarł? – spytał
Shane lodowatym tonem.**

–Ten facet... To znaczy, Oliver, aleja nie wiedziałem, że on tak ma na imię... Powiedział, że sam jest muzykiem i szuka pokoju do wynajęcia. Pomyślałem, że to niezły pomysł. Przyszedł obejrzyć dom. – Michael mocno zacisnął powieki, jakby nie mógł znieść obrazów, które znów się pojawiały w jego głowie. – Kiedy tylko zaprosiłem go do środka, poczułem to. Ale było już za późno, a on... Miał przyjaciół.

Shane zaklął jednym ostrym słowem, które walnęło w podłogę jak wystrzał, a potem oparł się o ścianę. Opuścił głowę, zgarbił się.

**–Powiniennem tu być –
powiedział.**

–Wtedy zginęlibyśmy obaj.

**–I zginiecie – odezwał się głos
Olivera zza drzwi. – Eve, miła
moja. Posłuchaj mnie. Posłuchaj
mojego głosu. Wpuść mnie do
środka.**

**–Zostaw jąw spokoju! – ryknął
Michael i obrócił się twarzą do
drzwi. Claire zobaczyła, że w
twarzy Eve coś się zmienia –
znikała z niej wolna wola, jakby
gasło w jej oczach jakieś
światelko. O nie, pomyślała,**

stojąc jak sparaliżowana, i otworzyła usta, chcąc ostrzec Michaela.

Ale zanim zdążyła, Eve powiedziała: – Tak, Oliver. Wejź do środka.

Zamek w drzwiach ustąpił z krótkim trzaśnięciem, a drzwi się otworzyły. Z mroku nocy Oliver wszedł przez próg do Domu Glassów.

Rozdział 15

Claire nawet nie zauważyła, żeby Michael się poruszył, był aż tak szybki. Do tej chwili uważała, że to całkiem normalny facet... No dobra, taki, który w ciągu dnia zamieniał się w mgłę. Ale nikt nie umie poruszać się tak szybko. Nikt, kto jest człowiekiem.

I nikt nie powinien być aż tak silny. Michael złapał Olivera za ramiona, uniósł go w powietrze i cisnął nim przez hol, tak że Oliver uderzył w przeciwległą ścianę. Claire rzuciła się na ziemię, żeby

usunął się z drogi. Tak samo Shane i Eve, chociaż Eve rzuciła się w stronę Olivera, nie w przeciwną. Shane zdołał złapać ją za kostkę u nogi i pociągnął do siebie, wierzgającą i wrzeszczącą.

Michael rzucił się na Olivera. Kiedy wampir podnosił się na nogi, Michael uderzył w niego całym ciałem. Oliver był silny i szybki, ale w tym domu Michael był nie do pokonania, a teraz jeszcze kierował nim prawdziwy, potężny gniew.

–Ty idioto! – wrzasnął do niego Oliver. – Czy ty nie rozumiesz, co

powiedziałem? Claire ma książkę!

–Nic mnie to nie obchodzi!

–Musisz cię obchodzić! Jeśli jej nie oddacie, wszystkich was rozszarpia na strzępy, żeby tylko ją dostać! Ja was próbuję ratować!

Michael dwa czy trzy razy walnął wampira w twarz, ruchem szybszym niż mrugnięcie powiek Claire. Oliver znów poleciał na podłogę. Rozpaczliwie usiłował się czegoś złapać, a potem przetoczył się na bok i przez potargane siwiejące włosy

**obrzucił ich wściekłym
spojrzeniem. Wampiry jednak
krwawią, jak się okazało, ale
wyglądało to trochę dziwnie –
krew była nie dość czerwona i za
gęsta. Skapywała z kącików ust
Olivera, który warknął, obnażając
kły i próbował przyciągnąć do
siebie Michaela tak blisko, żeby
móc go ukąsić. Michael uderzył
go tak mocno, że jeden z kłów
złamał się i potoczył po podłodze
jak sztylet z kości słoniowej.
Oliver krzyknął z zaskoczenia i
ból, i zwinął się w kłębek,
próbując się zasłonić.**

–Eve! – wrzasnął Michael,

ciągnąc go za jedną stopę w stronę drzwi. – Cofnij zaproszenie! Zrób to! – Oliver stawiał teraz dziki opór, paznokciami ryjąc w parkiecie holu głębokie bruzdy, warcząc i wrywając się. – Eve!

Shane podskoczył do Eve, postawił ją na nogi i potrząsnął nią mocno. To nie pomogło. Nadal patrzyła poprzez niego w przestrzeń, z twarzą nieruchomą i obojętną. Claire odsunęła go na bok i mocno uderzyła Eve w twarz. Eve wrzasnęła, uniosła dłoń do obolałego policzka i zamrugowała powiekami.

–No co ty...? – A potem spojrzała za plecy Claire na wściekłą walkę toczącą się w holu i otworzyła usta ze zdumienia.

**–Eve! – znów wrzasnął Michael.
– Zaproszenie! Musisz je cofnąć!
Natychmiast!**

–Ale ja nie... – Eve nie traciła czasu na sprzeczki. – Oliver! Wynoś się do diabła z naszego domu! Oliver znieruchomiał. Kompletnie znieruchomiał jak martwy człowiek. Michael podniósł go za ramię i nogę, i wyrzucił w mrok na zewnątrz. Claire usłyszała, jak wampir

uderzył o chodnik na zewnątrz i zaklął, a potem podniósł się na nogi i wrócił pod drzwi.

Odbił się od niewidzialnej zapyry powietrza na progu.

–Nie jesteś tu mile widziany! – warknął Michael. Miał skaleczoną twarz, aż na szyję spływała mu cienka niteczka krwi, i oddychał z trudem. – A przy okazji, Eve właśnie złożyła wy mówienie.

Zatrzasnął drzwi tuż przed rozwścieczoną twarzą Olivera i oparł się o nie roztrzęsiony. Wcale już nie wyglądał na tak

silnego. Był przerażony.

–Michael? – spytała Eve bez tchu – Jak się czujesz?

–Miodnie – powiedział i jakoś się wziął w garść. – Eve, nie podchodź do drzwi. Raz cię wrobił, może próbować zrobić to znowu. Claire! Ty też. Odsuńcie się od drzwi. – Złapał ją za ramię i pociągnął zdemolowanym holem – posadzka była porysowana, ściany odarte z farby i podrapane – i posadził ją dość brutalnie na kanapie. – Claire?

–Tak? – Za szybko to wszystko

się działo. Nie wiedziała, co chce od niej usłyszeć.

-Książka?

-No tak. Cóż... Widzicie, w bibliotece jest takie piętro, gdzie przeglądają książki, i profesor Wilson stamtąd je kradł, i...

Uciszył ją uniesieniem ręki.

-Masz tę książkę?

-Tak.

-Proszę, powiedz mi, że nie przyniosłaś jej tutaj.

–Ale... Przyniosłam. Michael opadł na fotel, pochylił się naprzód i schował twarz w dłoniach.

–Słodki Jezu, czy do ciebie w ogóle nie dotarło, co się dzieje w tym mieście? Naprawdę masz tę książkę?

–No... raczej tak. – Wstała i chciała już po nią pójść, ale Michael uniósł głowę i złapał ją za nadgarstek, kiedy przechodziła obok niego.

–Nie – powiedział. – Zostaw ją, gdzie jest. Im mniej wiemy, tym

lepiej. Musimy się zastanowić, co robić, bo Oliver wcale nie żartował. Nie przyszedłby tutaj, gdyby nie zamierzał nas dla tej książki pozabijać. W ten sposób poważnie ryzykował. Wie, jak potężna jest Ochrona tego domu.

–To dlatego mogłeś go pobić? – spytał Shane. – Bo wiesz, jestem twoim najlepszym przyjacielem, ale aż taki mocarz to ty jednak nie jesteś.

–Dzięki, dupku jeden. Tak. Stanowię część tego domu, a to znaczy, że mogę wykorzystywać jego zasoby. Dom jest mocny.

Naprawdę mocny.

–Dobrze wiedzieć. No to jaki mamy plan? Michael wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

–Zaczekamy do świtu – powiedział. – Eve, Oliver wychodził z kawiarni, kiedy świeciło słońce?

–Hm... – zastanowiła się. – Nie. Zwykle siedzi w swoim biurze albo stoi za barem, z daleka od okien. Ale ja myślałam, że wampiry w ciągu dnia śpią!

Claire pomyślała o kościele, do

którego zapędziła ją Monica, i o bardzo eleganckiej, wiekowej kobiecie, która siedziała tam w ławce.

–Moim zdaniem nie muszą – powiedziała. – O ile są stare. On musi być naprawdę stary.

–Nic mnie nie obchodzi, czy jest stary – powiedział Shane.

–Opaleniźny nie ma. Zaczekamy do świtu, a wtedy jakoś zabierzemy stąd Claire i książkę.

–Ona nie może jechać do domu. Jej pierwszej zaczną szukać! –

powiedziała Eve. Claire zrobiło się zimno.

–Ale... Moi rodzice! Co będzie z rodzicami? Przez chwilę czy dwie nikt jej nie odpowiadał, a potem Shane podszedł i usiadł obok niej.

–Myślisz, że nam uwierzą? Jeśli opowiemy im prawdę?

–Co, o Morganville? O wampirach? – roześmiała się i ten śmiech zabrzmiał histerycznie. – Żartujesz sobie? Nigdy w to nie uwierzą!

–A poza tym – odezwała się Eve i

usiadła po jej drugiej stronie, biorąc Claire za rękę – nawet jeśli ich jakoś przekonasz, zapomną wszystko, kiedy tylko wyjadą z miasta. Trudno popaść w paranoję, kiedy człowiek nie pamięta, że może być ścigany.

–No tak – zgodził się Shane. – Ucieczka odpada... Nie możemy rzucić rodziców Claire na pożarcie wampirom... Prawda?

Michael i Eve pokiwali głowami.

–Ten sam problem mamy z Claire. Nawet jeśli jakoś ją wywieziemy poza miasto,

**zapomni, przed czym ucieka.
Będą mogli ją złapać.**

Kolejne skinięcia.

–No to co robimy?

**–Przehandlujmy książkę? –
zasugerowała Claire. Wszyscy
spojrzeli na nią. – Co? I tak
zamierzałam to zrobić. W zamian
za parę rzeczy.**

**–Na przykład? – spytał z
niedowierzaniem Michael.**

**–Na przykład... Żeby Brandon
odstąpił od umowy z Shane'em. I**

żeby Monica z tymi swoimi wariatkami odczepiła się ode mnie. I... Ochrona dla wszystkich akademików, żeby studenci by li bezpieczni. – Zarumieniła się, bo przyjaciele patrzyli na nią tak, jakby pierwszy raz widzieli ją na oczy. – W ten sposób Oliver do wiedział się o książce.

Schrzaniłam sprawę. Chciałam dobić targu, ale myślałam, no wiecie, że to porządny facet, który może nam pomóc. Nie wiedziałam, że on jest wampirem.

–Że jest wampirem? – powtórzył Michael. – To uosobienie wampira. Shane zmarszczył brwi.

–Stary, skąd wiesz?

–Bo w pewien sposób sam jestem do nich podobny – od part Michael. – I coś we mnie pragnie robić to, co on mi każe.

–Ale... Nie za duża ta część, prawda? – odważyła się spytać Eve.

–Nie. Ale on ma sporą władzę. Shane wstał i podszedł do okien, odsunął zasłonę, a potem wyjrzał na zewnątrz.

–Ale jazda – powiedział.

-Co jest?

-Wszystkie wampiry z miasta, stary. Sam popatrz. Michael podszedł do okna i też wyjrzał, a potem Eve. Kiedy wcisnęła się między nich Claire, aż ją zatkało, bo zobaczyła na zewnątrz dziesiątki ludzi, którzy stali lub siedzieli obserwując dom. Nienaturalnie nieruchomi. Eve podbiegła do innego okna.

**-Tutaj to samo! – zawołała. –
Czekajcie!**

-Shane... – powiedział Michael i spojrzał w jej stronę. Shane

pobiegł śladem Eve. – No to wymykanie się z domu ma my z głowy. Chyba będziemy tu tkwić całą noc, co najmniej. Większość z nich w ciągu dnia musi się schować. Przynajmniej te, które nie znoszą bezpośredniego światła słonecznego mani nadzieję. Więc wtedy pojawią się może jakieś inne opcje.

–Michael... – Claire zbierało się na płacz. – Ja nie wiedziałam. Myślałam, że robię coś dobrego. Naprawdę tak myślałam.

Objął ją ramieniem.

–Wiem. To nie twoja wina. Być może to był głupi pomysł, ale za to słodki. – Pocałował ją w policzek. – Lepiej trochę od poczniej. A jeśli usłyszysz jakieś głosy, próbuj nie słuchać. Będą próbowali nas testować.

Pokiwała głową.

–Co zrobimy?

–Nie wiem – powiedział cicho. – Ale coś wymyślimy.

Claire zwinęła się w rogu kanapy i przykryła kocem. Eve ułożyła się w drugim rogu. Nikt nie miał

ochoty iść na górę do łóżka. Shane często wstawał i chodził, naradzając się cicho z Michaeliem, który nawet na chwilę nie wyciągnął gitary. Obaj byli podminowali. Jakby spodziewali się najgorszego.

Claire nie chciała zasypiać, myślała, że o wiele za bardzo się boi, ale w końcu wreszcie zasnęła, kiedy zbliżał się świt. Jakieś głosy coś do niej szeptały – wydawało jej się, że to Michael. A potem Shane. Wstań, mówią głosy. Wstań i otwórz drzwi. Otwórz okno. Wpuść nas do środka. Pomożemy ci, jeśli nas

wpuścisz.

Coś odszepnęła przez sen, spocona i niespokojna, i poczuła na czole dłoń Shane'a.

– Claire. – Otworzyła oczy i zobaczyła, że siedzi obok niej. Twarz miał zmęczoną. – Śni ci się jakiś koszmar.

Chciałabym – mruknęła, spróbowała przełknąć ślinę i przekonała się, że ma straszne pragnienie. Była osłabiona, czuła się, jakby miała gorączkę. No to już jest idealny moment, żeby złapać grypę...

–Michael – Głos Olivera dobiegł cicho od strony zamkniętych drzwi. – Powinieneś coś zobaczyć, mój chłopcze! Wyjrzyj przez okno.

–Pułapka – zareagował natychmiast Shane i złapał za ramię przechodzącego Michaela. – Stary, nie rób tego.

–A co mi zrobi? Będzie do mnie robił miny?

–Jeśli raz zaczniesz robić, czego chce, trudno ci będzie przestać. Po prostu nie rób tego.

Michael zastanawiał się przez chwilę, a potem odsunął dłoń Shane'a i podszedł do okna. I stał tam, wyglądając na zewnątrz i marszcząc brwi. Na szybie i na skórze Michaela odbijały się błyski czerwonych i niebieskich światel.

–Co to? – spytała Claire i wstała.

–Ludzie, no serio! Przestańcie grać w ich gierkę...

–Gliny – powiedział Michael. Głos miał pozbawiony wyrazu, jak w szoku. – Zablockowali całą ulicę. Usuwają stąd ludzi.

**–Jakich ludzi? Wampiry? –
spytała Eve. Też stanęła przy
oknie.**

**–Jezu – mruknął gderliwie
Shane. – Super. Nie słuchajcie
mnie. Jeśli wampiry każą wam
skakać z urwiska...**

**–Ewakuują sąsiadów –
powiedział Michael. – Pozbywają
się świadków.**

**–O cholera – rzucił Shane,
podszedł i zaczął wyglądać po
nad ramieniem Claire. – No to jak
głęboko wpadliśmy?**

**–No cóż, gliny to nie wampiry.
Ale Ochrona nie powstrzyma ich
przed wejściem do domu.**

**Claire patrzyła, jak obok sześciu
wozów policyjnych, ze światłami
błyskającymi czerwienią tętnic i
błękitem żył, stają dwa długie,
szkieletowate wozy straży
pożarnej. Po jednym przy każdym
rogu przecznicy.**

**Michael nic nie powiedział, ale
zmrugał oczy.**

**–O ja cię... – szepnął Shane. –
No przecież tego by nie zrobili.**

**–A jednak – powiedział Michael.
– Obawiam się, że zrobią.**

**Jeśli ta książka jest aż tak
ważna, moim zdaniem zrobią
niemal wszystko, żeby ją dostać.**

**Nagle przed oknem pojawiła się
twarz Olivera. Wszyscy wrzasnęli,
nawet Michael, i odskoczyli.
Shane próbował schować Claire
za sobą. Uderzyła go po ręce i w
końcu dał jej spokój.**

**Chciała usłyszeć, co Oliver ma
do powiedzenia.**

–Dochodzi prawie piąta –

powiedział Oliver głosem stłumionym przez szybę. – Czas nam się kończy, Michael. Albo mnie zaprosicie do środka i oddacie książkę, albo sprawy zaczną wyglądać nieprzyjemnie, obawiam się.

–Czekaj! – Claire zacisnęła dłonie w pięści. – Chcę ją za coś przehandlować. Spojrzał na nią obojętnie.

–Bardzo mi przykro, moja droga, ale ta możliwość już minęła. Teraz sytuacja znacznie się zaostrzyła. Albo oddasz nam książkę, albo sami wejdziemy i ją sobie

**zabierzemy. Zapewniam cię, że
lepszemu propozycji po tej stronie
piekła nie otrzymasz.**

**Michael gwałtownym ruchem
zasłonił okno.**

**–Shane. Ty, Eve i Claire idźcie
do spiżarni. Jazda, już.**

**–Nie ma mowy! – zaprotestowała
Eve. – Ja cię tu nie zostawię!**

**Wziął ją za rękę i spojrzał jej w
oczy tak, że pod Claire kolana
ugięły się, chociaż obserwowała
ich z odległości kilku kroków.**

–Mnie krzywdy nie zrobią, chyba że przez dom. Nie mogą mnie zabić, musieliby zniszczyć dom. Rozumiesz? To wy jesteście bezbronni. I chcę, żebyście byli bezpieczni.

Pocałował ją w rękę, zerknął nieco zakłopotany na Claire i Shane'a, a potem pocałował ją też w usta.

–Ha – powiedział Shane. – Tak myślałem. – Wziął Claire za rękę. – Michael ma rację. Trzeba was, dziewczyny, schować w jakimś bezpiecznym miejscu.

–Ciebie też, Shane – powiedział Michael.

–Nie ma mowy!

–Do cholery, nie czas teraz coś mi tu udowadniać. Po prostu zaopiekuj się nimi. Ja sam zadbam o siebie.

Być może tak, pomyślała Claire. A może chciał tylko pozbyć się ich, gdyby miało mu się nie udać.

Tak czy inaczej, nie miała szansy protestować. Shane zapędził ją i Eve do kuchni, obładował je wodą i gotowym jedzeniem, grzankami i

batonikami, i pomógł im złożyć te zapasy w ciemnej kryjówce, gdzie Claire przesiedziała pierwszy ranek w Domu Glassów.

Nie wiedziała, czy Shane naprawdę posłuchałby Michaela, możliwe, że tak, uznała, ale kiedy wsuwali ostatnie zapasy przez wąskie i niskie wejście, z salonu dobiegł ich głośny trzask tłuczonego szkła.

–Co u diabła? – sapnął Shane i skoczył zobaczyć, co się tam dzieje. Claire ruszyła za nim, a kiedy się obejrzała za siebie, zobaczyła, że Eve też tam biegnie.

Ale nie dotarli zbyt daleko, bo okna kuchni też zostały z trzaskiem wybite, a Claire i Eve przystanąły i obejrzały się za siebie.

Oliver stał przy samym oknie. Usłyszały, że ktoś w całym domu wybija okna.

–Dziewczyny – powiedział. – Przykro mi, że muszę to zrobić. Naprawdę mi przykro. Ale nie zostawiacie mi wyboru. Ostatnia szansa. Zaproście mnie do środka, a uda nam się zakończyć to pokojowo.

**–A ugryź mnie! – krzyknęła Eve.
– A nie... Zaraz, przecież nie
możesz, prawda? Nie stamtąd.
Błysnął oczami i pokazał kły.
Manifestacja. Tak się to właśnie
nazywało, kiedy grzechotnik
potrząsał grzechotką. Albo kiedy
kobra rozpościerała kaptur. Dawał
im wyraźnie do zrozumienia, że
niespecjalnie go rozbawiły.**

**–Książka – powiedział. – Albo
życie. Tylko taki wybór macie,
Claire. Sugeruję, żebyś szybko
podjęła decyzję.**

**–Nie ma sprawy – powiedziała
Eve. – Do środka nie wejdą. Oliver**

pokiwał głową, a nocny wiatr rozwiewa mu włosy.

–To prawda – powiedział. – No ale rzadko działałam sam. I cofnął się, a policjant w mundurze za pomocą pałki obtłukł z okna resztki szyby i wskoczył na parapet, żeby wejść do środka.

Eve i Claire wrzasnęły i rzuciły się do ucieczki.

W salonie pełno było połamanych mebli, porozrzucanych gazet i walczących postaci – Shane walnął właśnie jakiegoś faceta w

czarnej kurtce, który wypadł za okno prosto w ramiona czekających tam, szczerzących kły wampirów. Michael bił się z jakimiś dwoma, których po prostu podniósł po jednym i wywalił za okno. Kiedy Eve i Claire wpadły do pokoju, i pobiegly, jedna na prawo, druga na lewo, gliniarz, który je gonił, wpadł na Michaela i też został wyrzucony za okno.

–Wchodzą do środka! – krzyknęła Eve i zatrzasnęła drzwi kuchni, a potem zablokowała klamkę krzesłem. Michael złapał najbliższy regał na książki, ale nie ten, na którym stała Biblia,

zauważyła Claire, i przesunął go, żeby zablokować okno, a potem dosunął do regału kanapę.

–Na górę! – wrzasnął. – Jazda! Shane złapał Claire za rękę i pognął po schodach, niemal ją za sobą wlokąc; nie trafiła w jeden stopień, potknęła się, i oboje stracili równowagę. W samą porę, bo kij bejsbolowy, którym ktoś zamierzył się na Shane'a, ominął jego głowę i rąbnął w ścianę. Na szczycie schodów czaiła się kolejna postać, tym razem była to wysoka kobieta. Shane wyrwał jej kij i zaczął nim wymachiwać, zmuszając ją do wycofania się

korytarzem. Claire ją poznała – jedna z dziewczyn z akademika, Lillian.

–Nie! – krzyknęła Lillian, kiedy Shane uniósł kij. Cholera! – Shane splunął z niesmakiem. – Nie umiem uderzyć dziewczyny. Masz, Claire. Ty ją walnij. – Rzucił jej kij. Claire złapała go i stanęła niezręcznie, żałując, że na wuefie nie udzielała się nieco bardziej. Lillian znów wrzasnęła i wbiegła przez otwarte drzwi do pokoju Eve. Eve ze schodów też wrzasnęła, ale z innego powodu.

–To mój pokój, ty suko! – I

złapała Lillian za włosy, szarpnęła i wyciągnęła ją za nie na korytarz, a potem zepchnęła ze schodów. – Michael! Ta tutaj chce wyjść!

Lillian zleciała, a potem wrzasnęła jeszcze raz, kiedy ze sporym przyspieszeniem, nadanym ręką Michaela, wyleciała z domu.

–Sprawdźcie pokoje – sapnął Shane. – Jeśli jedna dostała się do środka, może ich być więcej. Nie ryzykujcie. Wrzeszczcie po pomoc.

Claire pokiwała głową i pobiegła

do swojego pokoju. Wyglądał normalnie, dzięki Bogu – okna nie zostały wybite i nie wyglądało na to, żeby ktoś chował się w szafach albo pod łóżkiem. To samo w łazience, chociaż przeżyła straszną chwilę, odsuwając zasłonkę prysznic. Usłyszała jakiś hałas w korytarzu. Shane kogoś znalazł. Wybiegła, żeby ruszyć mu na pomoc, a potem zawahała się, kiedy zobaczyła, że drzwi pokoju Eve są teraz nieco uchylone.

Przecież je zamknęła.

Powoli i jak najciszej otworzyła je

i zajrzała do środka...

...i zobaczyła, że Eve stoi pod ścianą, a Miranda trzyma jej nóż przy gardle. Poznała ją najpierw po siniakach i śladach ugryzienia na szyi, a potem, kiedy dziewczyna obróciła głowę w jej stronę, po wyblakłych błękitnych oczach.

–Nie – powiedziała Miranda. – Muszę to zrobić. Charles mówi, że muszę. Żeby przestać mieć te wizje. Claire, ja chcę, żeby one się skończyły. Rozumiesz mnie, prawda?

**–Puść ją Mirando, dobrze?
Proszę cię. – Claire weszła do pokoju. Z dołu słyszała odgłosy walki. Shane i Michael mieli pełne ręce roboty. – Przecież nie chcesz skrzywdzić Eve. To twoja przyjaciółka.**

–Już nie dam rady – jęknęła Miranda. – Tylu ludzi umiera, a ja nic nie mogę zrobić. Charles powiedział, że to się skończy. Tylko muszę najpierw...

**–Co? Zabić Eve? Naprawdę, nie rób tego... Przecież nie chcesz... Nie chcesz tego zrobić... –
Spanikowana wzrokiem poszukała**

pomocy u Eve. Jedno było pewne: Eve nie zbielała tak od makijażu.

–Tak – szepnęła Eve. – Jestem twoją przyjaciółką, Mir. Wiesz o tym. Miranda pokręciła głową, aż jej ciemne włosy zafalowały. Nóż drżał przy gardle Eve. Zamknęła oczy i wyszeptała coś, co brzmiało jak „Charles”, a kiedy je otworzyła, miała już inną minę. Zdecydowaną. Skupioną.

Ona coś zrobi. Muszę... Claire nie miała czasu zastanawiać się, co musi. Po prostu ruszyła się, bo Eve też się poruszyła, podbiła

łokieć dziewczyny ręką. Na sekundę nóż oddalił się od szyi Eve. Claire złapała Mirandę za włosy i szarpnęła mocno, odciągając od Eve. Miranda wrzasnęła i zaczęła na oślep wymachiwać nożem. Skaleczyła Eve w uniesioną rękę. Claire sapnęła i cofnęła się, nadal szarpiąc Mirandę za włosy i starając się trzymać poza zasięgiem noża.

Miranda machnęła nożem i odcięła włosy, za które trzymała ją Claire, o parę centymetrów od palców dziewczyny. O, nie...

Miranda zaatakowała ją, nóż trzymając przed sobą, a Claire wpadła na czarną szafkę obok łóżka, przewróciła się na czarną atlasową narzutę i zobaczyła, że ostrze się do niej zbliża.

–Hej! – wrzasnęła Eve, szarpnęła Mirandę do siebie i moc no uderzyła ją w twarz. Dwa razy. Kiedy Miranda próbowała dźgnąć ją nożem, odbiła jej rękę tak, że dziewczyna uderzyła nią w ścianę, a potem wykręciła jej nadgarstek, pięść Mirandy otworzyła się i nóż wypadł z niej.

Miranda się rozplakała. To był

rozpaczliwy, pozbawiony nadziei płacz i gdyby Claire nie była jednocześnie tak wściekła i tak przerażona, może i zrobiłoby się jej trochę dziewczyny żal.

–Nie. Nie. Ja już nie chcę tego oglądać. Nie chcę... On powinien wiedzieć, że może tak zrobić, żeby to się skończyło...

Eve złapała ją za rękę, otworzyła szafę i wepchnęła Mirandę do środka, a potem zablokowała drzwi krzesłem, żeby nie mogła się wydostać. Była wściekła i naprawdę ranna. Krew z jej ramienia plamiła wszystko – nie

tryskała z rany, ale płynęła z niej dość obficie. Claire złapała leżący na komodzie czarny ręcznik i tym improwizowanym bandażem owinęła ranę. Eve zamrugła, jakby zupełnie zapomniała o ręce, i przytrzymała ręcznik.

–Może była pod jego wpływem. Tak jak ty, kiedy... Może jednak mądrzej byłoby nie poruszać tego tematu, po myślała Claire.

–Dlatego ją uderzyłam – powiedziała Eve. – Ale moim zdaniem chodzi o coś innego. Miranda zawsze była trochę szalona. Ja tylko... No cóż, nie

myślałam, że aż tak szalona.

Eve wyglądała nieco lepiej. W każdym razie nie była już tak trupio blada... Ale kiedy jej się lepiej przyjrzała, Claire uznała, że ona wygląda za dobrze.

Popatrzyła w stronę wybitego okna. Na zewnątrz, nad horyzontem rysowała się słaba smużka słonecznego światła, a niebo przybrało odcień, ciemnej szarości.

–Michael! – rzuciła. – O mój Boże! Puściła Eve i wybiegła na korytarz, Shane wychodził

**właśnie ze swojego pokoju,
potrząsając prawą dłonią. Kostki
miał zakrwawione.**

–Gdzie Michael? – wrzasnęła.

**–Na dole – powiedział. – Co to
jest, u licha? Do Claire dotarło, że
nadal ściska w dłoni garść
odciętych włosów Mirandy.
Skrzywiła się i wypuściła je z ręki,
a potem potrząsnęła ręką, żeby
się pozbyć lepiących się do dłoni
kosmyków. – Nawet nie chcesz
wiedzieć. Aha, przy okazji,
Mirandę zamknęliśmy w szafie
Eve.**

**–No cóż, to jakiś bonus.
Przepraszam, ale naprawdę nie
lubię tej dziewczuchy.**

**–Na mnie też nie działa zbyt
dobrze – przyznała Claire.**

**–Chodźcie, musimy zejść do
Michaela.**

**–Wierz mi, poradzi sobie i bez
nas.**

**–Nie, nieprawda – powiedziała
bardzo ponuro. – Słońce
wschodzi. Przez chwilę to do
niego nie docierało, a potem
dotarło, i dobry Boże. Znikł, zanim**

mogła za nim krzyknąć, żeby na nią poczekał.

Zbiegła na dół kilka sekund po nim i zobaczyła, jak rzuca się pędem tam, gdzie Michael złapał kolejnego, chyba człowieka, który wdzierał się nieproszony przez wyłamane frontowe drzwi.

–Nie trzeba mi tu was! – wrzasnął na nich oboje i wyrzucili faceta w pół drogi do Kansas. – Na górę! Shane, pokaż je gdzie!

Shane go zignorował, wyminął i wpadł do holu strzec frontowych drzwi. Michael ruszył jego śladem

**i stanął w smudze światła,
którego coraz więcej wpadało
przez okno na tyłach.**

**Obrócił się, spojrzął w tamtą
stronę, a potem spojrzął bez
słowa na Claire. Zobaczyła w jego
oczach strach.**

**–Nie – powiedział. – Nie teraz!
Nie mogła powiedzieć ani zrobić
nic, żeby mu pomóc i wiedziała o
rym.**

**–Jak długo...? Straszny wyraz
jego twarzy był odpowiedzią na jej
pytanie, ale Michael i tak się
odezwał:**

**–Pięć minut. Może mniej.
Cholera! Jakby wampiry o tym
wiedziały, bo za oknem
zastawionym regałem zaczął się
wzmagać jakiś hałas.**

**Regał zachwiał się, a potem
zaczął przewracać. Michael rzucił
się pod regał, podparł go i z
powrotem postawił, a potem
zablokował własnym ciałem.**

**–Idź stąd! – nakazał Claire, a ona
cofnęła się do schodów. Słyszała,
że Shane znów walczy w holu. –
Claire, ty i Eve musicie znaleźć
sposób, żeby wszystko
zablokować. Zamknijcie ten dom.**

Nie pozwólcie Shane'owi...

Nie była pewna, co chciał powiedzieć, ale wtedy odetchnął gwałtownie, zgiął się wóół, a ona zrozumiała, że już po wszystkim. Był blady i robił się coraz bledszy.

Znikał.

I zniknął.

Eve przystanąła obok niej, oczy miała szeroko otwarte.

–Zniknął – szepnęła, jakby naprawdę nie mogła w to uwierzyć. – Zostawił nas.

**–Nic na to nie może poradzić. –
Claire wzięła ją za rękę.**

**–Chodź, Eve, przesuńmy ten
regał do holu. Musimy
zablokować nim przejście. Eve w
milczeniu pokiwała głową, jakby
straciła wszystkie siły. Claire
rozumiała dlaczego... Jaka
nadzieja im teraz została? Michael
jakoś sobie ze wszystkim radził,
ale bez niego...?**

**–Pomóż mi – powiedziała do Eve
i naprawdę na tej pomocy jej w tej
chwili zależało. Eve uśmiechnęła
się do niej blado i uścisnęła jej
rękę.**

–Wiesz, że ci pomogę.

We troje zdołali zablokować frontowe drzwi. Zastawili je regałem i przysunęli jeszcze dwa. Spoceni, zdyszani i przerażeni popatrzyli po sobie. Zrobiło się cicho. Dziwnie cicho.

–No i? – Eve wyjrzała do holu. – Ja nic nie widzę...

–Możemy iść do spiżarni? – spytała Claire. – Znaczący, skoro nic nie słyhać...

–Zbyt ryzykowne – powiedział Shane. W stercie połamanych

mebli znalazł telefon i zaczął wybierać numer, a potem upuścił aparat. – Odcięli linię.

Eve z etui przy pasku wyjęła komórkę. Shane złapał ją, sprawdził sygnał i wyciągnął rękę, żeby jej przybić piątkę. Już wybierał numer, kiedy uderzały w jego dłoń po kolei.

–No już – mruknął, chodząc z kąta w kąt i nasłuchując.

–Odbieraj, odbieraj, odbieraj... Przystanął w pół kroku.

–Tato? Och, do diabła, to poczta

głosowa... Tato, posłuchaj. Mówi Shane. Jestem u Michaela w Domu Glassów w Morganville i potrzebuję pilnie pomocy. Tato, pospiesz się. Wiesz dla czego.

Zatrzasnął klapkę telefonu i rzucił go Eve.

–Na górę, obie. Do ukrytego pokoju. Michael? Jesteś z nami? Claire zadrżała w nagłym zimnym przeciągu.

–Jest tu.

–Uważaj na nie – powiedział Shane. – Ja... ja mam taki jeden

plan. – Powiedział to tak, jakby sam się nieco zdziwił.

Dziewczyny. Na górę. Już.

–Ale...

–Już! – Od Michaela nauczył się wyrzaskiwać polecenia i szło mu to coraz lepiej, bo Claire złapała się na tym, że posłusznie wbiega na schody. Owionęło ją chłodne powietrze i zobaczyła, że Eve też zadrżała.

Na górze było cicho, pomijając walenie w drzwi szafy, w której siedziała Miranda.

**–Nie podoba mi się to –
stwierdziła Claire. – Oliver wie, że
Michael nie jest w stanie nic
zrobić po świcie, prawda?**

**–Nie wiem. – Eve zagryzła dolną
wargę. Większość makijażu
spłynęła jej z potem albo została
starta tak czy inaczej, na wet jej
wargi miały teraz zwyczajny kolor,
chyba po raz pierwszy, odkąd
Claire ją знаła. – Masz rację, to
dziwne. Dlaczego miałiby
rezygnować akurat teraz?**

**–Nie zrezygnowali – odezwał się
głos, który Claire rozpoznała
mrowieniem krzyża, zanim jeszcze**

**zarejestrował go jej mózg.
Otworzyły się drzwi sypialni
Michaela i z uśmiechem stanęła w
nich Monica Morrell. Giną i
Jennifer stały za nią.**

**Wszystkie trzymały noże i to
było o wiele bardziej przerażające
niż Miranda z jej szaleństwem.
Eve stanęła między Claire i
Monica, i zaczęły się cofać
korytarzem.**

**–Idź do siebie – powiedziała Eve.
– Zamknij drzwi na klucz.**

**–Nic ci to nie pomoże –
powiedziała Monica, obchodząc**

Eve. – Zapytaj mnie dlaczego. No dalej, zapytaj.

Nie musiała. Usłyszała, że drzwi za jej plecami otwierają się i obróciła się na pięcie. Zobaczyła, że na korytarz wychodzi mężczyzna w mundurze policjanta i z bronią w ręku.

**–Poznaj mojego brata, Richarda
– zachichotała Monica.**

–Słodki jest, prawda? – Może i był słodki, ale Claire patrzyła wyłącznie na jego rewolwer, duży, błyszczący i czarny. Jeszcze nigdy nikt do niej nie mierzył z

rewolweru i przerażało ją to bardziej niż nóż.

–Zamknij się, Monica – uciszył siostrę. – Moje panie, proszę na dół. Nie musimy robić z tego krwawej jatki. – W jego głosie przeważała nuta znużenia, jakby ten zbiorowy najazd na czyjś dom był jedyną sprawą, która go dzieliła od porannej kawy.

Claire cofnęła się, wpadła na Eve i szepnęła:

–Co robimy? – Michaela też przy okazji pytała, o ile byłby w stanie im coś pomóc.

**–Chyba schodzimy na dół –
powiedziała Eve z
przygnębieniem. Ogarnął je chłód
silniejszy niż przedtem.**

**–Hm, to znaczy, że nie? –
Napłynęło ciepłe powietrze.**

**–A to tak? – Jeszcze cieplejsze
powietrze. – Żartujesz sobie,
Michael. Mamy zostać tutaj? –
Łatwo mówić, kiedy już jest się
duchem, ale jak, do diabła, one
dwie miały poradzić sobie z trze-
ma dziewczynami z nożami i
policjantem z rewolwerem?**

Eve zemdlała. I udało jej się

**zrobić to przekonująco, tak
przekonująco, że Claire wcale nie
była pewna, czy ona czasem
naprawdę nie straciła
przytomności. Monica, Giną i
Jennifer spojrzały na Eve,
marszcząc brwi, a Claire pochyliła
się nad nią i zaczęła wachlować
jej twarz. – Jest ranna –
powiedziała. – Straciła sporo krwi.
– Miała nadzieję, że przesadza, ale
wcale nie była taka pewna, bo
czarny ręcznik spadł z ramienia
Eve i wydawał się przesiąknięty
krwią.**

**–Zostaw ją – powiedział brat
Moniki. – Potrzebna jesteś nam**

tylko ty.

–Ale... Ona krwawi! Potrzebuje...

–Ruszaj się. – Pchnął ją i o mało nie wpadła na nóż trzy many przez Ginę. – Monica, na litość boską, wycofaj się stąd, dobra? Sam sobie poradzę z jedną dziewczyną!

Monica spojrzała na niego chmurnie.

–Oliver powiedział, że po wszystkim możemy się nią zająć.

–Po wszystkim, ale jeszcze nie

jest po wszystkim, więc zejście mi z drogi! Pokazała mu środkowy palec, a potem cofnęła się, żeby Claire mogła ją minąć. Claire zrobiła to jak najwolniej, udając atak płaczu i dreszczy, który z minuty na minutę przychodził jej coraz naturalniej. Aż trudno byłoby przestać.

–Widzisz? – powiedziała Monica przez ramię do Jennifer. – Mówiłam ci, że to mięczak.

Claire zgięła się wół, jęknęła i z premedytacją zwymiotowała na buty Moniki. Wystarczyło. Monica wrzasnęła z przerażenia i uderzyła

jaw twarz, Gina ją złapała, Jennifer cofnęła się, a Richard zaskoczony tą bójką, cofnął się o dwa kroki, żeby czasem nie wpakować kulki nie tej dziewczynie.

–Hej! – Głos Shane'a, donośny i gniewny. Był na schodach i spoglądał w ich stronę. – Wystarczy już. Dam wam tę cholerną książkę. Tylko zostawcie je w spokoju.

–Niefajnie – mruknęła Monica, patrząc na niego ze złością. Odwzajemnił się podobnym spojrzeniem, z taką miną, jakby

na chwilę gotów był zapomnieć o swojej zasadzie niebicia dziewczyn. I to chętnie. – Richard, zastrzel go.

–Nie – powiedział Richard ze znużeniem. – Jestem policjantem. Strzelam, do kogo każą mi strzelać, a ty nie jesteś moim szefem.

–Ale będę. Któregoś dnia.

–Więc kiedy nim będziesz, zastrzelę go – powiedział. – Shane, tak? Wchodź tutaj.

–Najpierw pozwól im stąd wyjść.

–Nie ma mowy, więc zabieraj tyłek na górę, zanim uznam, że żadna z nich nie jest mi właściwie potrzebna. – Richard potrząsnął rewolwerem dla podkreślenia swoich słów. Shane powoli wszedł na schody i przystanął na samej górze. – Gdzie ona jest?

–Książka? W bezpiecznym miejscu. I to w miejscu, gdzie nigdy jej nie znajdziesz, jeśli mnie wkurzysz, Dick.

Richard strzelił. Wszyscy, włącznie z Monicą, wrzasnęli. Spudłował. W drzwiach Michaela widniała okrągła, dymiąca dziurka.

Och. On wcale nie chybił.

**–Mały – powiedział Richard. –
Nie jestem w nastroju. Od
trzydziestu sześciu godzin nie
spąłem, moja siostra to
wariatka...**

**–Uważaj, co mówisz! –
zaprotestowała Monicą.**

**–... i raczej nie jesteś moją
miłością z liceum...**

**–Richard, on nie jest moją
miłością z liceum!**

–Rzecz w tym, że ja mam

dokładnie gdzieś ciebie, twoich przyjaciół i twoje problemy, bo dla mnie to żadna osobista sprawa. Monicą cię zabije, bo jest popieprzona. Ja cię zabiję, jeśli mnie do tego zmusisz. Rozumiemy się?

–No cóż – powiedział Shane. – To takie trochę osobiste pytanie. Richard wymierzył rewolwer prosto w Claire. Niewielka to była zmiana, ale ona wyraźnie ją odczuła, zupełnie jakby znalazła się w centrum światła reflektora zamiast na jego obrzeżu. Usłyszała, że Shane mówi:

–Facet, żartowałem sobie, słyszysz? Żartowałem! Bała się mrugnąć albo choćby odwrócić wzrok od rewolweru. Wydawało jej się, że jeśli dalej będzie się w niego wpatrywać, ten rewolwer mimo wszystko nie wystrzeli. Wiedziała, że to bez sensu, ale...

Kątem oka zobaczyła, że Shane sięga za plecy i wyjmuję książkę. Czarna skórzana okładka. O nie. On ją naprawdę... To nie do pomyślenia. Nie po tym wszystkim. Chociaż nie miała pojęcia, co miał zrobić, żeby tego uniknąć.

**Shane uniósł lewą dłoń,
pokazując, że jest pusta, a czarną
Biblię wyciągnął przed siebie w
prawej.**

–To jest to? – spytał Richard.

–Przysięgam na Boga.

**–Monicą. Weź ją. Zrobiła to,
krzywiąc się do Shane'a.**

**–Nie jesteś moją szkolną
miłością, idioto.**

–W takim razie umrę szczęśliwy.

–Zastrzelę następną osobę,

która się odezwie, a nie jest moją siostrą – powiedział Richard. – Monicą? Otworzyła Biblię.

–Jest w niej dziura. I inna książka. – Zamilkła, zaglądając do środka Biblii. – O mój Boże. To naprawdę to. Byłam przekonana, że on nas nabiera.

–Jest na to za mądry. Daj, zobaczę. Monicą podsunęła w jego stronę otwartą Biblię i wtedy Claire opuściły ostatnie resztki nadziei, bo tak, to była ta okładka, z wydrapanym na niej symbolem. A więc Shane to zrobił. Oddał książkę. Jednak oczekiwała po

nim czegoś więcej.

**–No jak? Sprawa załatwiona? –
spytał Shane spiętym głosem. –
Nikt nikogo nie zastrzeli. Richard
wyciągnął rękę, odebrał Biblię
Monice, zamknął ją i wsadził sobie
pod ramię. – Żadnego strzelania –
zgodził się. – Mówiłem serio.
Zabiję cię tylko, jeśli mnie do tego
zmusisz. A więc dzięki, naprawdę
nie potrzebna mi papierkowa
roboła.**

**Minął Shane'a i zaczął schodzić
po schodach na dół.**

–Zaraz! – krzyknął Shane. –

Swojej siostry psychopatki nie chcesz ze sobą zabrać? Richard westchnął i przystanął.

–Racja. Monicą, idziemy.

–Nie chcę – powiedziała. – Oliver mówił, że mogę się ni mi zająć.

–Olivera tu nie ma, a ja jestem i mówię ci, że musimy już iść.

Natychmiast. – Kiedy nie ruszyła się z miejsca, obejrzał się na nią. – Już. Idziemy, chyba, że chcesz się upiec.

Monicą przesłała Claire i Shane'owi kpiący pocałunek

palcami. – Tak. Przyjemnego grilla! Poszła za bratem na dół. Giną za nią, a na górze została tylko Jennifer, dziwnie bezbronna, nawet z nożem w dłoni.

Pochyliła się i odłożyła nóż na podłogę, podniosła ręce i powiedziała:

–Monica podłożyła ogień. Wynieście się, póki możecie i zwiewajcie stąd. Pewnie niewiele wam to pomoże, ale... No, przykro mi.

A potem ona też zniknęła. Shane patrzył ich śladem przez chwilę,

bez ruchu, a potem ukląkł obok Eve.

–Nic ci nie jest?

–Zdrzemnąłam się – powiedziała Eve. – Myślałam, że jak się położę, to wam trochę pomogę. – Ale głos miała niepewny. – Pomóżcie mi wstać.

Shane i Claire wzięli ją za ręce i postawili na nogi, ale się zachwiała.

–Czy ja dobrze zrozumiałam? Naprawdę ją oddałeś?

–Wiesz co? Oddałem. I dzięki temu obie żyjecie, więc tak to wygląda. Możecie się na mnie wściekać. – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale urwał, zmarszczył brwi i skinął głową w stronę pokoju Claire.

Spod drzwi wydobywała się cienka strużka dymu.

–O Boże! – jęknęła i pobiegła w tamtą stronę. Klamka była gorąca. Natychmiast ją puściła i się cofnęła. – Musimy stąd uciekać!

**–I uważasz, że oni nam pozwolą?
– spytał Shane. – Zresztą ja nie**

dam spalić tego domu. Co z Michael'em? On nie może stąd wyjść!

Nawet o tym nie pomyślała i teraz rozumiała grozę sytuacji. Michael tkwił pułapce. Czy on zginie, jeśli dom się spali? Czy to możliwe?

–Wozy strażackie! – zawołała. – Przecież pod domem są wozy strażackie...

–Żeby nikt inny się tu nie wdarł – wyjaśniła jej Eve. – Zaufaj mi. To ich ulubiony sposób. Dom Glassów spali się razem z

dzieciakami, które sprawiają im problemy. Nikt nam nie pomoże!

–No to musimy ugasić ogień – powiedział Shane. – Michael! Jesteś tu? Jest tu – powiedziała Eve. – Zrobiło mi się zimno.

–Możesz nam jakoś pomóc? Eve zrobiła niepewną minę.

–Tak? Nie? Och. Może. Mówi, że być może.

–Być może nie wystarczy. – Shane otworzył drzwi do pokoju Eve, złapał z łóżka czarny koc. – Koce, ręczniki, cokolwiek, do

łazienki i zmoczyć. Aha, i wypuście Mirandę, dobra? Możemy jej znów nie cierpieć, kiedy będzie po wszystkim.

Claire kopnięciem odsunęła krzesło spod gałki przy drzwiach szafy. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, a Miranda, kaszłąc, wypadła ze środka. Spojrzała na nich i rzuciła się biegiem w stronę schodów.

–Moje ciuchy! – pisnęła Eve i złapała naręczce wieszaków, a potem pobiegła rzucić je na łóżko w pokoju Michaela.

–Eve, grunt to zająć się najważniejszym! – wrzasnął Shane. Odkręcił kran w łazience i parę sekund potem wrócił, targając ze sobą ociekający wodą kłęb materiału. – Cofnijcie się.

Kopnięciem otworzył drzwi i Claire zobaczyła ogień liżący zasłony i sięgający sufitu. Łóżko też się paliło. Wyglądało na to, że Monica właśnie od niego zaczęła, bo tam płomieni było najwięcej.

–Uważaj! – wrzasnęła i z wahaniem patrzyła, jak Shane szarpnięciem zerwał zasłony, rzucił mokry koc na łóżko i zaczął

tłumić płomienie.

**–Nie stój tu tak! – powiedział. –
Koce! Ręczniki! Woda! Ruszaj się!
Pobiegła do łazienki.**

Rozdział 16

Cały dom śmierdział dymem i spalonym materacem, ale mogło być o wiele gorzej. Pokój Claire był w opłakanym stanie, łóżko i zasłony do niczego się nie nadawały. Podłoga była nadpalona, a na suficie widniały ślady dymu. No ale mimo wszystko.

Shane wylał jeszcze trochę wody na materac, który już i tak był zupełnie mokry, a potem osunął się na ścianę i usiadł obok Claire i Eve.

–Będą się zastanawiali, dlaczego jeszcze nie wrzeszczymy w płomieniach – powiedziała Eve.

–Idź i popatrz.

–Sama idź popatrz. Ja miałam ciężką noc. Claire westchnęła, podniosła się i podeszła do ocalałego okna w rogu sypialni. Nic nie zobaczyła. Żadnych wampirów, oczywiście, bo słońce prażyło już na niebie, ale nie było tam też ich ludzkich sługusów. – Może wszyscy są od frontu – mruknęła.

W ciszy wyraźnie usłyszała...

dzwonek do drzwi.

**–No to już chyba kpiny –
powiedział Shane. –
Zamawiałyście pizzę? Świetna
myśl, padam z głodu.**

**–Cierpisz na jakieś uszkodzenie
mózgu – odpaliła Eve.**

–Bo jestem głodny.

**Na dole rozległ się trzask i Shane
przestał się uśmiechać. Oczy mu
pociemniały, skoncentrował się. –
Chyba to już koniec – powiedział.
– Przykro mi. Ostatnie chwile
obrony Alamo.**

Eve uściskała go bez słowa. Claire podeszła i też ich oboje po kolei przytuliła. Najpierw Eve. Chciała mieć więcej czasu dla Shane'a. Ale naprawdę tego czasu było za mało, bo usłyszała kroki na schodach i poczuła, że ogarnia ją przejmujący chłód. Michael był z nimi. Być może to była jego własna forma uścisku.

–Bądźcie silni – usłyszała szept Eve. Pokiwała głową i wzięła Eve za rękę. Shane zasłonił dziewczyny własnym ciałem, czyli zachował się, teraz to już wiedziała, tak jak zwykle. Uniósł kij bejsbolowy i szykował się do

zadania ciosu.

–To niepotrzebne – odezwał się z korytarza jakiś cichy, spokojny głos. – Ty na pewno jesteś Shane. Witaj. Nazywam się Amelie.

Claire westchnęła i wyjrzała zza jego pleców. To była ta jasnowłosa wampirzyca z kościoła. Stała z założonymi rękoma i wyglądała idealnie spokojnie i swobodnie.

–Możesz ten kij odłożyć – dodała Amelie. – Nie będziesz go potrzebował, zapewniam cię. Odwróciła się i wyszła. Wszyscy

troje popatrzyli po sobie.

–Poszła sobie? – bezgłośnie wyszeptała Eve. Shane wyjrzał za drzwi, a potem pokręcił głową. – No to co ona robi?

Chwilę później sprawa się wyjaśniła, bo rozległo się ciche kliknięcie i w boazerii na korytarzu otworzyły się drzwi. Amelie pchnęła je i poszła po schodach.

–Pewnie macie do mnie kilka pytań – zawołała do nich z góry. – Ja też mam ich kilka, tak się składa, i byłoby roztropnie

zaspokoić wzajemną ciekawość. Jeśli nie, to oczywiście, możecie odejść, ale muszę was ostrzec, że Oliver jest niezadowolony. A kiedy Oliver jest niezadowolony, staje się dość dziecinny i traci panowanie nad sobą. Jeszcze, jak to się mówi, nie wyszliście na prostą, *mes petits*.

–Głosujcie – powiedział Shane. – Ja jestem za tym, żeby wyjść.

–Zostać – powiedziała Eve. – Ucieczka nic nam nie da, wiecie o tym. Musimy przynajmniej wysłuchać, co ma nam do powiedzenia.

Oboje popatrzyli na Claire.

**–Ja też mam głos? – spytała
zdziwiona.**

**–A dlaczego miałybyś nie mieć?
Płacisz czynsz.**

**–Och. – Nie musiała się nad tym
nawet zastanawiać. – Ona
uratowała mi dzisiaj życie. Wydaje
mi się, że... No, może jest zła, ale
nie jest, wiecie, do końca zła.
Uważam, że powinniśmy jej
wysłuchać.**

Shane wzruszył ramionami.

–No i dobra. Idź pierwsza.

Amelie usiadła na sofie. W pokoju były jeszcze dwa inne wampiry, bardzo spokojnie stojące w kącie, oba w czarnych garniturach. Claire z trudem przełknęła ślinę i zwalczyła odruch, który kazał jej wycofać się i zagłosować inaczej. Amelie uśmiechnęła się do niej, nie otwierając ust, i eleganckim gestem wskazała fotel obok sofy.

–Claire. Ach, i Eve, jak miło.

–Pani mnie zna? – spytała Eve ze zdziwieniem. Rozejrzała się po

pokoju i zerknęła na stojące w kącie wampiry.

–Oczywiście. Zawsze zwracam uwagę na pozbawionych praw. A twoi rodzice należą do moich szczególnych ulubieńców.

–To super. Ale kim, do diabła, pani jest? – spytał Shane, bezczelny jak zwykle. Amelie przez chwilę patrzyła na niego ze zdziwieniem.

–Amelie – powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko. – Myślałam, że wiesz, czyj symbol nosisz od urodzenia, mój drogi.

Shane był wkurzony. No, oczywiście.

–Nie noszę żadnych symboli.

**–To prawda. Nie wiesz o tym. –
Wzruszyła ramionami. – Ale
kiedyś w mieście wszyscy je
nosili, włącznie z rodziną, z której
się wywodzisz. Tak czy inaczej,
jesteś czyjąś własnością, ciałem i
duszą.**

**Shane chociaż raz w życiu
powstrzymał się od pyskowania.
Spojrzał na nią wściekły. Chyba
jej to nie wzruszyło.**

**–Masz jakieś pytanie –
stwierdziła Amelie. Shane
zamrugął!**

**–Tak. Jak pani się tu dostała?
Oliver nie mógł.**

**–Świetne pytanie. Gdybym była
takim samym wampirem jak
wszystkie, nie udałoby mi się to.
Jednakże, ten dom to mój dom, to
po pierwsze. Zbudowałam go, tak
jak zbudowałam w Morganville
kilka podobnych domów.
Mieszkam w każdym z nich po
kolei, a kiedy jestem na ich
terenie, Ochrona zabezpiecza
mnie przed każdym wrogiem,**

człowiekiem czy wampirem. Kiedy mnie nie ma, Ochrona nie obejmuje wampirów, jeśli w domu mieszkają ludzie, albo, oczywiście, ludzi, jeśli w domu mieszkają wampiry. Chyba że udzielone zostanie odpowiednie pozwolenie. – Skłoniła głowę. – Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

–Być może. – Shane chwilę się zastanawiał, a potem zapytał: – Dlaczego dom nie ochronił Michaela?

–Zaprosił Olivera do środka i w ten sposób zablokował Ochronę.

Dom jednak starał się, jak mógł, żeby i tak go podtrzymać przy życiu. – Amelie rozłożyła ręce. – Być może pomogło też to, że Oliver nie próbował go zabić, tylko przemienić.

–W wampira – odpowiedziała Eve.

–Tak.

–Tak! Zawsze chciałam się dowiedzieć, dlaczego to nie działa. To znaczy wampiry stale gryzą ludzi, ale...

Amelie nie odpowiedziała. Chyba

się nad czymś zastanawiała, a może coś wspominała, w każdym razie zapadła długa i niezręczna cisza, zanim się odezwała:

–Czy wy, dzieci, macie jakieś pojęcie o postępie geometrycznym? Claire uniosła rękę.

–No i ile wampirów trzeba by było, żeby zamienić cały świat w wampiry, gdyby to było takie proste? – Amelie uśmiechnęła się do Claire, kiedy ta już otwierała usta, żeby odpowiedzieć. – Moja droga, nie oczekuję od ciebie odpowiedzi, chociaż, gdybyś

chciała zrobić odpowiednie obliczenia i któregoś dnia mi o nich opowiedzieć, z najwyższym zainteresowaniem cię wysłucham. Prawdę mówiąc, w czasach mojej młodości prawie nam się to udało. Wtedy ludzi było znacznie mniej. I ustalono – tak jak ostatnio ustalacie to wy, ludzie, między sobą – że być może ochrona zwierzyny łownej to jest niezły pomysł. Tak więc, zniszczyliśmy wiedzę o sposobie stwarzania wampirów, po prostu odmawiając przekazywania jej dalej. Z czasem wiedza ta przepadła, pomijając Starszych, a teraz już kompletnie

zaginęła, pomijając dwa źródła.

–Które są tutaj? – spytała Claire.

–Tutaj – powiedziała Amelie, wskazując własną skroń. – I tam. Pokazała na Shane'a.

–Co takiego? – Claire i Eve zapytały jednocześnie, a Claire pomyślała sobie: O Boże, ja się z nim całowałam, a on jest wampirem. Ale Shane też miał dziwną minę. Może nie osłupiałą.

Na jego twarzy malowało się poczucie winy.

–Tak – mruknął i wsadził rękę do kieszeni džinsów. Wyjął z niej niewielką książeczkę. Na jej okładce Claire odczytała ze swojego fotela: William Szekspir, *Sonety*. – Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Przewrócił książeczkę i okładka zsunęła się ze stron. Wyciętych równiutko z oprawy.

–Bardzo sprytne – powiedziała Amelie. – Dałeś im okładkę pełną słów, których nie chcieli, a sobie zatrzymałeś istotny środek. Ale co byś powiedział na informację, że chodziło im o okładkę, a nie

treść?

To nim wstrząsnęło.

–Musiałem zaryzykować.

–Mądre posunięcie – przyznała.

– W rzeczy samej, powie działałam wam, że Oliver jest niezadowolony, bo faktycznie tak jest. Bo pozwolił, żeby to – wskazała głową plik stron – wymknęło mu się z rąk. Tak więc przychodzę do was z prośbą o przysługę.

Shane'owi zabłyśły oczy i powtórzył:

–Przysługę? Coś jak umowa?

Tak, Shane. Proponuję wam układ i obiecuję, że tylko ten układ będzie się liczył, bo ja jestem jedynym liczącym się wampirem. Zabiorę Książkę i zniszczę ostatni zapis sposobu stwarza nią wampirów, co zapewni mi dalsze przetrwanie kosztem moich wrogów, którzy nie ośmielą się wystąpić przeciwko mnie, w obawie, że przepadnie wiedza, którą mam tylko ja. – Oparła się o wyściełane oparcie sofy, spokojnie go obserwując chłopaka. – A w zamian za to ty i wszyscy inni

**mieszkańcy tego domu
otrzymacie moją Ochronę na tak
długo, jak długo będziecie tylko
chcieli. To unieważni wszelkie
pomniejsze umowy, jakie
mogliście zawrzeć, na przykład
wasza umowę z Oliverem za
pośrednictwem Brandona.**

**–Oliver... jest szefem Brandona?
– spytała Claire.**

**–Szefem? – Amelie zastanowiła
się, a potem skinęła głową.**

**–Tak. Dokładnie. Chociaż nie
rozkazuję Oliverowi, on nie może
też rozkazywać mnie. Dopóki nie**

**odkryje sekretów, jakie po
siadłam, nie może mnie pozbawić
pozycji w Morganville, a nie może
też stworzyć własnych
popleczników, żeby pokonali
moich. Jesteśmy... godnymi
siebie przeciwnikami.**

**Shane opuścił wzrok na
trzymaną w dłoni książkę.**

**–A ta książka mogłaby to
zmienić.**

**–Tak – przyznała cicho. – Ta
książka mogłaby nas wszystkich
zniszczyć. Wampiry tak samo jak
ludzi. Jestem wam za nią coś**

dłużna i spłacę ten dług, jak tylko okoliczności mi na to pozwolą.

Shane zastanawiał się przez drugą chwilę, a potem popatrzył na Eve. Skinęła głową. Claire też pokiwała, kiedy wzrokiem poszukał jej aprobaty. Potem uniósł książkę w górę.

–Michael? – zapytał. – Tak czy nie? – Po kolejnej długiej chwili westchnął. – No, znaczy, że tak. Cóż, wszystko, co wkurzy Olivera, wydaje mi się dobrym uczynkiem, a zatem...

–Wyciągnął książkę do Amelie.

Nie wykonała żadnego ruchu, żeby ją od niego przyjąć.

— Zrozum jedno – powiedziała, a jej oczy były chłodne i pełne goryczy – kiedy podejmiesz decyzję, nie będzie odwrotu. Wasz dom będzie stał nadal, ale wy będziecie z nim związani. Żadne z was nie będzie już mogło wyjechać z Morganville. Nie mogę ryzykować, że stracę nad wami kontrolę. Za dużo wiecie. Jeśli spróbujemy wyjechać teraz, to i tak już po nas, praw da? – Shane nie cofał ręki z książką. – Proszę ją wziąć. Oliver co do jednego się nie mylił, nam ona może przynieść

tylko śmierć.

–*Au contraire* – powiedziała i bladymi palcami wyjęła książkę z jego dłoni. – Jest, w gruncie rzeczy, waszym ocaleniem.

Wstała, rozejrzała się po pokoju i lekko westchnęła.

–Brakowało mi tego miejsca – powiedziała. – I wierzę, że ono też tęskniło za mną. Któregoś dnia tu wrócę. – Nacisnęła ukrytą zapadkę na oparciu sofy i bez słowa, ruszyła do wyjścia.

–A co z policją? – spytał Shane.

– Nie wspominając już o wszystkich tych innych ludziach, którzy nas dziś próbowali zabić?

–Nimi rządzi Oliver. Dam im znać, że nie wolno was krzywdzić. Jednakże nie wolno wam dłużej zakłócać tu spokoju. Jeśli to się zdarzy, a wina będzie po waszej stronie, będę zmuszona zmienić decyzję. A to by było... przykre. – Uśmiechnęła się do niego szeroko. Pokazując kły. - *Au revoir*, dzieci. W przyszłości lepiej dbajcie o ten dom.

Dwaj strażnicy poszli jej śladem. Dym i cisza. Na schodach nie

**rozległ się potem żaden dźwięk.
Clair przełknęła ślinę.**

**–Co myśmy właśnie zrobili? –
spytała.**

**–Nic innego nie mogliśmy zrobić
– powiedział Shane. – Sprawdzę,
co na ulicy.**

**W końcu zeszli na dół razem. –
Shane trzymał kij bejsbolowy, Eve
nóż, który porzuciła Jennifer, a
Claire uzbroiła się w nogę krzesła.**

**W domu nikogo nie było.
Frontowe drzwi stały otworem, a
policyjne wozy odjeżdżały spod**

domu. Odjeżdżała też limuzyna. Jej przyciemnione szyby odbijały oślepiające promienie słońca.

W parę sekund wszystko się skończyło. Żadnych samochodów, żadnych wampirów, nikt nie kręcił się w pobliżu. Ani śladu po Monice. Po Richardzie. Po Oliverze.

–Cholera – zaklął Shane. Stał na werandzie i patrzył na coś, co wisiało obok dzwonka. Była to czarna lakierowana plakietka a na niej symbol. Ten sam co na okładce Książki, którą przekazał Oliverowi. – Czy to znaczy, że ona

sama napisała tę pierniczoną książkę?

–Założę się że tak, jako zabezpieczenie – powiedziała Eve.

–No wiecie, ten symbol jest też na studni w centrum miasta. To symbol Założyciela.

–Więc ona jest Założycielem – stwierdził Shane.

–Ktoś nim musiał być.

–Tak, ale ja myślałem, że ten ktoś nie żyje.

–Zabawne – powiedziała Claire. – Ale myślę, że faktycznie, ten ktoś nie żyje.

Na co Shane się roześmiał, a Eve parsknęła, a potem Shane objął Claire ramieniem. – Nadal się upierasz przy rzuceniu studiów? – spytał.

–Nie, skoro nie mogę wyjechać z miasta. – Claire nagle uderzyła się w czoło. – O mój Boże! Nie mogę wyjechać z miasta?! Co z uczelnią? Z Caltech? Z rodzicami?! Shane pocałował ją w czoło.

**–To problemy na jutro –
powiedział. – Na razie ograniczył
bym się do zadowolenia, że w
ogóle czeka nas jakieś jutro.**

**Eve zamknęła frontowe drzwi.
Wiatr znów je otworzył.**

**–Chyba potrzebne nam będą
nowe drzwi.**

**–Moim zdaniem przyda nam się
cała Castorama.**

**–A czy tutaj w Castoramie
sprzedają drewniane kołki? –
spytała Claire. Shane i Eve zrobili
dziwne miny. – Głupie pyta nie.**

Nieważne.

Rozdział 17

Sprzątanie zajęło im cały dzień. Meble były połamane, okna powybijane, frontowe i tylne drzwi zniszczone, a materac z łóżka Claire musieli wyrzucić na śmieci. Siadali właśnie do obiadu, kiedy słońce zaszło za horyzont i Claire usłyszała odgłos ciała uderzającego o podłogę, a potem szarpiące kimś torsje.

–Michael wrócił do domu – powiedziała Eve zupełnie, jak by właśnie przyszedł ze szkoły. – Zabierajcie się do jedzenia.

Wróciła z Michaelem po dłuższej chwili. Trzymali się za ręce. Shane wstał z uśmiechem i uniósł dłoń. Michael przybił mu piątkę.

–Nieźle, bracie – powiedział Michael. – Dziewczyny dały ci dość dużo czasu na działanie.

–Chociaż same o tym nie wiedziały. Udało się – powiedział Shane z zadowoleniem. – Widzisz? Nie wszystkie moje plany są beznadziejne. Tylko większość.

–O ile będzie nam się nadal udawało odróżnić jedno od

**drugich... – Michael przysunął
sobie krzesło. – Co jest na...
Żartujecie sobie ze mnie. Chilli?**

**–Nikt nie miał ochoty iść do
sklepu.**

**–No tak, rozumiem. – Michael
zamknął oczy. – Modlitwę
odmawiam. Może wy też
powinniście. Trzeba będzie cudu,
że byśmy to wytrzymali.**

**Czy żartował, czy nie, Claire
zwróciła się do nieba ze swoją
modlitwą i miała wrażenie, że
pozostali też to robią. Więc
dzwonek do drzwi rzeczywiście**

wydał się im znakiem z nieba.

–Przynajmniej mają lepsze maniere, kiedy zabierają się do mordowania nas – stwierdził Shane. Michael wstał i podszedł do drzwi, a po sekundzie wahania oni też się podnieśli i poszli za nim.

Michael otworzył drzwi na oścież. Na werandzie, w blasku światła, stał jakiś mężczyzna w średnim wieku, z postrzępioną brodą i wielką blizną na policzku, ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Za nim stało jeszcze dwóch facetów, trochę od niego

młodszych, zdecydowanie potężniejszych i wrednych z wyglądu.

Członkowie jakiegoś gangu motocyklowego. Claire o mało nie zakrztusiła się swoim chilli.

Mężczyzna skinął głową.

–Synu – powiedział, patrząc nad ramieniem Michaela na Shane'a. – Dostałem wiadomość. Kawaleria nadjechała. – Wszedł do domu, ignorując Michaela, jakby w ogóle go tam nie było. – Już czas, żebyś wziął dupę w troki. Czekalem na twój telefon sześć pieprzonych

miesiące. Czemu tak długo? Tyle czasu, żeby znaleźć główną pijawę?

Poszli za nim do salonu. Michael obejrzał się na Shane'a, który zaczynał oblewać się rumieńcem. I unikał patrzenia im w oczy.

–Trochę się tu pozmieniało, tato – mruknął.

–Nic się nie zmieniło – powiedział tata Shane'a i stanął twarzą do nich, dłonie opierając na biodrach. – Przyjechaliśmy skopać parę tyłków i zabić parę wampirów, tak jak planowaliśmy

cały czas. Pora pomścić Alysę i twoją matkę. Nic tego nie zmieni.

–Tato, teraz jest inaczej, nie możemy...

Ojciec Shane'a złapał go za włosy, szybki jak kobra. Na ręce miał tatuaż, jakieś nieładne błękitne smugi. Odchylił głowę Shane'a w tył.

–Nie możemy? Nie możemy? Chłopcze, spalimy to miasto do gołej ziemi, właśnie tak jak ustaliliśmy. I nie zmienisz zdania w tej sprawie.

–Chwileczkę – odezwał się ostro Michael i ruszył w stronę taty Shane'a. Kiedy go dotknął, coś się stało, zupełnie jak by w pokoju przeleciał błękitno – biały elektryczny szok, który uniósł włoski na ramionach Claire. Michael zatoczył się i wpadł na ścianę, zbyt osłupiały, żeby coś zrobić.

–Nie! – wrzasnął Shane, próbując się wyrwać. Ale nie mógł. – Tato, nie! Ojciec Shane'a skinął głową do jednego ze swoich kumpli.

–Tak. To jeden z nich –

powiedział. – Zajmijcie się nim.

**Motocyklista skinął głową,
wyciągnął z za pasa nóż i ruszył w
stronę Michaela.**

**–Nie! – Tym razem Shane
wrzasnął pełnym głosem. Claire z
wahaniem postąpiła krok naprzód
i zatrzymała się, kiedy Michael
spojrzały na nią szeroko
otwartymi oczyma. Eve coś
krzyczała, krzyczał też Shane.**

**Miranda to widziała, pomyślała.
Michael stał nawet na tym samym
chodniku, na który wskazała
Miranda, kiedy to mówiła. „A on**

umarł... dokładnie... tutaj”. I to nie była jego pierwsza śmierć.

Tylko druga.

–Nie mieszajcie się do tego – powiedział ostro Michael, kiedy Eve próbowała rzucić się w jego stronę i zastąpić drogę motocykliście. Michael nadal się cofał i tym razem wyglądał na faktycznie przestraszonego. Nie bał się wampirów i ich wszystkich sługusów, ale tym razem...

Claire jeszcze nie widziała, żeby ktoś poruszał się szybciej niż ten motocyklista, pomijając wampiry.

Prawie nie zauważyła, co się stało, usłyszała tylko głuchy łoskot, kiedy Michael uderzył o podłogę. Motocyklista padł na niego, przytrzymując go jedną wielką łapą, a w drugiej uniósł nóż.

–Nie, tato. Boże, zrobię, co tylko chcesz!

–Zamknij się – powiedział tata Shane'a i odepchnął syna na kanapę. Shane padł na nią, a Claire podbiegła do niego i otoczyła go ramionami. – Jasne, że zrobisz. We troje opowiecie mi, które wampiry zaatakować

najpierw. Bo teraz jest tak, że albo my, albo one, i lepiej o tym nie zapominajcie.

–Troje? – spytała Eve słabo. Jej wielkie oczy wpatrywały się w Michaela, motocyklistę i nóż.

–Troje – potwierdził tata Shane'a i skinął lekko głową do kumpla. Wszyscy krzyknęli, kiedy nóż opadł.

**This file was created with BookDesigner
program**

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-03

***LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006;
msh-tools.com/ebook/***